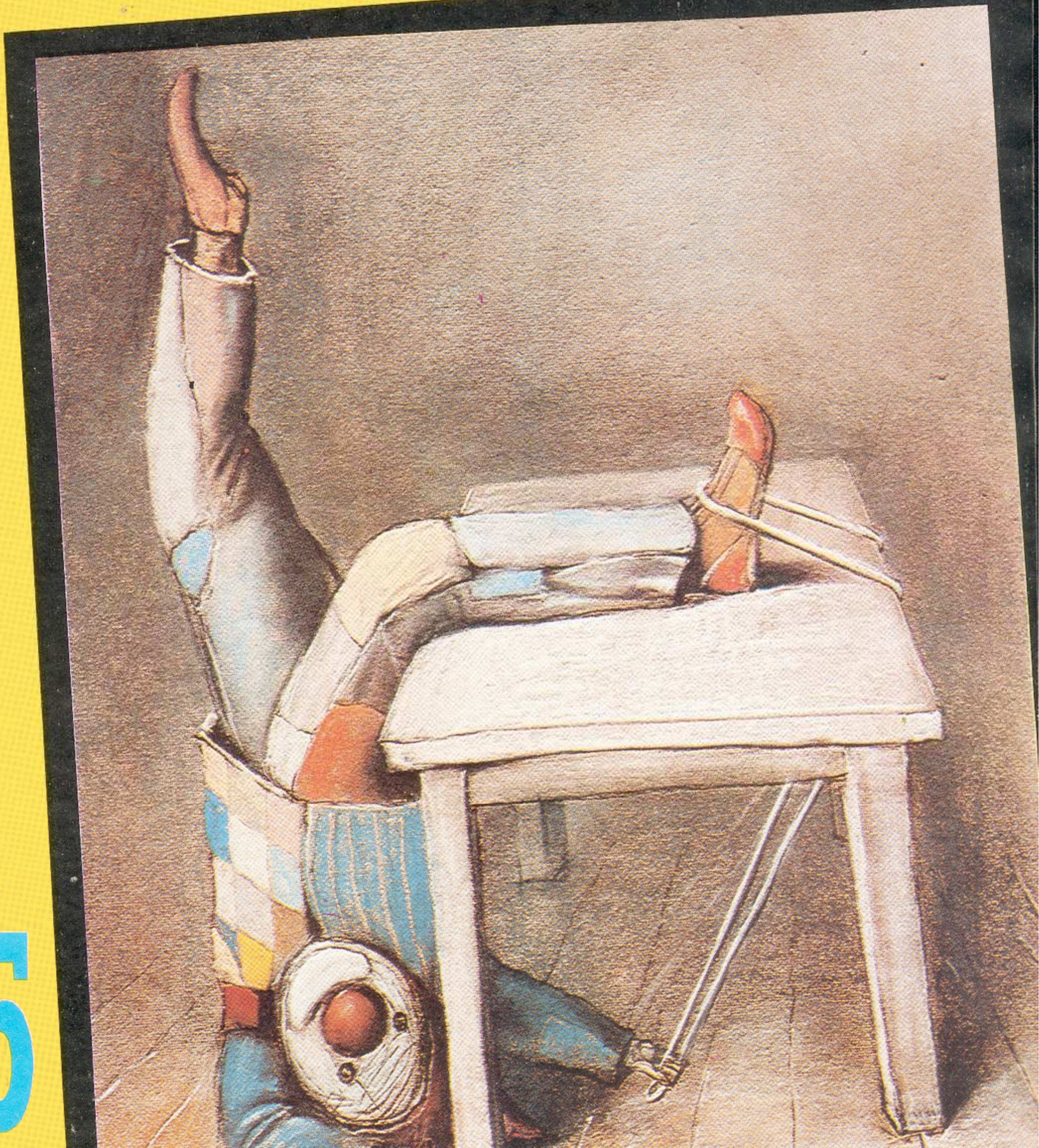
MIESIĘCZNIK
12 (75) GRUDZIEŃ 1988 CENA 200 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839

GALERIA

Stasys Eidrigevičius



Nr 75



Stasys Eidvigeričus, Reprodukcja: Z. Latała

Nagrody Literackie „Fantastyki" 1986-1987

W czerwcu i lipcu 1988 r. po raz czwarty obradowało w Warszawie jury nagród literackich „Fantastyki", by przyznać nagrody i wyróżnienia za twórczość pisarską oraz działalność wydawniczą i promocyjną w dziedzinie fantastycznej w latach 1986 i 1987. W skład jury wchodzili: Adam Hollanek (red. nacz. „Fantastyki") – przewodniczący jury, Maciej Parowski (kier. dz. prozy polskiej „Fantastyki") – sekretarz jury, oraz Leszek Bugajski (krytyk), Lech Jęczmyk (kier. dz. prozy zagranicznej „Fantastyki"), Maciej Hoffman (dyrektor Warszawskiego Wydawnictwa Prasowego), Andrzej Niewiadowski i Jacek Rodek (zastępcy red. nacz. „Fantastyki") – członkowie jury.

Jury uznało, że sytuacja w polskiej SF ustabilizowała się na średnim poziomie. Powstała wyraźna czołówka, ale nawet autorzy z tego grona coraz rzadziej zaskakują nas i siebie; mamy też kilkunastu dopiero zaczynających pisać autorów, na których nagradzanie jest stanowczo za wcześnie. Natomiast obserwujemy wyraźny wzrost zainteresowania fantastyką wśród wydawców; co prawda nie zawsze kończy się to publikacjami zasługującymi na uznanie. Dlatego, odwrotnie niż w latach poprzednich, jury postanowiło ograniczyć liczbę nagród przyznawanych za twórczość, natomiast większą uwagę zwrócić na udaną działalność promocyjną i przekładową.

Jury postanowiło, że:

❋ Nagrodę w kategorii krytyki (w wysokości 40 tys. zł) – otrzymuje **ANDRZEJ KOŁODYŃSKI** za pracę o filmie grozy „Seans z wampirem" (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, 1986)

❋ Nagrodę w kategorii debiutu (w wysokości 30 tys. zł) otrzymuje **WŁODZIMIERZ RÓŻYCKI** za opowiadanie „Weekend w mieście" („Fantastyka" 1/86)

❋ Wyróżnienia za zasługi dla popularyzacji polskiej science fiction otrzymują

HANNA I FRANZ ROTTENSTEINEROWIE (40 tys. zł) za tłumaczenie i promowanie polskiej SF za granicą

WADIM DUNIN (30 tys. zł) za życzliwą i aktywną współpracę w wymianie materiałów literackich między redakcją „Fantastyki" a Wszechzwiązkową Agencją Praw Autorskich (WAAP)

❋ Wyróżnienie (w wysokości 40 tys. zł) otrzymują redaktorzy z Wydawnictw „Alfa" **WIKTOR BUKATO i MAREK NOWOWIEJSKI** za ciekawe inicjatywy przekładowe (m.in. udostępnienie polskiej publiczności cyklicznej antologii Dona Wollheima i opracowania krytyczno-literackiego „Droga do science fiction" Jamesa Gunna) oraz popularyzację w Polsce ambitnej fantastyki światowej.

Jury serdecznie gratuluje nagrodzonym i wyróżnionym.

Jury postanowiło poczekać na bardziej spektakularne inicjatywy klubowe i nie przyznawać tym razem w kategorii klubowej żadnych nagród.

■



W naszej „Galerii" zapraszamy Państwa do niepokojącego, wieloznacznego świata Stasysa Eidrigevičiusa – urodzonego na Litwie, mieszkającego obecnie w Polsce świetnego, wielokrotnie nagradzanego artysty plastyka.



Siedemdziesiąte piąte obrachunki

Od dawna oczekuję na rzetelny rozrachunek z najnowszą prozą fantastyczną, szczególnie zaś z tą, która odegrała już na przykład w naszym kraju (i nie tylko w naszym, bo także i w ZSRR czy na Węgrzech) i jeszcze ciągle chce odgrywać znaczącą rolę. Jednakże krytycy średniego, a nawet i najmłodszego pokolenia nie pokwapili się dotąd, aby przekazać społeczeństwu jakąś szerszą panoramę osiągnięć i potknięć nowej fantastyki, zadowalając się afirmowaniem tylko fragmentarycznym, cząstkowym literatury nazwanej „literaturą zamiast". To znaczy – zamiast tego, co zdaniem czytelników (świadectwo tkwi jak dotąd jedynie w poczytności istotnie wielkiej) skutecznie zastępowało, a może i jeszcze nieraz zastępuje oczekiwania i wymagania wobec literatury tzw. głównego nurtu, kryzys której był zresztą wyraźny – zarówno ilościowy, jak i jakościowy.

Nie obwijając w bawełnę, bo nie jest to czas kamuflowania czy wypowiadania półgębkiem problemów, które już głośno można dziś omawiać i artykułować, chodzi tu o pisarstwo walczące z różnymi przejawami politycznego woluntaryzmu, totalizmu lub próbami uszczęśliwiania ludzi na siłę. Oczywiście, oddziaływanie fantastyki nie należy do bezpośrednich, prostych. Przeciwnie – jej wieloznaczność, wybieganie w daleką przyszłość czy także przeszłość nieraz osłabia celność literackich i filozoficznych definicji. Niemniej jednak sama już potężna popularność fantastyki w ogóle, a social i political w szczególności, świadczy niezbicie, że konkretne próby dotarcia do czytelników z odważnymi, konkretnymi treściami powiodły się, że fantastyka przestała być panoptikum dziwacznych, śmiałych pomysłów, lecz stała się adekwatną do zagadnień epoki, najbardziej aktualną dziedziną sztuki i odważnej krytyki społecznej; jeszcze raz romantyczny kierunek odniósł swój prawdziwy triumf: sprzedano setki tysięcy książek, które gdyby znajdowały się w formie innej niż SF, nie byłyby wydane w ogóle, lub w bardzo ograniczonych nakładach. Bez political fiction nie święciłoby także swego sukcesu kino Machulskiego („Seksmisja") oraz nagradzane na międzynarodowych przeglądach drastyczne kino Szulkina. Także i nasza „Fantastyka", wychodząca dziś po raz siedemdziesiąty piąty, nie byłaby tak pokupna i nie mogłaby marzyć o swoich rozwojowych drogach, gdyby nie młoda kadra nowych, śmiałych autorów. Ciekawe, że identyczne zjawisko obserwujemy na Węgrzech, gdzie na przykład do czołówki autorów zajdlowskiego typu wszedł, znany zresztą z powieści o Kilyosie, István Nemere – pisarz i tłumacz z polskiego. Wydania jego utworów przekroczyły już dawno nakład 2 i pół miliona egzemplarzy!

Coraz większym powodzeniem cieszy się zapoczątkowany przez braci Strugackich, już dość dawno, nurt pieriestrojkowy SF, powstały na długo przed masowym wkroczeniem metod pieriestrojki we współczesne życie Związku Radzieckiego. Nie ma co mówić: political i social fiction zdały życiowy egzamin. Ambitna science fiction aspiruje więc do poziomu i – oczywiście – laurów „prawdziwej literatury", choć o polskiej, na przykład na Zachodzie, mówi się, że nazbyt ambitna, a przez to „prowincjonalna" w swym widzeniu świata. Od dawna frapował mnie ten temat i poruszałem go nieraz delikatnie w swoim „3-2-1", lub też w esejach krytycznych. Za krótki dzielił nas jednak dystans od pierwszych powieści Zajdla, aby sprawdzić można było czy ruch, który się rozwinął, spełnił również pokładane w nim nadzieje artystyczne.

Czy rzeczywiście jednak ktoś tego rodzaju nadzieje z nim wiązał? W fantastyce dotychczasowej, nie jedynie polskiej, proszę o tym ani na chwilę nie zapominać, artyzm, umiejętności literackie stoją na dalekim miejscu. Klasyczna science fiction to chwyt, to pomysł nadzwyczajny, jakby podprzyrodzony, czy nadtechniczny – największy, a zwykle jedyny prawdziwy atut. Sama więc istota fantastyki tkwi w sprzeczności z artyzmem, z prawdziwą sztuką. Fantastyka, według większości jej miłośników, nie znosi niczego więcej poza prostym opisaniem wspaniałego pomysłu. Aż dziwne, że mimo to fanowie kupują tak chętnie Żuławskiego „Na srebrnym globie", które jest bardziej literaturą „czystej gry SF". Te wątki zostały rozbudowane, poszerzone, pomnożone w pracach takich autorów jak sam Zajdel, ale przede wszystkim przez Oramusa, Żwikiewicza, Parowskiego, a nade wszystko tych młodych, którzy wygrywają nasze konkursy na opowiadania. Oni to oddalają się coraz bardziej od klasyki science fiction, jakkolwiek i oni jeszcze nie całkiem potrafią przekraczać próg „choroby czystego pomysłu", chwytu. Nawet Oramus na tę chorobę jeszcze czasem cierpi, a gdy się z niej wyrywa jak na przykład w drukowanym w „Fantastyce" „Kompleksie Hioba", opłaca to wtedy mniejszą poczytnością. To jest kara fanów za wygórowane ambicje twórcze pisarzy.

Na naszych łamach stale mamy do czynienia z opisanymi tu zjawiskami. Naszą poczytność utrzymujemy więc przez umiejętną oscylację między biegunem „choroby pomysłu", a biegunem „dobrej roboty literackiej".

I jeszcze jedna sprawa. Młodzi zwłaszcza czytelnicy nie zawsze zdają sobie sprawę, że prekursorów social i political fiction należałoby szukać (i honorować) także i przed pierwszymi tego typu powieściami Zajdla, jakkolwiek właśnie ten pisarz przyczynił się najwalniej do rozwoju tej prozy. Polityczna czy socjologiczna fantastyka rodziła się jednak znacznie wcześniej, a jej ojcem był niewątpliwie Jerzy Żuławski. I chyba dlatego jego literatura nigdy nie stała się *demodé*. Pisarzami starszych pokoleń, którzy parali się i parają fantastyką o zacięciu socjologicznym czy nawet politycznym byli również m.in. Krzysztof Boruń, Konrad Fiałkowski, a także i niżej podpisany. Jak żadna rzecz w historii piśmiennictwa nie zrodziła się i ta literatura jak *deus ex machina*. Wyrastała natomiast z konkretnych dawniejszych i teraźniejszych potrzeb polskich. Dlatego jest niezbyt strawna dla cudzoziemców – oni jej po prostu nie rozumieją. To więc nie przypadek, że tłumaczeń naszej fantastyki (oprócz – rzecz jasna – Lema) tak mało. Myślę także, że czas by otworzyć wreszcie szeroką dyskusję i redaktorów pisma i Czytelników nad poruszonymi tu tematami.

Orbitujmy wobec tego dyskutując, oto hasło.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6.
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-35-36 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.

Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 28-23-09. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Nakład 167 000 egz.
Zam. 3320/88 U-51

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 3 października 1988 r.

Lądowanie LXX

***Nikt o tym nie napisał,** choć wszyscy miłośnicy wiedzą. „Fantastyka", która po raz pierwszy ukazała się w październiku 1982 roku nie tylko zdobywa ciągle nowych czytelników, ale się rozrasta, pomnaża swoje agendy. Była sama. Teraz jest już „Mała" spod lady i także spod lady „Komiks". A przecież, jak wiadomo, pisali o tym już od dawna redaktorzy – to było ich marzeniem, żeby się tak rozrosnąć, od pierwszego numeru. I jakie to dziwne, że to pismo tak lubiane, tak dobrze się sprzedające, tak znające się na fantastyce nie ma swej biblioteki wybranych przez czytelników utworów. Dlaczego o tym nikt nie pomyśli, dlaczego przez tyle lat cała działalność pisma odbywa się na tak słabym papierze, dlaczego mimo mistrzostwa polskich drukarzy nie polepsza się szata graficzna? Oto są pytania...*

***Czytelnicy** z Warszawy*

***„Mała Fantastyka" na miesięcznik** przede wszystkim się nadaje, skończcie już z tą kwartalną kapaniną. Przecież to śmieszne, aby tak popularne i poczytne pismo, o innej niż wszystkie dziecinne pisma treści i innych ilustracjach ukazywało się tak rzadko. Nie marnujcie sił i czasu, ani naszych nerwów.*

***Jan Koliński** z Nowego Sącza*

***Na początku** wielu czytelników się oburzało, że się drukuje te same komiksy, tyle że w kolorkach, wszyscy myśleli, że nikt tego nie kupi, bo drugi raz, a teraz spróbujcie dostać gdzieś w mniejszym miasteczku jakiś Wasz komiks, a kuku. Nie ma. Bo co innego biało-czarny, a co innego barwny. Tylko jednego nie możemy darować redaktorom, że Yans całkowicie pochłonął naszego kochanego Funky'ego Kovala. A przecież się do niego nie umywa. Oj próżniaki z Was, próżniaki, panowie Rodki, Parowskie i Polchy.*

***Bogumił Kalicki i koledzy** z Krakowa*

***Jest duża sprzeczność** w działalności „Fantastyki". Ciągnie się długo i ciągnie lista polskich pisarzy science fiction, do których ni stąd, ni zowąd dokooptowujecie sobie różne wielkości. Ano takie jak Witkacy, jak Gombrowicz. Jak... ech, co tu wyliczać, jeśliście już tak daleko zaszli, czy zalecieli, gdzie ani cienia science fiction, to czemu oprócz próbek nie drukujecie większych rzeczy tych wielkich sław z dawnych lat? A może by tak, hej, Słonimskiego albo Schulza, czemu nie ma prób eksperymentalnej prozy najnowszej, tylko dobrze poszukajcie a znajdziecie różnych dziwaków i kaczki dziwaczki. A jak komuś będą stawać kością w gardle, to napiszcie, że na eksperyment także Was stać, tyle dajecie ludziom, to i poeksperymentować dajcie. No i co wy na to?*

***Jerzy Z.** z Warszawy*

***Brakuje bardzo poradnictwa** literackiego. Wielu młodych, takich jak ja pisze i wiersze, i prozę fantastyczną, posyła to do redakcji, a stamtąd, od Was nie ma żadnej odpowiedzi, żadnego odzewu. A przecież wiadomo, że tak zawsze było, że młodzi pisali. Starsi czytali to i radzili, czy to coś warte czy nie, co należałoby zmienić, co wyrzucić. A tymczasem redakcja „Fantastyki", tej naszej „Fantastyki", milczy. I pewnie wyrzuca do kosza wszystko niemalże przez nas Wam przysyłane. Myślę, że to takie postępowanie jest błędne, że trzeba jednak młodym, nam młodym radzić, bo często nam trudno samym ze sobą dać sobie rady. Proszę o odpowiedź w tej sprawie, a także w sprawie rysunków. Ja również nadesłałem do Was sporo swoich rysunków. Mam w klasie piątki z tego przedmiotu, a wyście nie tylko mi nic nie zamieścili, lecz nawet nie powiedzieli, czy to coś warte.*

***Jerzy Zabiegło** z Poznania*

W tym 75 numerze naszego pisma starałem się tak dobierać listy Czytelników, żeby odzwierciedlały główne tendencje nadchodzącej do nas korespondencji. Coraz częściej otrzymujemy utwory przeważnie od młodych i bardzo młodych ludzi, którzy domagają się publikacji ich na naszych łamach. Mnie się wydaje, iż problem ten urasta do najważniejszego spośród tych, które Wy Czytelnicy poruszacie w swoich listach. Istotnie spoczywa na nas jakiś obowiązek poradnictwa, informowania o tym co dobre w tym co nadsyłacie Państwo, a co złe. Jednakże w miarę rozwoju pisma, rozrastania się liczby jego Czytelników sprawa jest coraz trudniejsza do rozwiązania, załatwienia. Toż nasz zespół jest mały, a prowadzenie poradnictwa literackiego czy plastycznego wymagałoby specjalnie zatrudnionych w tej dziedzinie kompetentnych osób, na co sobie absolutnie nie możemy pozwolić.

Zastanawiamy się więc nad innymi sposobami rozwiązania rzeczywiście ważnego zagadnienia, tymczasem jednak poradnictwu muszą służyć jak dotychczas nasze konkursy. Po to je urządzamy także, aby ci, którzy piszą pojęli co można przyjąć na łamy „Fantastyki", co godne publikacji, a co jest tylko mniej lub bardziej nieudolną próbą. Oburza takie nastawienie wielu, zwłaszcza tych, co już drukowali. Proszę – powiadają – opublikowaliście poprzednio mój rysunek, czy moją nowelę, a następna jakoś się Wam nie podoba. Jak to u Was jest? A tak jest: twórca sprawdza się k a ż d y m swoim utworem, raz ten sprawdzian się udaje, wychodzi, innym razem nie. Obserwuje się to zwłaszcza w przypadku bardzo młodych, początkujących twórców, którzy myślą, iż sam talent wystarczy, że skrzydlate natchnienie nawiedza ich nieustannie. A tymczasem przejście od amatorszczyzny twórczej do zawodowstwa wymaga nie tylko talentu, lecz także żmudnej pracy i nade wszystko ogromnego oczytania, wiedzy. Bez tego muzy nic same nie zrobią. Niestety marnuje się wiele talentów, gdy nie są poparte pracą i wiedzą. I to warto było, jak sądzę, przypomnieć dziś w tym trochę specjalnym numerze, w tym specjalnym „Lądowaniu" z „Fantastyką".

Redaktor

TRZECI KONKURS LITERACKI „DUŻA DLA MAŁEJ"

Termin nadsyłania prac przedłużony!

Wszystkich – zawodowców i amatorów, starszych i młodszych – namawiamy do wzięcia udziału w organizowanym przez „Fantastykę" konkursie na opowiadanie SF dla najmłodszych Czytelników – „Duża dla Małej" (szczegóły w „Fantastyce" nr 5/88, str. II). Utwory nigdzie dotąd nie publikowane o objętości nie przekraczającej 14 stron znormalizowanego maszynopisu, prosimy nadsyłać (w dwu podpisanych egzemplarzach, w kopercie z dopiskiem „KONKURS LITERACKI – DUŻA DLA MAŁEJ") pod adresem redakcji do dnia **30 czerwca 1989.** Od uczestników konkursu oczekujemy prac na wysokim literackim poziomie, pisanych bez żadnej taryfy ulgowej. Jedynym ograniczeniem jest bariera wieku – czytelnikiem wyłonionych w konkursie tekstów będzie publiczność „Małej Fantastyki", a więc przede wszystkim osoby, które nie ukończyły szkoły podstawowej.

- Dla autorów najciekawszych opowiadań przewidziano nagrody.
- Wszystkie teksty nagrodzone i wyróżnione ukażą się na łamach „Małej Fantastyki" i będą honorowane według przyjętych stawek autorskich. Redakcja zastrzega sobie prawo ich pierwodruku.
- Istnieje możliwość opublikowania najlepszych tekstów w wydawnictwie książkowym, tak jak stało się to z opowiadaniami dwu już naszych konkursów.
- Rozpatrujemy tylko znormalizowane maszynopisy (30 wierszy na stronie, 60 znaków w wierszu; przypominamy: oczekujemy na teksty o objętości nie większej niż 14 stron!).
- Termin nadsyłania prac mija 30 czerwca 1989 r.

Redakcja

Bigos Remuszków

Składniki: *Kiszona kapusta (już ugotowana i odciśnięta) w wagowej proporcji do 7 rodzajów mięs (już przyrządzonych) jak przynajmniej 3:1 (może być 4:1, natomiast 2:1 nie będzie „bogatsze", lecz niesmaczne). Więc np. 15 kg pysznej (to sprawa zasadnicza) kiszonej kapusty i 3,5 kg mięs przyrządzonych – każde oddzielnie – podług załączonych przepisów (cielęcina, pieczony schab, duszeń wołowa, mięso z rosołu, boczek, kiełbasa, okrawki – 7 x 0,5 = 3,5 kg), 5 dkg suszonych kapeluszy prawdziwków, masło, sól.*

Kapustę solidnie odcisnąć (powinno zostać po ugotowaniu i powtórnym odciśnięciu ok. 10-11 kg), pokroić, włożyć do kociołka, zalać zimną wodą i gotować (tylko na 3/4 miękkości). Następnie przełożyć do miski i wystudzić, a kociołek umyć.

Grzyby umyć, włożyć do emaliowanego garnuszka, zalać dwiema szklankami wody i odstawić na noc. Następnie dodać płaską łyżkę masła, normalnie osolić i gotować na małym ogniu do miękkości (ok. 1 godziny).

7. wyjątkiem okrawków i kiełbasy, mięsa pokroić w kostkę o wymiarach 1x1x1 cm (jeśli się da; jeśli nie – to na drobniejsze kawałki, dłuższe pasemka itp.). Okrawki pokroić na kawałeczki o objętości 2 razy mniejszej od ww. sześcianików, kiełbasę zaś na półplasterki grubości 1/4 – 1/2 cm. Grzyby pokroić na plasterki naturalnej grubości o wymiarach ok. 0,5x2 cm.

Pokrojone 7 kanonicznych mięs oraz kapustę (odciśniętą) wrzucić do kociołka, dodać wszystkie (!) sosy z duszeni, pieczeni i cielęciny, a także cały zastygły tymczasem tłuszcz z rosołu oraz wywar z grzybów. Podgrzewać powoli (najlepiej na płytce), ciągle mieszając. Dodać regulująco rosołu (smak, wilgoć); ewentualnie dosolić. Gdy wszystko się przegryzie, puści sok i zacznie pyrkać – wystawić na dwór do zamarznięcia. Bigos gotowy do spożycia po powtórnym dokładnym podgrzaniu. Podgrzewać i podawać w kamionce pod przykryciem, nakładać drewnianą łyżką. Najlepiej smakuje z zimną wódką lub czerwonym winem oraz świeżym pszennym chlebem. Jest bardzo niezdrowy.



Duszeń cielęca

Ładny, mniej więcej dwukilogramowy forszlak z dorosłego cielaka (najlepiej „ludzkiego", czyli o wadze ok. 75-80 kg), czosnek, sól, słonina, masło.

Mięso umyć, porządnie natrzeć papką z soli i zmiażdżonego czosnku, szczelnie owinąć w plastykową torebkę, przetrzymać w lodówce całą dobę (jeśli świeżo bite – to nawet dwie). Osmażyć na wytopionym smalcu (skwarki dać psu) ze wszystkich stron aż do zbrązowienia. Wraz z przelanymi wodą resztkami tłuszczu i dobrą łyżką masła włożyć do emaliowanego lub teflonowanego garnka i – dodając wody (powinno być cały czas do połowy zanurzone), ewentualnie dosalając oraz obracając co kwadrans – dusić pod przykryciem do miękkości.

Schab pieczony

Ładny kawałek – ok. 2-3 kg – schabu środkowego (ten z całą polędwiczką) z młodego świnka (najlepiej „ludzkiego"), majeranek, sól, czosnek, słonina. Uwaga: lepszy kawałek dłuższy i cieńszy niż krótszy i grubszy.

Mięso umyć, porządnie natrzeć papką z soli, majeranku i zmiażdżonego czosnku (na taki kawałek trzeba wziąć przynajmniej 1 czubatą łyżkę majeranku, 1 główkę czosnku i 2 czubate łyżeczki soli). Szczelnie owinąć w plastykową torebkę i przetrzymać w lodówce całą dobę (jeśli świeżo bite – to nawet dwie). Osmażyć na wytopionym smalcu (skwarki dać psu) ze wszystkich stron aż do zbrązowienia. Na dno brytfanny wlać trochę roztopionego smalcu, położyć schab i włożyć do bardzo rozgrzanego piekarnika. Po kwadransie zmniejszyć ogień i piec schab do miękkości (aż nakłuty na 5 cm przestanie puszczać różowy sok po wyjęciu szpikulca). Uwaga: aby uzyskać właściwą soczystość, należy w trakcie pieczenia co 10-15 minut starannie polewać mięso półszklanką zimnej wody i zaraz po niej – własnym (schabu) sosem.

Duszeń wołowa na dziko

Specjalny mięsień z zadka młodego wołka (ok. 2 kg), cebula, słonina, liście bobkowe, pieprz w ziarnkach, czosnek, 2 duże kapelusze suszonych borowików szlachetnych, masło, ocet, sól.

Mięso umyć i przekroić na dwa równe kawałki długości ok. 15 cm. Oblać dokładnie octem. Do kamionkowej (glinianej) miski położyć na dno kilkanaście ziaren pieprzu, liść bobkowy i pół cebuli w cienkich plastrach. Na to położyć mięso i na mięso położyć to samo co na dno miski. Przycisnąć mięso talerzykiem obciążonym np. odważnikiem 2-3 kg. Całość przykryć pieluchą i postawić w chłodnym miejscu (ok. 15°C). Trzymać tak mięso przez trzy doby, co 12 godzin obracając na różne strony (boki, górę, dół itp.). Mięso będzie puszczać sok (ma w nim do końca leżeć). Po trzech dobach ściemnieje i zmięknie.

Grzyby umyć, włożyć do emaliowanego garnka, zalać dwiema szklankami wody i odstawić na noc. Następnie dodać masło, normalnie osolić i gotować na maleńkim ogniu ok. 1 godziny.

Przygotować papkę z obranych i zmiażdżonych ząbków czosnku, zmielonych na pył ok. 20 ziarenek pieprzu oraz czubatej łyżeczki soli. Część słoniny stopić na smalec (skwarki dać psu), część zaś pokroić w „patyczki" (wymiary ok. 1x1x7 cm) i porządnie natrzeć papką (dobrze jest wcześniej schłodzić te „patyczki" do ok. 0°C). Wąskim nożem robić w mięsie regularne krzyżowe nacięcia od powierzchni przekroju w głąb kawałka wzdłuż włókien, następnie wkładać natarte „patyczki" do szpikowniczki i szpikować mięso słoniną w te otwory. Na przekroju powinno zmieścić się przynajmniej 10 „patyczków".

Resztką papki starannie natrzeć naszpikowane mięso i położyć takie na mocno rozgrzanym smalcu na patelni. Osmażyć dokładnie (aż do zbrązowienia) ze wszystkich stron (łącznie z przekrojami!), następnie włożyć do emaliowanego garnka, dodać pokrajaną w plastry cebulę oraz wlać całą zawartość garnuszka z ugotowanymi grzybami; w razie potrzeby dodać wody (mięso podczas duszenia powinno być cały czas do połowy zanurzone). Dusić do miękkości na maleńkim ogniu pod przykryciem.

Rosół świąteczny

1 kg rostbefu, 1 kg chudego szpondra, 1 kg pręgi, 1 kg rozrąbanej goleniowej kości szpikowej (wszystko wołowe); duża pełna włoszczyzna (z kapustą i przypaloną cebulą), sól.

Mięso umyć, pokroić na mniejsze kawałki, włożyć do 10-litrowego garnka, dodać umytą kość i wszystko zalać ok. 4 litrami lodowatej wody. Potrzymać tak godzinę-dwie, potem postawić na maleńkim ogniu i grzać, aż pokażą się szumy. Zszumować. Dopiero teraz osolić. Dodać włoszczyznę. Gotować bez przykrycia (żeby tylko pyrkało) 3-4 godziny (włoszczyznę wyjąć wcześniej, jeśli ma być na sałatkę). W razie potrzeby dolewać wody, ale bez przesady (rosół musi być esencjonalny). Uwaga: pod koniec gotowania można dodać łyżkę oryginalnej „Vegety". (Później, do bigosu, dać wszystkich trzech ww. rodzajów wołowiny mniej więcej po równo).

Boczek

3/4 kg chudego, mocno wędzonego boczku, sól.

Boczek umyć, włożyć do niedużego garnka z osolonym wrzątkiem i obracając gotować na małym ogniu do miękkości (przynajmniej godzinę).

Kiełbasa zwyczajna (z prawdziwego mięsa)

1/2 kg kiełbasy.

Kiełbasę kupić w sklepie BOR lub dyplomatycznym, albo u zaufanego chłopa. Powinna mieć średnicę ok. 3 cm.

Okrawki

Okrawki z trzech rodzajów wędzonek oraz ptaka: 10 dkg szynki (z tłuszczem), 10 dkg baleronu, 10 dkg polędwicy, 20 dkg pieczonego drobiu (najlepiej kaczka w jabłkach, indyk w gałce muszkatołowej, perliczka w sosie własnym lub bażant w słoninie).

Skroić i włożyć do bigosu.

Stanisław Remuszko

Wesołych Świąt życzy Redakcja

Dzięki wytężonej pracy zespołu redakcyjnego oraz szczęśliwemu zbiegowi okoliczności (nie zdradzajmy w jakiej proporcji) mogliśmy obdarować naszych Czytelników trzema niewielkimi, ale gustownymi opowiadaniami „pod choinkę". Zachęcamy zwłaszcza do porównania dwóch opowiadań o Św. Mikołaju pochodzących z różnych obszarów płatniczych. Opowiadań mocno osadzonych w codziennej rzeczywistości swoich krajów, a jednak jak podobnych w swojej poetyce i wymowie. Zarówno Borys Sztern, jak Nancy Etchemendy sugerują, że świat jest cudowny, ale cuda są widoczne tylko dla tych, którzy w nie wierzą, którzy patrzą na świat „mądrymi oczami serca". Podobnie zresztą dzieje się w opowiadaniu Kena Wismana o przyjaźni chłopca z duchem świątecznej jodły. Duch ten nosi imię Pomony, rzymskiej bogini owoców (kryje się ono m.in. w naszym słowie pomidor); bardzo możliwe, że jest to ta sama osoba, która po emigracji do USA nie mogła znaleźć pracy odpowiadającej jej kwalifikacjom. Wesołych Świąt! (L. J.)

Nancy Etchemendy

Niewiarygodne życzenie świąteczne

(The Incredible Christmas Wish)

Na tydzień przed świętami Abbie się zgubiła. Znaleziono ją koło torów kolejowych w pobliżu Penisula Ice Company, zagadaną z jakimś obleśnym staruchem. Policjant, który przyprowadził Abbie do domu, tak go opisał: „Włóczęga. Przejezdny. Znacie takich". Ale Abbie patrzyła groźnie i upierała się przy swoim. Ten człowiek był świętym Mikołajem.

Jęknęłam:

– Daj spokój, Abbie. Nie jesteś już małym dzieckiem.

Mama rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie i przyłożyła palec do ust.

– Myślisz, że kłamię, tak? – krzyczała Abbie. Ledwie udało mi się powstrzymać śmiech. Jak na sześciolatkę miała bardzo niski głos. Kiedy krzyczała, brzmiał jak wrzask wściekłej żaby.

– Słuchaj, czy nie sądzisz, że jeżeli ona jest wystarczająco duża, żeby łazić z jakimiś starymi włóczęgami, to powinna też znać prawdę o... – zaczęłam.

– Nakryj do stołu, proszę, Marjorie – powiedziała Mama.

Tego wieczoru nastrój przy stole był napięty. Mama starała się wyglądać zupełnie spokojnie nakładając nam po kolei brokuły, ale Tata dźgał nożem pieczeń, jakby to był jego najgorszy wróg.

– Co ty sobie na litość boską wyobrażasz, Abbie? – zapytał nie wiem już który raz.

– Nic – wymamrotała Abbie.

– Myśleliśmy, że ktoś cię porwał, albo coś takiego! Wszystko mogło się stać! – krzyczał Tata wymachując w powietrzu widelcem z nadzianym kawałkiem mięsa.

Abbie spokojnie piła swoje mleko.

– Teraz wszystko jest w porządku. Rozmawiałam dzisiaj ze świętym Mikołajem. Na Gwiazdkę będziemy mieć śnieg – powiedziała.

Parsknęłam i o mało nie udławiłam się mlekiem.

– Dobry Boże – powiedziałam w swoją serwetkę.

– To prawda! – odparowała Abbie.

– W Kalifornii nie pada śnieg – odpowiedziałam, przełykając szybko, bojąc się, że wybuchnę śmiechem mając pełne usta. – I nie rozmawiałaś ze świętym Mikołajem. Rozmawiałaś z włóczęgą koło torów kolejowych.

– Zobaczysz – powiedziała, patrząc zimno na mnie. Położyła srebrną łyżeczkę na talerzyku i zwróciła się do Mamy. – Czy mogę teraz pójść do mojego pokoju?

Jak na małe dziecko Abbie ma klasę. Kiedy chce, umie być wyniosła niby angielska królowa. Ale gdy myślała, że nikt nie patrzy, zrobiła minę w moim kierunku. Musiałam ją nieźle dotknąć.

Mama westchnęła i powiedziała:

– Dobrze, idź.

Później, kiedy wszyscy poszli do łóżek, ukradkiem, już w nocnej koszuli, zeszłam po schodach i zapaliłam lampki na choince. Kucnęłam, a potem na czworakach zaczęłam łazić pod drzewkiem dotykając prezentów. Udało mi się odkryć prawie wszystko, co było przeznaczone dla mnie. Para disco wrotek, takich dużych i ciężkich. Było też sporo książek i ubrań, i innych drobiazgów. I byłam prawie pewna, że w długim, płaskim pudle jest rakieta tenisowa. Największy prezent, rower z przerzutką stał jeszcze nie rozpakowany, w garażu, bo Tata myśli, że nigdy tam nie zaglądam. Pewnie chcą go przynieść w Wigilię rano, kiedy jeszcze będziemy spały i zawiesić na nim karteczkę z podpisem: *od Mikołaja*.

Większość z prezentów dla Abbie była dla mnie zupełną tajemnicą. Potrząsałam nimi i macałam je. Kłopot w tym, że Abbie o nic w tym roku nie prosiła. Powtarzała, że wszystko czego chce, to śnieg na Wigilię.

Podniosłam się i wyjrzałam przez okno. Na naszym podwórku rosła palma, tuż obok drzewka cytryny, obwieszonego żółtymi owocami. To byłoby naprawdę dziwne, zobaczyć te drzewa przykryte śniegiem.

Wzięłam czekoladową szyszkę ze starannie przygotowanej przez Mamę dekoracji na kominku i ssałam ją wolno. Abbie nie najlepiej czuła się w Kalifornii. Minęło już ponad sześć miesięcy od czasu, jak przeprowadziłyśmy się z Minneapolis. Mnie nowy dom wydawał się rajem. Dziewczęta w szkole, do której poszłam, były bardzo miłe, nawet w stosunku do mnie – nowej. A kalifornijscy chłopcy byli prawie wszyscy wspaniali. Niedługo miał się rozpocząć styczeń, a nasze zimowe rzeczy leżały ciągle przysypane naftaliną. Jak dotąd, tylko raz złapał lekki przymrozek, wcześnie rano. Później tego samego dnia grałam na dworze w tenisa w podkoszulce i szortach. W porównaniu z tym Minneapolis wyglądało jak zlodowaciała makabra.

Ale Abbie patrzyła na to w inny sposób. Przez całą jesień czekała, żeby liście zmieniły kolor. Pod koniec listopada jeden orzech włoski rosnący na naszej ulicy wreszcie zbrązowiał i opadły mu liście. Właściciel powiedział, że to z powodu choroby.

Od tego czasu Abbie czekała uparcie na pierwszy śnieg. Chciała zrobić bałwana i pójść na łyżwy. Stale pytała, kiedy zamarznie jeziorko w parku. A teraz jeszcze ta historia ze świętym Mikołajem i białą Gwiazdką. To wcale nie było przyjemne, ale zaczynałam myśleć, że moja mała siostrzyczka ma trochę nie po kolei w głowie. Zgasiłam lampki, położyłam szyszkę z wyjedzonym środkiem na miejsce i cichutko wróciłam po schodach do swojego pokoju.

Minęło parę dni. Pewnego popołudnia pojechaliśmy do śródmieścia po ostatnie zakupy. Mama chciała pudełko sera dla listonosza, a Tata specjalne piłki golfowe dla swego szefa.

Podczas gdy rodzice chodzili po domu towarowym, ja miałam zabrać Abbie i pokazać jej świętego Mikołaja siedzącego na placyku pomiędzy sklepami, wewnątrz małej, białej klatki, w kształcie ogrodowej altanki. Dzieci, te naprawdę małe, bały się usiąść mu na kolanach. Wiele z nich płakało.

Mikołaj przez cały czas powtarzał: „No, no, no, no! No, no, no, no". W pewnym momencie zauważyłam, że podniósł oczy na sufit i przewrócił nimi. To musi być okropna praca.

Kiedy docisnęłyśmy się do trzeciego rzędu, Abbie spojrzała na mnie i powiedziała bardzo głośno tym swoim niskim głosem:

– Czy będzie O.K. jeżeli już sobie pójdziemy?

– Myślałam, że chciałaś zobaczyć świętego Mikołaja. Sądziłam, że sprawię ci przyjemność – odpowiedziałam.


Janusz Gutkowski

– Słuchaj, umiem poznać świętego Mikołaja. A ten facet jest podrobiony – krakała Abbie. – Żaden sztuczny święty Mikołaj nie będzie ze **mnie** robić głupiej.

Cały tłum odwrócił się i patrzył na nas. Myślałam, że umrę. Złapałam Abbie za ramię i wyprowadziłam ją z tłoku.

– To nie do wiary – mówiłam, starając się nie krzyczeć. – Więc nadal uważasz, że ten stary włóczęga był świętym Mikołajem?

– To, że nie nosił czerwonego płaszcza i butów, nie oznacza od razu, że nim nie był – jej oczy błyszczały jak dwa małe ogniki. Była przekonana, że ma rację – całkowicie i kompletnie przekonana. W tym momencie nienawidziłam tego łazęgi.

Kiedy we czwórkę wsiadaliśmy do samochodu, ciągle jeszcze kłóciłyśmy się z Abbie. Chciałam, żeby zobaczyła, kim był naprawdę ten włóczęga spotkany przy torach kolejowych. Wiedziałam jaki zawód przeżyje w Wigilię rano. Ale wreszcie Tata kazał nam obu być cicho, jeżeli nie umiemy miło ze sobą rozmawiać i musiałam dać spokój. Abbie nie ustąpiła.

❄ O piątej trzydzieści w wigilijny poranek Abbie cichutko wślizgnęła się do mojej sypialni. Było jeszcze ciemno. Kiedy otulałam się ciepłymi kocami, słyszałam miły szum lejącego na zewnątrz deszczu.

Abbie potrząsnęła mnie za ramię.

– Nie śpisz? – wyszeptała.

– Nie – mruknęłam i naciągnęłam koce na głowę.

– Nie pada śnieg – bardzo cicho powiedziała Abbie. – Czy mogę wejść do ciebie do łóżka?

– Co? – usiadłam i spojrzałam na zegarek. – Nie chcesz zejść na dół zobaczyć, co przyniósł dla nas święty Mikołaj?

– Nie. Jakoś nie mam ochoty – cichutko pociągnęła nosem w ciemnościach. – Chcę wrócić do domu.

– Och, Abbie, chodź tu – weszła na łóżko i wsunęła się pod koce. Jej stopy były lodowato zimne.

Przytuliłam ją, a ona płakała, tuląc do mnie buzię.

Nienawidziłam tej gry. Ktoś już dawno powinien był powiedzieć jej prawdę. Wtedy nic takiego by się nie stało. Ale wiedziałam, że to nie jest czas na generalne prawdy. Było mi jej żal.

– Czasami Mikołaj po prostu nie może dać nam wszystkiego, o co prosimy. Musi robić to, co jest najlepsze dla większości ludzi. Gdyby zaczął padać śnieg, wiele palm i drzew owocowych by umarło. Może zamarzłyby rury z wodą. Tutaj nawet nie mają pługów śnieżnych. Wierz mi, bardzo dużo ludzi by to zasmuciło. Mikołaj nie może chodzić sobie i zasmucać ludzi.

– Mnie zasmucił – płakała.

– Słuchaj... – zaczęłam.

I właśnie w tym momencie usłyszałyśmy trzask przekręcanej klamki drzwi wejściowych, a potem zgrzyt zawiasów. Dreszcz przebiegł mi po krzyżu.

– Co to? – wyszeptałam.

– Frontowe drzwi – zasyczała Abbie. Miała szeroko otwarte oczy.

Wyskoczyłam z łóżka, chwytając po drodze najcięższy przedmiot, jaki mogłam znaleźć, moje terrarium.

Ze szczytu schodów słyszałyśmy wyraźnie głośny szum deszczu, dochodzący przez otwarte drzwi. W bladym świetle poranka widać było ciemną postać stojącą koło choinki.

Zebrałam całą swoją odwagę, zrobiłam krok i nacisnęłam przycisk zapalający światło w salonie.

– Co pan tutaj robi? – nie wytrzymałam. Mój głos był wysoki i skrzekliwy, czułam się strasznie głupio.

Mężczyzna odwrócił się w naszą stronę. Miał na sobie sponiewierany, stary kapelusz, wyświechtany płaszcz i zużytą parę przeciekających trampek. Jego pomarszczoną twarz okalały białe włosy i długa, biała broda, potargana i ociekająca deszczem. Pod jednym ramieniem trzymał duże, brązowe pudło.

– To on! – krzyknęła Abbie. – To święty Mikołaj!

– O czym ty mówisz? To złodziej! – krzyczałam. – Mamo! Tato!

Stary włóczęga położył palec na popękanych ustach. Postawił szybko pudło pod choinką, potem zdjął kapelusz i powiedział:

– Wesołych świąt, Abbie.

Następnie zniknął za drzwiami, zostawiając za sobą kałuże wody.

– Poczekaj! – krzyknęła Abbie, otwierając znowu drzwi. Ale stary człowiek już znikł.

Zatrzymałam się obok brązowego kartonu. Był zrobiony z pomarszczonej tektury, która wyglądała na mokrą, ale w dotyku była sucha i nawoskowana. Rogi miał wygięte i wymiętoszone. Musiał pamiętać lepsze dni. Podniosłam pudło w górę i potrząsnęłam nim. Wewnątrz delikatnie przesuwało się coś ciężkiego.

– Co to jest? – krzyknęła Abbie, nie mogąc złapać tchu.

Na wierzchu przyklejona była etykietka, na której napisano ozdobnym, choć raczej chwiejnym pismem:

Czysty śnieg
starannie sporządzona mieszanka
z lodowych pól Tybetu

Z drugiej strony papieru przebijało orientalne pismo.

– Sądzę, że to jest... że to jest śnieg – wyjąkałam. Nigdy w życiu nie byłam tak zdziwiona.

– Śnieg! – wrzasnęła Abbie, zrywając taśmę.

– Co tam na dole się dzieje? – usłyszałyśmy zaspany głos Mamy dochodzący z góry.

Ale żadna z nas nie odpowiedziała. Wewnątrz kartonu było małe, drewniane pudełko z ręcznie zrobioną pokrywą, podrapane i poobtłukiwane w kilku miejscach. Było starannie obłożone parującym suchym lodem. W unoszących się oparach Abbie otworzyła drewniane pudełko.

Pochyliłyśmy się nad nim i poczułyśmy nagle rześki zapach skał, mroźnego błękitnego nieba i nagły podmuch wiatru.

Stałam wstrzymując oddech i mrugając oczami. Abbie zanurzyła w pudle ręce, straciwszy głos z zachwytu. Wyciągnęła je pokryte zamrożonymi, białymi kryształkami.

❄ Po świątecznej kolacji Abbie siedziała koło ognia rysując, a ja wyszłam przed dom wypróbować nową rakietę tenisową. Przechodząc usłyszałam przypadkiem jak Tata z Mamą rozmawiają zmywając naczynia.

– Kochanie, to był prawdopodobnie sztuczny śnieg.

– I jak tak myślę – odpowiedziała Mama bez przekonania. – Ale jednak, nie wiemy przecież, jak wygląda tybetański śnieg.

Tata prychnął.

– Nie mów mi, że dałaś się na to nabrać. Ten facet to stary włóczęga. Skąd miałby wziąć tybetański śnieg?

– Pewnie masz rację, kochanie – westchnęła Mama. – To jednak strasznie miło, że zrobił sobie tyle kłopotu.

Machnęłam rakietą i pomyślałam o tych wszystkich pociągach przemierzających wzdłuż i wszerz Kalifornię. Którymś z nich może jechać dzisiejszej nocy przyjaciel Abbie. Być może jest teraz w Gilroy albo w Salinas.

Machnęłam jeszcze raz rakietą. Ale może też być na Biegunie Północnym.

Przełożyła **Dorota Malinowska**

Stasys, droga i naszyjnik z kropel deszczu

1. Ta opowieść zaczyna się niezbyt blisko i nie bardzo daleko, jej początek nie sięga w głąb czasu, choć czasu minionego przywrócić nie zdoła. Może jest podobna, a może zupełnie różna od kilku innych, choć przywołując miejsca, w których się zrodziła przypomina coś jakby już widzianego i słyszanego.



Repr. Z. Latała

2. Nie sposób było sięgnąć oczami krańca równiny, której maleńki skrawek zajmowało kilka skupionych przy sobie domów z dwuspadzistymi dachami. Gdzieniegdzie, pomiędzy falującymi łanami żyta, stało drzewo – nie za wysokie, nie za potężne. Choć nieco dalej, nie tak daleko, by nie można było dojść tam nawet podczas krótkiego dnia, rosło wiele drzew potężniejących w leśnym mroku. Ich zapach unosił się ciągle w izbie Stasysa, najwięcej było go jednak na strychu, pod samym dachem ułożonym ze zżętej słomy, przykrywającej dom jak polna czupryna. Las przypominała też czworokątna studnia ocembrowana drewnianymi balami i studzienny żuraw zadzierający ostry dziób do sunących nisko po niebie ciężkich i napęczniałych chmur. W głębi studni błękitniało nieruchome oko nieba, które można było zmusić do mrugania wrzucając patyk lub kamień.

Stasys siedział pod domem i czekał. Najpierw usłyszał powolne klekotanie kół, potem parsknięcia zamyślonego konia, aż wreszcie niegłośny krzyk ojca – „chodź tu Stasys, pomożesz". Gdy biegł, gęste włosy szumiały jak trzciny na moczarach kołysane leniwą falą, szepczące coś do ucha rozespanego wiatru. Nie zdążył pożegnać się z bocianem, który w pośpiechu wpadł do kuchni i porwał kawałek chleba na drogę.

3. Noc dzwoniła iskrzącym się mrozem jak dzwonkami u sań. Ptak usiadł bezszelestnie na gałęzi i wlepił w Stasysa okrągłe jak złote pieniążki oczy.

– Dlaczego twoje oczy, choć ogromne jak lustra reflektorów nie rażą blaskiem, są głębokie i mroczne jak przepaść? – zapytał Stasys. – Czy po to, bym się przejrzał? Czy jest w nich straszna pustka?

– Nie, nie ma w nich pustki, jest w nich tęsknota, jak w twoich, i tajemnica, choć inna od twojej. Czy tęsknota i tajemnica mogą być pustką?

4. Stasys posuwał się po błotnistej drodze. Ranek był ciemny, błoto chlupotało i mlaskało łakomie, próbując wessać jego cienkie nogi, a szkoła zbliżała się mozolnie i powoli. Żeby tak droga ta była z drewna, żeby można było iść po niej jak po suchym, pachnącym pniu drzewa, myślał Stasys patrząc na szare niebo. Idący obok Pinokio zwiesił ze smutkiem głowę.

– Czym się martwisz – zapytał Stasys – czy coś się stało?

– Ja nie mógłbym iść po drewnianej drodze. Nie mógłbym chodzić po drewnianej drodze, w żadnym przypadku.

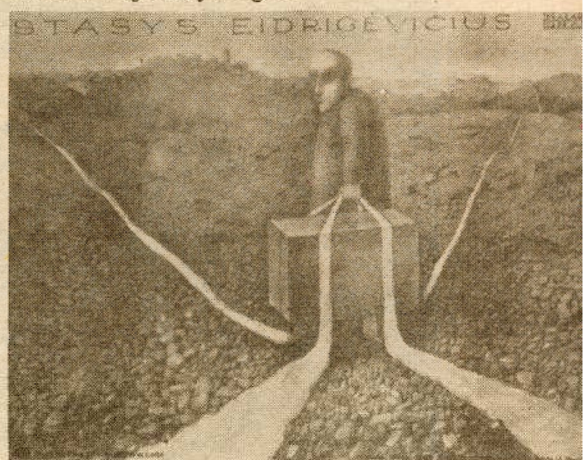


Droga jest tylko drogą – pomyślał Stasys – drogą, którą trzeba przejść.

5. To wszystko stało się jednocześnie, w krótkiej i jakby skrywającej swą wagę chwili. Ponad głową klekotał zagadkowo bocian a przez dziurę w dachu, którą jeszcze przed chwilą spływał warkocz wody, wpadł nagle ostry jak klinga bocianiego dzioba promień słońca. Wbił się w podłogę i zadrżał złocistym blaskiem. Stasys nie mógł oderwać odeń oczu, wydawało mu się, że promień żyje – rósł, skręcał się i wirował, to znów rozwiewał w smugę drgającego niecierpliwie złocistego pyłu, aż wreszcie, gdy znieruchomiały Stasys zapomniał oddychać, rozległ się głos, barwny i kolorowy, a jego dźwięk otoczył chłopca jak świetlista tęcza.

– Nadszedł czas, byś ruszył w drogę. Tak, wiem, że nie można udać się w drogę bez bagażu. Ja jednak mam coś dla ciebie. Nie zwlekaj, twój czas stoi już przed tobą, musisz go otworzyć. Weź to, co najbardziej potrzebne, walizkę dróg. Znajdziesz w niej cztery drogi...

Repr. Z. Latała



W tym samym momencie tej samej chwili nauczyciel brał do ręki zeszyt Stasysa i otwierał go powoli. Spojrzały nań twarze dzieci – wesołe, zatroskane, jasne i niepewne, lękające się i beztroskie, wpatrzone badawczo i umykające wzrokiem. Wirowały po marginesach kartek przykuwając uwagę okrągłymi oczyma. Guziczki oczu korciły, by je otworzyć, poznać zapięty na nie świat. Stasys stał milczący jak zawsze i jak zawsze spokojnie czekał.

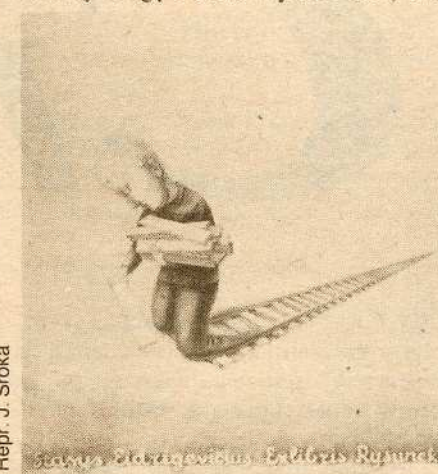
– Myślę, że wiem co mógłbyś zrobić, co powinieneś zrobić, gdy skończy się ta wiosna i gdy będziemy się żegnać. Nie chcę tego zostawiać na ostatnią chwilę. Powinieneś wiedzieć wcześniej.

– Ja wiem. Już wiem – odpowiedział cicho Stasys.

Repr. Z. Latała

Głos nadal mówił:

– Pierwszą z nich rozpoczniesz wędrówkę, ona nauczy cię stawiać kroki, przemierzając drugą nauczysz się patrzeć. Trzecią drogę musisz wybrać sam, ale


Repr. J. Sroka

ciąg dalszy na stronie 10



Eugeniusz Józefowski

Ken Wisman

Choinka

(The Christmas Tree)

Głęboko w lesie, w pobliżu stawu monotonnie gadającego z kroplami deszczu, w miejscu gdzie sitowie parowało w porannym słońcu, rosła grupa jodeł. Trzy z siedmiu drzew zamieszkiwały drzewne duchy. Jeden z nich nazywał się Pomona.

Jodła Pomony rosła na pagórku, w pewnym oddaleniu od pozostałych i najbliżej stawu, samotnie wystawiona na zimowe zawieje. Pomona lubiła swoją samotność.

Głęboko w lasach, gdzie żaden człowiek nie postawił jeszcze nogi, wciąż rządziły cztery boginki, Pory Roku. Po Matce Ziemi, je właśnie Pomona kochała najbardziej.

Wiosna była młodą dziewczyną, Lato nieco od niej star-

szą. Przynosiły ze sobą kardynały i drozdy. A Jesień ubierała się przepięknie. Ale Pomona najbardziej lubiła Zimę. Starą, mądrą kobietę o siwych włosach, znającą się na duchach i czarach.

Zima przynosiła ze sobą śnieg, który spadał na gałęzie drzew igrając z igłami jak ze strunami. Przy tym akompaniamencie Pomona śpiewała zawsze swoją Zimową Pieśń.

W ten sposób Pomona wzrastała w niewinności, w ostępach lasu, z dala od człowieka. Dlatego też nie rozpoznała dwunożnych stworzeń, które pewnej zimy zjawiły się w jodłowym zagajniku.

Jedno z nich niosło zwój liny, drugie piłę. Rozpoczęli swoją pracę ścinając i związując jodłę rosnącą poniżej pagórka. Pomona niewiele miała do powiedzenia innym duchom drzewnym w ciągu minionych siedmiu lat. Dlatego także nie miała im nic do powiedzenia, kiedy ich drzewa zostały ścięte. Mogła mieć tylko nadzieję, że tych dwóch ludzi ją ominie i wtedy będzie mieć las, jezioro i swoją Zimową Pieśń tylko dla siebie.

Ale kiedy sześć jodeł padło, mężczyźni stanęli przed drzewem Pomony.

– Piękna – powiedział Mike, wypuszczając z ust kłęby białej pary.

– Siedem stóp, co do cala – dodał Bob. Jego fajka parowała w wilgotnym powietrzu.

Bob przyłożył piłę do pnia jodły.

Pomona krzyknęła: *Nie!*

Ale mężczyźni nie widzieli jej, ani nie słyszeli. I nagle Pomona runęła, boleśnie uderzając o swą Matkę Ziemię.

Bob i Mike załadowali siedem jodeł na sanie, a osiem psów pociągnęło ładunek do drogi, przy której stało kilka ciężarówek. Jeden z kierowców wręczył Mike'owi pieniądze. Pomonę rzucono na samochód wraz z dziesiątkami innych drzew.

Kiedy już jechali, Pomona zapytała ducha drzewa leżącego na niej: *Gdzie nas zabierają?*

Na sprzedaż, odpowiedział duch, który zamieszkiwał drzewo stojące koło drogi i dzięki temu obserwował przychodzenie i odchodzenie ludzi. *Na swoje święto.*

Odpowiedź wzbudziła setki kolejnych pytań w umyśle Pomony. Ale nie zadała ich. Nie była przyjacielskim duchem i wolała cierpieć w samotności.

Jodłę Pomony postawiono w rogu parkingu, obwieszoną sznurami kolorowych świateł. Z głośników wydzielała się dziwna, trzeszcząca muzyka. Dniem i nocą przychodzili ludzie szarpiąc drzewo za gałęzie. Lub potrząsając jej pień, albo ciągnąc za igły, aż te leciały na ziemię.

Po trzech dniach spędzonych na tym parkingu była jak odrętwiała od tych upokorzeń. Nie usłyszała więc rozmowy małego chłopca z jego ojcem.

– Ma gęste gałęzie – powiedział ojciec. – Co o niej myślisz, Jamie?

Chłopiec patrzył na czubek drzewa, gdzie Pomona leżała apatycznie.

– Tam jest anioł.

John roześmiał się.

– No cóż, myślę, że nie mogłeś jej lepiej zarekomendować.

Ojciec zapłacił człowiekowi na parkingu dwadzieścia pięć dolarów, przywiązał drzewo Pomony na bagażniku samochodu i odjechał.

Jodłę postawiono w rogu pokoju. Ten człowiek, który ją kupił, porozwieszał też sploty kolorowych świateł na jej gałęziach. Jeden z przewodów był stary i przetarty. Kiedy John sprawdzał światełka, zaiskrzył się.

Czy ten głupiec nie widział tego? powiedziała, a potem westchnęła: *Co za różnica? Lepsza szybka śmierć niż powolne umieranie z pragnienia. A kiedy stanę w płomieniach, zapalę dom. Zginą razem ze mną. Dobrze im tak.*

Uśmiechnęła się z satysfakcją.

W domu było gorąco. I sucho. Wilgoć uciekała z igieł drzewa w alarmującym tempie. A ponieważ życie Pomony było związane z życiem drzewa, stawała się coraz słabsza.

Chce mi się pić, powiedziała. *Bardzo chce mi się pić.*

Czy chciałabyś napić się wody? – zapytał jakiś głos dochodzący spod gałęzi.

Pomona zaszokowana patrzyła na wychodzącego stamtąd chłopca. Pragnienie zwyciężyło dumę.

Tak, odpowiedziała.

Jamie przyniósł szklankę wody i stanął na palcach wyciągając ją w kierunku wierzchołka.

Drzewa nie poi się tak jak człowieka! powiedziała Pomona ostro.

Jamie przyprowadził ojca, który przyjrzał się opadłym igłom i kruchym gałęziom, po czym wstawił drzewko do wiadra z wodą.

Kiedy John odszedł, Pomona zapytała Jamiego: *Jak ja według ciebie wyglądam?*

– Jesteś aniołem, który mieszka na drzewie. Mniej więcej tak dużym – Jamie pokazał rękami sześć cali. – Jesteś bardzo ładna.

Nie jestem aniołem, powiedziała Pomona, *jestem drzewnym duchem. Wieki temu wszyscy ludzie mogli mnie widzieć. Ale w tym świecie nie ma już miejsca na magię. Ludzie zapomnieli o świecie czarów...*

Chłopiec potrząsnął głową.

Twoje zaprzeczenie nic nie zmieni.

– Czy masz dosyć wody? – zapytał Jamie.

Pomona zignorowała go i chłopiec odszedł.

Jing-O, kot, przyszedł następnego dnia i zaczął wdrapywać się po pniu jodły. Odzyskawszy, dzięki wodzie swoje siły, duch nadął się do rozmiarów dwa razy większych i pospieszył w dół po gałęziach. Jing-O z wrzaskiem uciekł.

Następnego dnia padał śnieg. Wielkie płatki lgnęły do okien jak ćmy przyciągane ogniem. Pomona wzdychając leżała na gałęziach.

– O co chodzi? – doszedł ją głos chłopca.

Zostaw mnie w spokoju.

– Chodzi o śnieg?

Nie było odpowiedzi.

– Mogę ci trochę przynieść tutaj.

Głupiec! krzyknęła Pomona. *W ciągu paru minut by się roztopił.*

– Ty mnie nie lubisz – powiedział Jamie.

Zapłaciliście, żeby moje drzewo pozbawić korzeni. Bez drzewa umrę.

– Przykro mi. Tatuś nie wiedział, że zrani cię przyniesienie tutaj. Zawsze mieliśmy sztuczną choinkę. Ale w tym roku Mamusia jest bardzo chora i Tatuś chciał, żebyśmy mieli specjalne drzewko.

Odpowiedziała mu cisza.

Jamie uklęknął koło wiadra i z całych sił popchnął je. Drzewo przesunęło się o parę cali. Jamie popchnął znowu i gałęzie zaszorowały po oknie...

Otwórz je! powiedziała Pomona.

Jamie wypchnął okno i gałęzie wyskoczyły na zewnątrz. Śnieg wpadał między igły, które wydawały delikatny dzwoniący dźwięk. Pomona śpiewała.

Jamie cofnął się w zachwycie... śpiew Pomony był piękniejszy od wszystkiego, co kiedykolwiek słyszał. Śpiewała o północnych wiatrach, o siwych włosach starej Pani Zimy, które opadały śniegiem na całą ziemię. Ta część pieśni Pomony była smutna.

Wyśpiewywała także obietnicę wiosny – bo w starej Pani Zimie było też ziarno kwitnienia, a jej śmierć oznaczała narodziny wiosny. I ta część pieśni Pomony była pełna szczęścia.

Śpiew trafił do serca Jamiego i zmienił chłopca.

Następnego dnia rodzina ubierała choinkę. John zniósł Mary na dół i położył ją na kanapie. Była słaba i blada.

...Stasys

ciąg dalszy ze strony 7

gdy już tego dokonasz, będziesz umiał mówić, a wtedy otworzy się czwarta droga, która zaprowadzi cię wszędzie. Tę drogę będziesz przemierzać często i będzie ona coraz to inna, coraz to inny będzie jej kres i inne powroty – bo zawsze będziesz wracał tam skąd wyszedłeś i za każdym razem będziesz wracał bogatszy.

Kiedy stanął przed ojcem, powiedział – chciałbym, ojcze, uczyć się rysować. Ojciec odwrócił się do niego jakby zaskoczony. Wpatrywał się w oczy Stasysa, jak zawsze spokojne, próbując dociec jak silne jest to co usłyszał, a potem rozłożył ręce i zatrzepotał nimi tak jakoś jak bezradny ptak.

6. Świat za oknem pęczniał od wilgoci i choć wszystko rozpływało się w szarej przestrzeni, Stasys odróżniał każdą kroplę, patrzył jak leci bez opamiętania i z hukiem uderza o ziemię. Szmer wykładu ledwie doń docierał, trudno było wyłowić zeń coś, co przykułoby uwagę – „tak, tak, tak, szu, szu, szu, sztuka, sztuka, sztu, sztu, sztu... ka... ka... ka". Choć nie słuchał, słyszał to codziennie – powtarzane, wykrzykiwane, wyśpiewywane, szeptane, wysupływane z bolesnym jękiem, zatańczone, wypatroszone, powycierane, kochane i zużyte. Płomienne dyskusje rozpalające młodych jak on ludzi, świadomych jego uparcie milczącej obecności, otaczały go jak powietrze. Czasami wyławiał jakieś słowa, zastanawiały go, wirowały przed nim, obracały się, uśmiechały filuternie i rozpryskiwały jak mydlane bańki. To nie to, myślał, ja wiem. Wiem. Artysta, sztuka, artysta, forma, kolor, sztuka, przestrzeń, linia, ekspresja, symbolizm, izmy, izmy, izmy, my, my, my – wyszlifowane jak diamenty słowa unosiły się w powietrzu jak kosmiczny pył. Szlifiernia słów.

Za oknem zaświecił blask deszczowej łzy, która nie zdążyła spłynąć z liścia i wysychała teraz powoli na zielonym policzku rozgrzanym od słońca. Nieco niżej, w błotnistej kałuży taplała się gromada innych kropel, jednak najuważniej przyglądał się tym, które wybrały miękką, pulchną ziemię, wydrążyły w niej kręte tuneliki, by połączyć się z innymi i zamienić w nałowiste potoki spadające po zboczach z nieokiełznaną, radosną fantazją. Tak musi być, myślał, krople, które znajdą się w napoju są jego smakiem i zapachem.

Repr. Z. Latała

7. Wreszcie wybrał się do kina. Chciałby obejrzeć wiele filmów, musiał jednak wybrać jeden. Konieczność podjęcia decyzji zmęczyła go, czuł się jak w labiryncie, nie chciał by film, na który pójdzie, rozczarował go. Utkana z mrocznego pluszu kotara uchyliła się i wyjrzał Ptak wlepiając w niego oczy jak rozświetlone soczewki obiektywów.

– Chcesz wejść, prawda? – wyszeptał ptasim szeptem. – Proszę, wejdź i bądź cicho. Dzisiaj gramy film wprost cudowny, nosi tytuł „Cria cuervos", piękny, prawda? I taki tajemniczy.

Ptak uchylił kotarę i zaprosił Stasysa gestem skrzydła.



W głębokim mroku widniały zarysy nieruchomych głów tkwiących obok siebie w równych odstępach jak gliniane garnki nasadzone na sztachety płotu. Ponad nimi falowała srebrzysta smuga iskrząc i błyszcząc. Pęczniała i migotała w zupełnej ciszy, nagle podpłynęła do niego, objęła go delikatnie i pociągnęła w głąb.

Gdy wychodził, zatrzymało go błękitne lustro, w którym odnalazł się innym i jakby odmienionym. Zadzierał z zadumą głowę i wydawało mu się, że tkwi w innym wymiarze, nieobecny pomiędzy mieszkańcami znajomego miasta, nagle obcy, jakby jego życie było dalszym ciągiem filmu. „Ach – westchnął Stasys – kino..."

Repr. Z. Latała

8. Biało-czerwony semafor machał na powitanie piszcząc przeraźliwie jak pisklę, które wypadło z gniazda. Stasys rozglądał się wokół lecz nie odczuwał przerażenia ani obcości. To było raczej jak powrót do niedawno opuszczonego miejsca. Droga wiła się po pustej płachcie zieleni z wyrosłym gdzieniegdzie zygzakowatym drzewem.



Repr. Z. Latała



Repr. J. Sroka

Każdy dom mógł być jego domem z bocianim gniazdem rozłożonym przy kominie i studziennym żurawiem zerkającym w okno. Ptaki zaglądały w oczy z podobnie dociekliwym zaciekawieniem.

Gdy podeszła do niego, to jakby spotkali się po rannym rozstaniu. Położyła mu ręce na dłoniach i wyszeptała drżąca i ciepła:

– Witaj Stasys.

Patrzył jej w oczy długo, aż wreszcie zaczął mówić. Mówił tak coraz więcej i więcej jakby otworzyła się nagle tama narastająca przez ostatnie lata milczenia. Słuchał tych płynących nieprzerwanym potokiem słów i nie mógł uwierzyć, że są to jego własne słowa.

Zazwyczaj w podobnym momencie pisze się: „i żyli odtąd długo i szczęśliwie" co zastępuje napis „koniec". Długie szczęście z trudem daje się zmieścić w długim opisie, a zresztą któż tak naprawdę miał okazję je poznać? Moja opowieść właściwie dopiero rozpoczyna się na dobre, choć do napisania pozostało już niewiele słów.

Stasys nie potrafił nazwać szczęścia. Wiedział, że spotykał je czasami na krótką chwilę, przelotnie i nieuważnie, i dopiero później rozpoznawał. Gdy zastanawiał się nad tym, czego nie czynił zbyt często, myślał, że musi to być chyba cała, biegnąca w obydwie strony droga, z której zapamię-

ciąg dalszy na stronie 18

John i Jamie wieszali ozdoby – Jamie podawał ojcu złote i srebrne bombki, i łańcuchy.

– Te są nowe, Mary – powiedział John pokazując jej srebrną ozdobę. – Wiesz, że wczoraj zastałem naszą choinkę z gałęziami za oknem...

– Anioł chciał poczuć śnieg – wtrącił Jamie.

– Więc poszliśmy z Jamiem do sklepu w śródmieściu – ciągnął dalej John – i on znalazł tam te ozdoby. Wyglądają jak wielkie płatki śniegu – mówił. – Będą się podobać aniołowi.

John patrzył na swoją żonę, która zapadła w sen. Jamie wziął jeden ze szklanych płatków, podszedł na palcach do swojej mamy i położył go między jej wychudłymi dłońmi.

– Ciii – powiedział John. – Nie obudź jej.

Stanął z boku i przyglądał się dekoracji.

– Niezła robota. To naprawdę ładne drzewko.

Następnego dnia była Gwiazdka. John zniósł Mary na dół. Czuła się lepiej. Jamie przez cały czas kręcił się tuż koło mamy.

– Idź, zobacz, Jamie – wyszeptała Mary. – Otwórz swoje prezenty.

Chłopiec pobiegł do drzewka i zaczął rozrywać kolorowe opakowania. Każdy prezent przynosił i pokazywał mamie. Mary wkrótce zasnęła. John podniósł ją i pomyślał, że każdego dnia wydaje się dużo lżejsza.

Kiedy John niósł Mary na górę, Pomona zapytała Jamiego:

Co to za święto?

– To dla dzieciątka Jezus – odpowiedział Jamie.

To niewiele tłumaczy.

– Zapytam Tatę.

Kiedy John wrócił na dół, ze ściągniętą bólem twarzą, Jamie zapytał.

– Anioł chce wiedzieć, co to jest Gwiazdka.

– Cóż, powiedz mu, że dla różnych ludzi oznacza ona różne sprawy – powiedział John. – Niektórzy czczą ją jako święto chrześcijańskie. Ale twoja matka nie jest chrześcijanką, a ona obchodzi ją także. Twoja mamusia mówi, że to nieważne, czy Jezus należy do tej religii czy do innej. Ważne jest tylko, co on reprezentuje. Dla niej Gwiazdka to święto na cześć dobra w ludzkiej duszy i całej miłości, która wypełnia ludzkie serca.

Tak mówi twoja mama. Ona jest bardzo mądra.

– Mamusia umrze, tak Tato? – zapytał Jamie.

– Nie – odpowiedział zmieszany pytaniem John. Trzymał w ramionach syna, który przytulał się do niego. Pocałowali się. – Tak, Jamie. Tak. Twoja mama umiera. Ale chciałbym, żebyś coś pamiętał. Ona dała ci życie. Więc będzie żyła poprzez ciebie. Czy rozumiesz, Jamie?

Jamie spojrzał na Pomonę, która przyglądała mu się ze swego miejsca na drzewie. Jamie pamiętał Zimową Pieśń Pomony: Starą Kobietę Zimę, która niosła w sobie zasiew wiosny i nowego życia, i której śmierć pozwalała, żeby życie toczyło się dalej.

– Rozumiem.

Kiedy wszyscy poszli sobie, Pomona zeszła na dół i obejrzała prezenty. Jak większość drzewnych duchów, wychowana pod gwiazdami i planetami, kochała błyszczące, piękne przedmioty. Poza prezentami podziwiała także drzewko, ponieważ John pozostawił zapalone lampki i tysiące tysięcy gwiazd lśniło odbijając się w bombkach i błyskotkach.

Pomona weszła na czubek drzewa i położyła się pomiędzy gałęziami. Ale zbyt wiele myśli kłębiło się jej w głowie i nie dawało spać.

Ci ludzie nie tylko przynieśli ją tutaj i skazali na powolną śmierć, ale też pokazali jej swoje smutki. Cała radość, jakiej doznała oglądając pięknie przystrojone drzewko, gdzieś znikła.

Pomona drzemała. Nagle obudziły ją trzaski i zapach spalenizny. W panice sfrunęła na dół.

I stało się, tak jak przewidziała. Zniszczony przewód spowodował pożar.

Lęk zamienił się w gniew.

Dobrze im tak, myślała, zginą razem ze mną w tym strasznym ogniu.

Jamie, szepnęła Pomona. Unosiła się nad jego łóżkiem. Ale głos jej był tylko cichutkim, zachrypniętym szeptem, który nie mógł obudzić chłopca.

Jamie, zawołała znowu. Wtedy przypomniała sobie Zimową Pieśń. Zaśpiewała. Chłopiec usłyszał. Otworzył oczy i krzyknął:

– Mamusiu!

Pomona powiedziała: *Słuchaj uważnie. Pali się. Musicie wydostać się z domu.*

Jamie wybiegł ze swego pokoju do korytarza, gdzie dym kłębił się jak ciężkie chmury przed deszczem. Wpadł do pokoju ojca i obudził go.

John ukląkł.

– Jamie, biegnij na dół i wyjdź tylnymi drzwiami. Zrobisz tak, synku?

– Tak.

– Ja muszę wziąć twoją mamę – John zniknął w głębi korytarza.

Idź za mną, powiedziała Pomona do Jamiego.

Poprowadziła go na dół, przez salon, gdzie Jamie chwycił pudełko ze szklanymi ozdobami. Po drodze wzięli także Jing-O, który tulił się przy tylnym wyjściu. Jamie wypadł prosto w ramiona strażaków.

Później, skulony na tylnym siedzeniu samochodu, Jamie otworzył pudło z ozdobami, z którego wyleciała, zmniejszona do wielkości chrząszcza, Pomona.

Moje drzewo nie żyje, szeptała Pomona. *Ja także muszę umrzeć. Jaka byłam głupia, że dałam się zmiękczyć tymi wszystkimi gadaniami o miłości i dobroci. To tylko dlatego, że dałeś mi wodę. I te godziny na śniegu.*

– Ciii – powiedział Jamie. Delikatnie dmuchnął w drzewnego ducha, kierując go z powrotem do pudełka. Potem zamknął pokrywę i zasnął.

Następnego dnia wprowadzili się do innego mieszkania. Po południu Jamie włożył pudełko z Pomoną i ozdobami do szuflady i wyszedł z ojcem.

Kiedy wrócił, otworzył pudło.

– Mam coś – powiedział do Pomony, która nie była teraz większa od komara.

Zostaw mnie w spokoju, zapiszczała.

Ale Jamie nie słyszał jej.

– Spójrz – powiedział wskazując doniczkę. Pomona frunęła na gałąź miniaturowej sosny.

– Widziałem wiele innych – mówił Jamie. – Niektóre nawet miały anioły podobne do ciebie, ale kupiliśmy taką, która nie miała.

Hmmm. Nie jest taka ładna jak moje poprzednie drzewo, zapiszczała Pomona. *I nie będzie pasować, jak wrócę do mojej poprzedniej wielkości. Ale musi wystarczyć.*

Uśmiechając się, Jamie niósł drzewko, żeby pokazać je swojej mamie.

W kwietniu mama Jamiego umarła. Chłopiec położył na jej grobie jedną z choinkowych ozdób w kształcie płatka śniegu.

I przez całe życie Jamie w ten właśnie sposób obchodził Gwiazdkę. Nawet kiedy był dorosły i ożenił się, nawet wtedy kiedy był już zbyt duży, żeby widzieć anioła, Jamie przychodził do swego taty i wieszał kryształową ozdobę na małej sosence i opowiadał historię Pomony swoim własnym dzieciom. Ponieważ Jamie wiedział, że Gwiazdka to coś więcej niż słodycze i prezenty – Gwiazdką jest to co święte, a najświętsza ze wszystkiego jest magia w sercu dziecka. Tą magią jest miłość, którą przynosi Gwiazdka.

Przełożyła Dorota Malinowska

Borys Sztern

Dziadek Mróz

(Died Moroz)

Naczelnik wydziału placówek wychowania przedszkolnego podszedł do okna. Za oknem był mroźny trzydziesty grudnia – przedostatni dzień roku. Na ulicy – ani żywej duszy. Miasto Nieftiesiewiersk wydobywało przednoworoczną ropę naftową.

No i co mam począć? – pomyślał naczelnik. Płacić z państwowej kieszeni? W zasadzie, można i z państwowej... choć to wbrew zasadom moralnym. Nie zapłacić? Wtedy dwa przedszkola złożą skargę i będą miały rację.

Naczelnik znowu wyjrzał przez okno. Pod domem stał staruszek z siwą brodą i osłaniając dłonią oczy, zaglądał do jego gabinetu.

A ten czego tu chce?

Staruszek odszedł od okna i skierował się za róg, w stronę drzwi prowadzących do wydziału placówek wychowania przedszkolnego.

A gdyby wziąć z ulicy? – pomyślał naczelnik. O, takie właśnie boże krówki... ale przecież on idzie do mnie!

I rzeczywiście – drzwi uchyliły się nieco i do gabinetu wsunęła się siwa broda.

– Proszę, proszę wejść – naczelnik zaczął gorączkowo zapraszać.

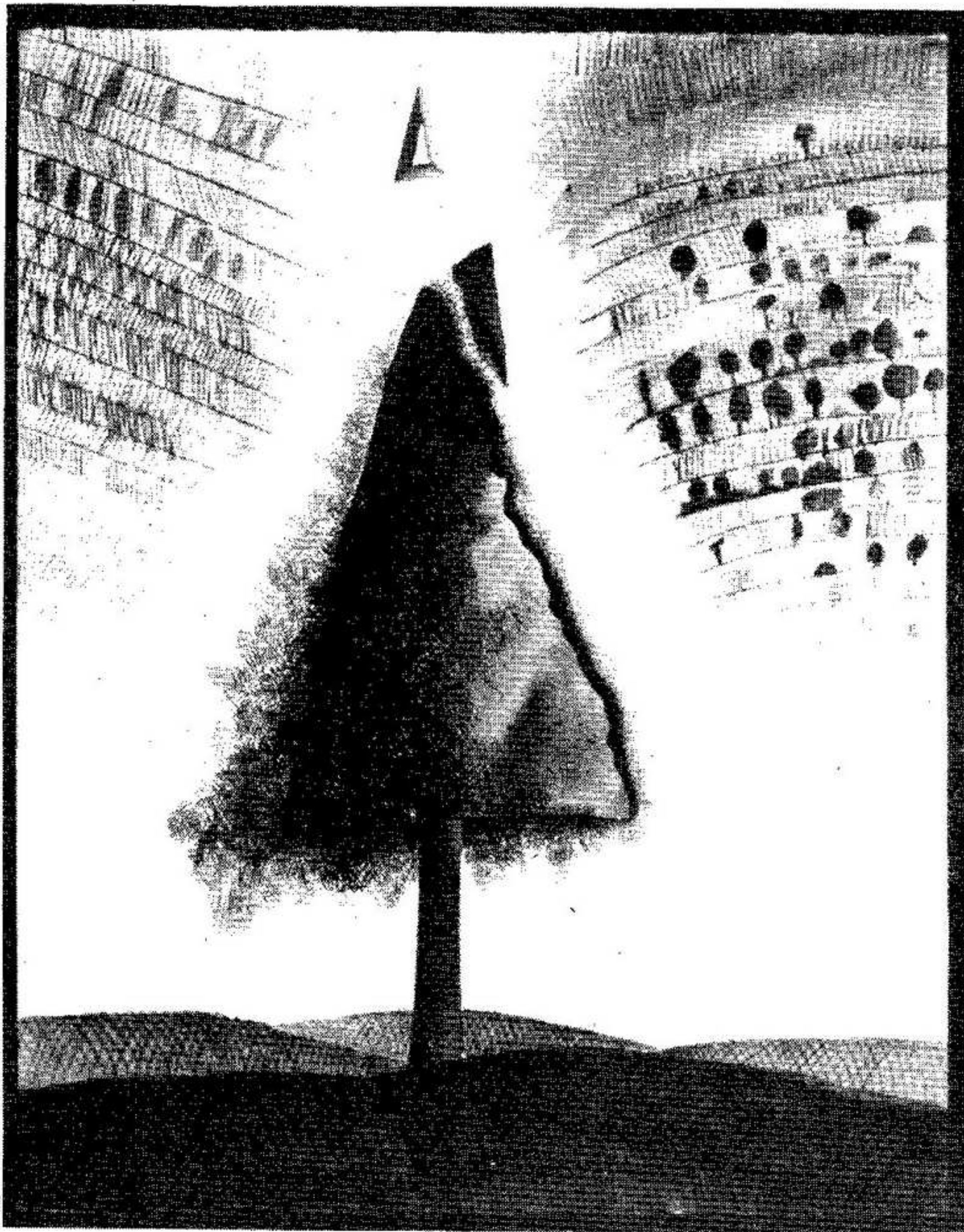
– Nie ma pan jakiejś miotełki? – zapytał staruszek.

– Proszę wejść. I tak tu brudno.

Staruszek tupnął nogami, potem zdjął czapkę i zaczął otrzepywać śnieg z płaszcza. Śnieg topniał na podłodze, a naczelnik zastanawiał się, jakiego podstępu użyć, by namówić staruszka.

– Bardzo się cieszę – rzekł naczelnik. – Właśnie pana potrzebowałem! Dawno już czekam!

Staruszek ze zdziwieniem zamrugał oczyma.



Eugeniusz Józefowski

– Widzi pan...

– Widzę wszystko. Czcigodny wiek... starszych ludzi ze wszech miar szanujemy i poważamy. Proszę palić, jeżeli pan pali.

Staruszek pospiesznie wydobył kapciuch i zaczął robić skręta.

– Gdzie pan pracuje? Na wiertnicy? – ciągnął naczelnik, a jego nozdrza dygotały pod wpływem dawno zapomnianego zapachu machorki. – Wnuki w przedszkolu? Nie? Aha, nie ma pan wnuków... No nic, wszystko dla pana zrobimy... załatwimy, zorientujemy się, podejmiemy kroki. Ale i pan powinien nam pomóc. Czy szanuje pan dzisiejszą młodzież?

– O tyle, o ile...
– Jestem zupełnie pańskiego zdania! Czy może zna pan Biełochwatskiego z teatru dramatycznego?
– Nie miałem zaszczytu...
– Niewielki to zaszczyt. Zwyczajny naciągacz. Żąda, pan rozumie? żeby zapłacić mu podwójną stawkę, bo w przeciwnym razie nie będzie grał Dziadka Mroza. I innych artystów też zbuntował! A ja mam przedszkola, pojmuje pan?
– Jeżeli dobrze zrozumiałem, proponuje mi pan ten... tego...
– Nie... to znaczy tak! Właśnie „tego"! Proszę mi nie przerywać, jeszcze nie wytłumaczyłem panu, jakie pan odniesie z tego korzyści. Niech pan weźmie dwa świąteczne poranki, dziś i jutro, i w ten sposób dorobi pan sobie na Nowy Rok. Proszę popatrzeć na swój płaszcz. Kołnierz poprzecierany, guziki – każdy inny, i czapka...
– Czapka jak czapka – zmieszał się staruszek. – Z królika.
– Proszę się nie gniewać, ale przecież chcę jak najlepiej. O... mógłby pan sobie kupić ciepłe botki. Przecież w półbutach zimno, prawda? Pieniądze dostanie pan zaraz po poranku, zadbam o to. Rekwizyty Dziadka Mroza mamy... Ech, nic z tego! Przecież pan nie zdąży się nauczyć roli.
– Zdążę, zdążę, mnie to nie pierwszyzna! – staruszek zamachał rękami. – Rolę znam, będę musiał tylko powtórzyć.
– Co za zbieg okoliczności – zdziwił się naczelnik. – A pan, w rzeczy samej, w jakiej sprawie?
– Ja... – wybąkał staruszek – po to właśnie przyszedłem... Na Dziadka Mroza...

❄ W przedszkolu niepokój, rodzice niezadowoleni. Zwolnili się z pracy, a dlaczego nie zaczyna się poranek?
– Dziadka Mroza jeszcze nie ma – uspokaja wszystkich kierowniczka przedszkola.
Ale oto i Dziadek Mróz. Dopiero co wszedł, położył tobół z rekwizytami na dziecięce szafeczki, wyżyma brodę, taje pomału. Nikt nie zwraca na niego uwagi, aż dopiero jedna leciwa sprzątaczka poznała go i zawołała kierowniczkę: przyszedł Dziadek Mróz! Rodzice siadają w sali zajęć muzycznych na czym popadnie, kierowniczka zaś prowadzi staruszka do swojego gabinetu.
Tam staruszek zdejmuje płaszcz i zostaje w wyszarzałym mundurze kolejarskim – wygląda na to, że kiedyś był maszynistą, albo kierownikiem pociągu.
– Nnno tak – mówi z rozczarowaniem w głosie kierowniczka. – Uprzedzam, że poświadczę wykonanie po pełnej godzinie. W ubiegłym roku jeden taki... podobny do pana... nabił nas w butelkę i popsuł cały poranek. Prześcieradło z prezentami jest w lewym rogu, pod oknem, niech pan nie zapomni. Nie rozumiem, pańska broda jest prawdziwa, czy co? Proszę szybko się przebrać i do pracy. Zaczynamy.
Staruszek pospiesznie zdejmuje kolejarski mundur i nakłada czerwony kaftan podbity watą. Patrzy w lustro. W kaftanie tkwią jeszcze pożółkłe igły sosnowe z ubiegłorocznego poranka. Nakłada czerwoną czapkę ze srebrnymi gwiazdeczkami, czarne walonki z papierowymi śnieżynkami, smaruje szminką policzki i nos. Rozczesuje brodę. Nagle płoszy się, wyciąga z kieszeni wymięty zeszyt, kartkuje, wbija wzrok w sufit i porusza ustami.
Z sali dobiegają dźwięki fortepianu.
– Dzieci, a kto ma dzisiaj do nas przyjść? – pyta pani od muzyki.
– Dziadek Mróz... – odpowiadają nierówno dzieci.
– Właśnie! Zuchy! Zawołajmy go! Chórem: Dziad-ku Mro-zie!
Staruszek wybiega z gabinetu i pędzi korytarzem. Stojący w drzwiach rodzice z uśmiechem ustępują mu z drogi.
– Dziad-ku Mro-zie! – wołają dzieci.
– Słyszę, słyszę! – krzyczy staruszek. – Biegnę!
Pani od muzyki zaczyna grać marsza, staruszek zaczyna śpiewać i wchodzi do sali:

Hu, hu, ha! Hu, hu, ha!
Nasza zima zła...

Nagle, z przerażeniem przypomina sobie, że zostawił w autobusie swój najważniejszy rekwizyt – grubą i sękatą czarodziejską laskę.
– Stary sklerotyk – mruczy pod nosem i rzuca się do wyjścia.
Rodzice śmieją się, ale pani od muzyki wcale nie do śmiechu. Próbuje ratować sytuację:
– Dziadku Mrozie, co się stało? Opowiedz nam! Może będziemy mogli ci pomóc?
– Zapomniałem laskę w autobusie... ach, tak, racja. Drogie dzieci, zdarzyło mi się wielkie nieszczęście! Szary zły wilk ukradł moją czarodziejską laskę! I cóż mam teraz począć?
Dzieci są zdumione. Pani od muzyki wbija wzrok w sprzątaczkę, ta zaś rusza do kuchni i zaczyna naklejać kawałki waty na kij od szczotki.
– Dziadku Mrozie, czy nie spostrzegłeś co dla ciebie przygotowały dzieci? – pyta pieszczotliwym głosem pani od muzyki i bazyliszkowato spogląda na staruszka.
Ten zaś ciągle jeszcze drepce na środku sali i wreszcie widzi choinkę.
– Oho-ho, cóż za choinka! – zachwyca się na głos. – O mój Boże, cóż za zabaweczki, jakie bombeczki!
Pani od muzyki zaczyna się wewnętrznie gotować. Staruszek zerka na nią i myśli: Po co ja Boga do tego mieszałem? Jeszcze mi nie poświadczą...
Pora siadać przed choinką. W tym starodawnym, noworocznym scenariuszu najbardziej podoba mu się dwadzieścia minut siedzenia przed choinką.
– Zmęczyłem się, dziateczki – postękuje staruszek. – Niełatwa była droga, a i zawał daje o sobie znać. Usiądę pod choineczką, odpocznę... A gdzie moje krzesło? – płoszy się nagle.
Rodzice śmieją się, pani morderczym wzrokiem szuka sprzątaczki. Ta zaś przynosi krzesło i piękny, czarodziejski kij do szczotki.
– Proszę, Dziadku, Śnieżynka ci przysłała. Zabrała tę laskę szaremu wilkowi. Siadaj, słoneczko.
– Dzięki, babuniu – szepce staruszek. – Nie wiem, co bym począł bez ciebie.
Wreszcie siada.
– Dziadku Mrozie – mówi pani od muzyki. – Posłuchaj, jakich wierszyków dzieci nauczyły się specjalnie dla ciebie. Wowoczka!
O rany! – przypomina sobie staruszek. Na śmierć zapomniałem.
Zrywa się, wymachuje groźnie kijem od szczotki.
– Przepraszam cię Wowoczka! Swoją czarodziejską laską zaraz zapalę lampki na choince!
– Jeszcze nie teraz! – syczy pani od muzyki.
– Nie denerwuj się, gołąbeczko, wszystko będzie dobrze, niech się dzieci ucieszą. Raz, dwa i trzy, choineczko zaświeć się!
I nic.
Przez całą salę pędzi sprzątaczka, ślizgając się na wypastowanej podłodze. Daje staruszkowi znak i kiedy ten, zwaliwszy winę na nieszczęsnego szarego wilka znowu woła: „Choineczko, zaświeć się!", wkłada wtyczkę do kontaktu.
Rozlega się trzask, lecą iskry i przedszkole pogrąża się w mroku.
– Korki się przepaliły! – wołają rodzice.
– To nie korki! – słychać głos umęczonej pani od muzyki. – To Dziadek Mróz opowie wierszem o swojej podróży.
W tym samym czasie dwaj tatusiowe-specjaliści przyświecając sobie zapałkami kierują się na korytarz, do korków.
– Dlaczego wierszem?! – oburza się w ciemności staruszek. – Doskonale pamiętam, że nie miało być wierszem... a może jednak wierszem?
Po omacku odnajduje krzesło, rozpina kaftan i zaczyna.
– Czyż można to wierszem opowiedzieć, dziateczki! Oj, nie można! Trudna była podróż, wierzcie mi, maleństwa. Wyszedłem z lasu, mróz był straszny. A ja, choć jestem Dziadkiem Mrozem, to przecież też jestem żywym człowie-

kiem, prawda? Przecież nie zawrócę, kiedy czekają na mnie takie dobre dzieci. No. I nagle zza sosenki podbiegają do mnie kudłate wilki! Siadaj, doktorze Ojboli... eee... to nie to. Siadaj, Dziadku Mrozie, na nas wierzchem, zaraz cię dowieziemy. Gdyby nie te dobre wilki, ho, ho... nie widzielibyście mnie pod choinką!

Zapala się światło i staruszek ledwo nadąża zapiąć kaftan. Pani od muzyki tępo patrzy na klawisze.

– Kontynuujemy poranek – zmęczonym głosem mówi staruszek. – Gdzie Wowoczka?

– Jestem!

– Nie dłub w nosku. Mów swój wierszyk.

– Wlazła muszka do słoika, no i koniec już wierszyka.

– I to wszystko?

– Aha!

– Wszyscy bijemy brawo Wowoczce! – ożywia się pani od muzyki. – A teraz dziewczynki-śnieżynki z najmłodszej grupy nam zatańczą.

Staruszek z rozczuleniem patrzy jak tańczą śnieżynki.

– A teraz zatańczą chłopcy-zajączki ze średniej grupy!

Zajączki tańczą, a w tym czasie staruszek odpoczywa.

– A teraz Dziadek Mróz nam zatańczy... – Pani patrzy na przerażonego staruszka i zmienia decyzję. – Nie! Lepiej niech Koleńka zada zagadkę Dziadkowi Mrozowi. Zobaczymy, jak potrafi zgadywać.

Chwała Bogu, tańczyć już nie trzeba. Za to zbliża się najstraszniejsza chwila – odgadywanie zagadek.

Wychodzi Koleńka i zadaje zagadkę:

Czerwony kapelusz
Na nim biały wzorek
Jak ja się nazywam
Czy wiesz?

Rydz, czy co?... gorączkowo zastanawia się staruszek. Wreszcie domyśla się:

– Muchomorek! – krzyczy radośnie.

Koleńka patrzy ze zdziwieniem, a pani od muzyki sprawia wrażenie, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

– Nie – mówi Koleńka.

Staruszek jest zdziwiony. Jest przekonany, że odpowiedział prawidłowo.

– Muchomorek, na pewno! Mogę się założyć.

– Ależ nie, wszystko się zgadza – obraża się Koleńka. – Ale najpierw powinieneś nie zgadnąć. Najpierw trzeba było powiedzieć „worek", potem „Azorek", i dopiero potem powinieneś zgadnąć. Taka zabawa, rozumiesz?

– Niedomyślny jestem – gniewa się staruszek. – Następnym razem będę wiedział.

Poranek zbliża się do końca.

– Dziadku Mrozie, a o czym jeszcze zapomniałeś? – Pyta pani od muzyki.

– Nie pamiętam, o czym zapomniałem – gniewa się staruszek.

Tym razem działa dokładnie według scenariusza, choć wcale o tym nie wie. Pani od muzyki jest szczęśliwa:

– Dzieci przypomnimy Dziadkowi Mrozowi, o czym jeszcze zapomniał! Chórem!

– Pre-zen-ty! – krzyczą dzieci.

– Słusznie! – cieszy się staruszek. – Jestem dobrym Dziadkiem Mrozem, przyniosłem wam prezenty! One są tu, w tej sali. Zaraz odnajdzie je moja czarodziejska laska.

Staruszek dobrze pamięta, gdzie są schowane prezenty. Uroczyście maszeruje do prawego kąta, rozsuwa rodziców, ale prezentów nie znajduje. Kieruje się do drugiego kąta, do trzeciego... wreszcie noga za nogą idzie do ostatniego, czwartego kąta. Tam, koło prześcieradła z prezentami siedzi mały pędrak i puszczając czekoladowe bąbelki, rozpruwa paczuszkę z cukierkami.

– Chodź mały, pomożesz mi rozdawać prezenty – zmęczonym głosem mówi staruszek.

❄ W gabinecie czekały na niego zasępione kierowniczka i pani od muzyki.

– Zepsuł nam pan poranek – oznajmiła kierowniczka. – Nie poświadczę panu.

– Ale poprowadziłem poranek do samego końca – oponuje nieśmiało staruszek. – A poza tym, przecież nie jestem specjalistą...

– To nie nasza sprawa! – Eksplodowała pani od muzyki i rozpłakała się. – Mam metodykę, zatwierdzony scenariusz... a pan... To miał być poranek? To był skandal!

Do gabinetu weszły dwie mamy.

– Jesteśmy z komitetu rodzicielskiego – powiedziała pierwsza mama. – Chcemy wyrazić wdzięczność Dziadkowi Mrozowi. Było bardzo wesoło, jest pan dobrym artystą.

– Pozwoli pan, że w imieniu... – powiedziała druga mama i podała staruszkowi paczuszkę z cukierkami.

Kiedy delegacja wyszła, pani od muzyki przestała łkać i zamyśliła się, kierowniczka zaś wahała się przez chwilę i wreszcie podpisała.

Staruszek przebrał się szybko i jak młodzieniec pomknął do wydziału placówek wychowania przedszkolnego. Tam czekał na niego naczelnik i koperta z pieniędzmi. Naczelnik uścisnął mu dłoń.

– Do której są otwarte dziecięce sklepy? – zapytał staruszek.

– O ile wiem, wszystkie już zamknięte.

– Co? – skonsternował się staruszek i pobiegł do domu towarowego.

Wyszedł z niego zadowolony, trzymając pod pachą paczuszkę. Pozostały już tylko dwie sprawy, a potem do domu.

Zaszedł do garmażerii. Było pusto.

– Wszystko sprzedane, zamykamy – powiedział rzeźnik, głośno szczękając wielką kłódką.

– Chciałbym kości... z pięć kilogramów... albo lepiej sześć – poprosił staruszek.

Rzeźnik tak się zdziwił, że odłożył kłódkę i znalazł nie tylko kości, ale dołożył i pusty worek oraz trochę mięsa.

Staruszek gorąco dziękował.

I wreszcie ostatnia sprawa.

Ale jadłodajnia „Gruzińska herbata" była już zamknięta.

Staruszek zastukał cichutko.

– Już zamknięte, nie widzisz, czy co?! – ryknęła zza drzwi kasjerka i staruszek, przestraszony, poszedł na przystanek autobusowy.

Dzień był pomyślny, tylko z herbatą się nie udało. Staruszek się nie zmartwił – cóż począć?

No i wszystko.

Z lekkim sercem wsiadł do autobusu i pojechał do najbardziej oddalonej dzielnicy Nieftiesiewierska. Ustąpiono mu miejsce, usiadł przy oknie i przymrużył w ciemności oczy. Potem rozwinął paczuszkę i cieszył się, oglądając różową, puchową czapeczkę i szaliczek. Potem w autobusie zrobiło się pusto, ale on jechał dalej. Potem zjadł cukierka z podarowanej mu paczuszki i zobaczył, że autobus dojeżdża do ostatniego przystanku. Pospiesznie rozwiązał tobołek, zdjął płaszcz i znowu nałożył ubranie Dziadka Mroza. Kierowca popatrzył na niego i uśmiechnął się.

Zaczął padać śnieg. Staruszek minął ostatni dom, przeszedł przez ogromny wykop, w którym sterczało mnóstwo powbijanych pali i znalazł się na skraju lasu.

Tu zagwizdał cichutko. Podbiegły do niego dwa potężne wilki zaprzężone do lekkich sanek.

– Jak poszło? – zapytały wilki.

– W porządku – odpowiedział staruszek.

– Przyniosłeś coś?

Staruszek poklepał worek. Wilki powąchały i rzekły:

– W porządku!

Staruszek wsiadł do sanek i wszystko wokoło zasłonił puszysty śnieg.

Przez dwie godziny jechał lasotundrą do swej chatki, omal nie zamarzł. Grzał się przy pochodniach płonącego gazu ziemnego.

Przywitała go Śnieżynka, gorąca herbata i ciepła pościel.

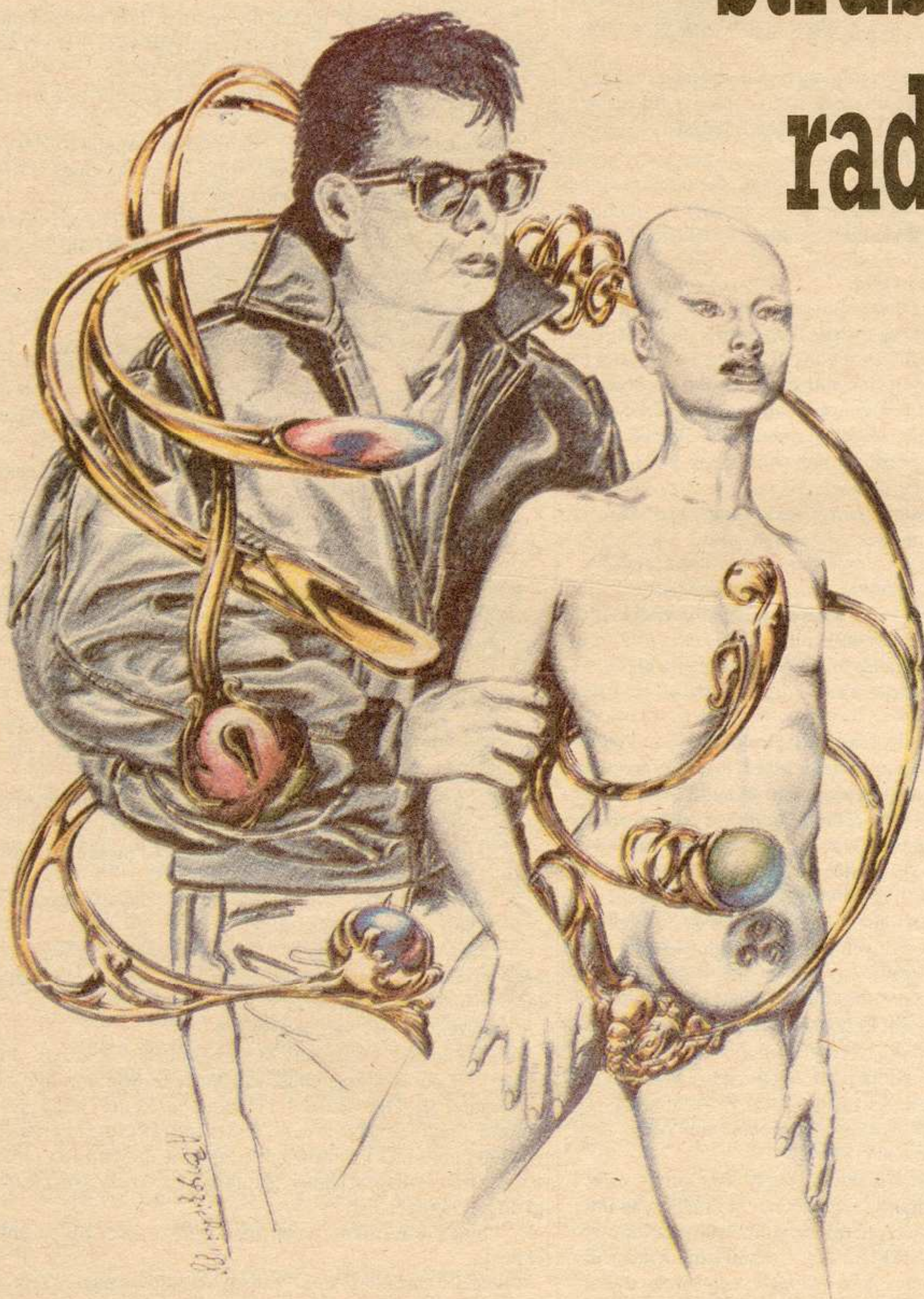
Nawet Dziadek Mróz potrzebuje choć trochę ciepła.

Przełożył **Sławomir Kędzierski**

Ondřej Neff

Świt dla strasznej radości

(Jitro pro strašnou radost)



Andrzej Brzezicki

W pół do drugiej nad ranem ktoś zapukał do drzwi.

Armand jeszcze nie spał, ale Odona już drzemała. Pukanie ją obudziło. Przestraszona przytuliła się do niego. Ucieszył go ten delikatny dotyk nagiego ciała rozgrzanego miłością

– Kto to może być? – wyszeptała.

– Nie wiem. Może pokojowa, albo portier z recepcji.

Następnie pukanie zabrzmiało wyraźniej, o stopień mniej uprzejmie.

– Kto tam? – huknął Armand w purpurę ciemności.

– Przepraszam, to ja, służba nocna. Kontrola klimatyzacji. Dwaj goście na waszym piętrze zgłaszali nieprawidłowe działanie. Proszę otworzyć, nie będę państwa długo niepokoił.

– Tutaj dmucha normalnie.

– Przepraszam bardzo... ale muszę to obejrzeć.

– Proszę? Nie rozumiem. Niech pan mówi głośniej!

– Nie chcę zakłócać ciszy nocnej – zduszonym głosem odrzekł zza drzwi mężczyzna, który przedstawił się niejasno jako służba nocna.

Służba nocna, służba nocna, powtarzał w duchu Armand. Budzi człowieka o wpół do drugiej. I to ma być luksusowy hotel, jeden z pięciu najlepszych na Ganimedesie!

Odona chwyciła go za rękę.

– Armandzie... to policja!

Serce podskoczyło mu do gardła.

– Przecież tutaj... na Ganimedesie... – wydusił z siebie z trudem.

– Może i tu się pogorszyło.

– Czemu przypuszczasz, że to policja?

Było to zbędne pytanie. Jeśli za drzwiami jest policja, nieważne, co Odona myśli czy nie myśli. Tylko że człowiek w chwilach paniki rozumuje jak obłąkany. Armandowi bardzo zależało na tym, co odpowie Odona. Może powie jakieś głupstwo, na przykład, że ten facet za drzwiami bełkocze zupełnie tak samo jak ten przeklęty policjant wtedy, w Montevideo, albo że...

– Jeśli kontroluje klimatyzację na całym piętrze, nie musi cicho mówić. I tak obudzi wszystkich gości! Kłamie! Za drzwiami jest policja.

Odona potrafiła dedukować z nieludzką logiką komputera. Armand szanował ją za to, wmawiał sobie, że właśnie dlatego ją kocha. W rzeczywistości...

Za drzwiami ktoś zatupał, a w futrynę uderzyła pięść.

– Otwierać, policja federalna. Po pięciu sekundach wyważymy drzwi.

A jednak. Odona miała rację, jak zwykle. Armand wśliznął się w spodnie od piżamy. Odona włączyła nocną lampkę.

Bełkotliwy głos coś wściekle gderał. Armand usłyszał słowo „dyskrecja", kilka razy zabrzmiało także „dobra opinia hotelu". Policjant odpowiedział znacznie głośniej, ale za to niewyraźnie, Armand rozpoznał więc jedynie słowa „burdel" i „kurwa". Otworzył drzwi. Na progu stało dwóch mężczyzn. Jednego poznał natychmiast. Był to recepcjonista, wysuszony gość o zmęczonych oczach. Na głowie miał charakterystyczny, przetłuszczony beret skrywający łysinę. Drugi... oczywiście, to przecież ten turysta, który przesiadywał w hallu i rozwiązywał krzyżówki. Raz nawet spytał Armanda, czy nie zna szpióra na trzy. Armand oczywiście znał. Szpióry i w ogóle cała fauna planety Guzman należy do ósmej sekcji w Instytucie Ksenozoologicznym Armanda. Ty skurczybyku, pomyślał Armand. Niedoczekanie twoje, że ci kiedykolwiek pomogę w krzyżówce.

Detektyw wyciągnął z kieszeni zużyty skórzany portfel i błysnął spiczastą odznaką. Uśmiechnął się nieprzyjemnie. Na pewno wieczorem jeszcze raz się golił. Miał gładką różową brodę i pachniał wodą kolońską. Koszuli jednak nie zmienił, bił więc od niego odór potu i zapach cygarowego dymu.

– Proszę wejść, panie poruczniku – jąkał się recepcjonista, bacznie się rozglądając. – Nie będziemy robić skandalu.

– Dlaczego nie? – jowialnie odparł policjant. – Boi się pan, że ludzie się dowiedzą, jakie sztuczki robicie w tym lipnym hotelu?

Armand wycofał się do pokoju. Recepcjonista wśliznął się za nim i przywarł plecami do ściany. Jak tylko dostał się do środka, zdecydowanie poprawił mu się humor. Tam, na korytarzu, musiał trzymać twarz. Tutaj już nie jest to istotne. Ściany każdego hotelowego pokoju widziały już tyle rzeczy... Gdyby zaczęły mówić, zarumieniłoby się pięć systemów planetarnych.

Policjant wszedł niechętnie, jakby żałując, że żaden z hotelowych gości nie obudził się, nie wyjrzał na korytarz. Z rozmachem puścił drzwi. Gdyby recepcjonista ich w ostatniej chwili nie zatrzymał, zamknęłyby się z potężnym hukiem.

– Kto to jest? – wskazał na Odonę.

– To jest panna Odona Burucka – zatrajkotał Armand. – Urodzona szesnastego fruktału 256 w Europie. Tu są dokumenty.

Ale policjant nawet na nie nie zerknął, tym bardziej nie trudził się wyciąganiem z kieszeni identyfikatora. Patrzył na Odonę, która leżała w łóżku przykryta po brodę.

– Panna Odona Burucka z Europy na Ziemi – powtórzył ironicznie. – Tak pan twierdzi.

– Zgadza się, tak twierdzę – powiedział Armand wyzywająco. Policjant przestał się uśmiechać, lewą ręką chwycił Armanda za ramię i pokazał Odonę palcem.

– Ja z kolei twierdzę, że w tym łóżku rozwala się parszywa odórwa i że ty jesteś najsmrodliwszym jebańcem, jakiego widziałem w ciągu osiemnastu jednostek służby w policji!

Popchnął Armanda pod ścianę a recepcjoniście rozkazał:

– Ściągnij z niej tę kołdrę!

– Nie, proszę! Niech pan tego ode mnie nie wymaga. Ja się tych odórew brzydzę!

– Ale do hotelu je wpuszczasz, co, sukinsynu?

– Papiery mieli w porządku i ta panna... ta odórwa... wyglądała jak człowiek.

Debaty przerwała Odona, spokojnie, jakby szła do łazienki, odgarnęła kołdrę i wstała. Zdjęła perukę i zerwała rzęsy.

– O kurwa – zauważył policjant. Recepcjonista zbladł i odwrócił głowę. Armand jednak nie mógł oderwać od niej wzroku.

Wyglądała pięknie, stojąc tak przed wrogami, bezbronnie obnażona, tak podobna do ziemskiej kobiety, z wyjątkiem jedynej piersi o trzech brodawkach na podbrzuszu.

– Niech pan każe jej się ubrać – jęknął recepcjonista. – Niedobrze mi

Odona delikatnie się uśmiechnęła. Wciągnęła na siebie pas elastyczny, zakrywający pierś i sięgnęła po stanik z plastycznymi miseczkami, ale policjant zawarczał:

– Tego już nie. Ubierzesz się tak, żeby każdy poznał śmierdzącą odórwę na odległość.

– Bardzo pan miły, panie poruczniku. Ta maskarada jest naprawdę niewygodna.

– Ale on cię będzie prowadził po ulicy! – jęknął Armand.

Policjant odrobinę złagodniał.

– Niech pan się nie martwi. Na zewnątrz mam gravo. Nie będę jej prowadził po ulicy. Jeszcze nie zwariowałem! Ludzie by ją rozszarpali na kawałki!

– Kretyni... – wyszeptał Armand,

– To pan jest kretynem! Mało ludzkich dziewczyn, do cholery? Taka to przyjemność wąchać te krowie smrody?

Armand nie odpowiedział. Podszedł do Odony i wziął ją w objęcia. Spojrzeli sobie w oczy. Chyba po raz drugi czy trzeci widział ją bez rzęs i włosów i przyłapał się na tym, że widok ten jest trochę nieprzyjemny. Zamknął oczy i przycisnął wargi do jej chętnych ust.

– Panie poruczniku... ja chyba rzygnę... – zakwilił recepcjonista.

Pobiegł do łazienki i wnet rozległy się odgłosy tego co zapowiedział.

Porucznik rozdzielił kochanków.

– Wystarczy – powiedział znów gburowato. – Jeden już rzyga, a mój żołądek też nie jest ze stali. Ubierać się i jazda. Mieliście dość czasu na łajdactwa. Teraz podsumuje was trybunał. Z procentami.

W tej fatalnej sytuacji Armand i Odona mieli jedyną pociechę – wiedzieli, co ich czeka.

Stelloseksualiści byli osadzani na szóstce, w olbrzymiej, na wpół opuszczonej bazie, wybudowanej na orbicie okołoziemskiej w czasach, kiedy rozpoczął się terraforming czerwonej planety. Szóstka była wtedy odskocznią do zdobywania Marsa, centralą energetyczną, magazynem, kompleksem fabrycznym i osiedlem dla dwóch milionów pionierów. Dzisiaj była tylko kryminałem, gdzie osiemset tysięcy kobiet i mężczyzn leczyło się z nieakceptowanej namiętności do mieszkańców Guzmanu, Patrachuvakanu, Si, Bilveda i Lumy. Pacjentami zajmowało się piętnaście tysięcy lekarzy i pielęgniarzy, jak również trzydzieści tysięcy wyleczonych, którzy nie chcieli wracać na światy konfederacji, gdzie mogliby spotkać obiekty swojej niegdysiejszej miłości. Zostawali więc na szóstce i prowadzili przykładne życie, do którego należały również codzienne obowiązkowe lekcje nienawiści do „swoich" form pozaziemskiego życia. Długość kuracji określał trybunał sądowy. Działo się tak dlatego, że leczony był właściwie tylko człowiek, a jego partner siedział na szóstce jako faktyczny więzień – przez okres całej kuracji. To również była medyczna konieczność. Pacjent systematycznie spotykał się ze swoim partnerem i dzięki systemowi szoków stopniowo nabywał odrazy. Kiedy pacjent wyzdrowiał, jego towarzysz dostawał kopa na macierzystą planetę.

Armanda z Odoną odwieziono na szóstkę po długim policyjnym śledztwie, które trwało cały paternał i większość raborału. Zakończyło się posiedzenie sądu, który Armanda Karelę, urodzonego drugiego ludorału 248 na Księżycu, skazał na dwa i pół cyklu aresztu terapeutycznego. O Odonie Buruckiej, czyli o Małej La, jak nazywała się Odona w języku ojczystym, trybunał nawet nie wspomniał. De iure była bowiem „obywatelem pozaziemskim o leczeniu obowiązkowym". Ta niezbyt zrozumiała formułka wynikała z jakiejś intersolarnej umowy o powinnościach obywateli, „którzy wyrządzili szkodę fizyczną lub psychiczną obywatelowi lub obywatelom systemu, gdzie przebywają czasowo lub na stałe i jeśli miejscowe władze tak postanowią, wspomniani obywatele mają obowiązek wszelkimi sposobami pomóc w odrobieniu krzywdy". Wszelkimi sposobami, czyli również dwuipółcyklowym internowaniem na szóstce, kosmicznym więzieniu na wokółmarsjańskiej orbicie.

Pudło było, trzeba przyznać, luksusowe.

Dostali trzypokojowy apartament, w którym nie brakowało żadnych cywilizacyjnych udogodnień, z trójwymiarową telescianą również w salonie, typu – to fakt – trochę przestarzałego, z ekranem – również fakt – na brzegach trochę zużytym. Strażnik, który ich tu przyprowadził, monotonnym głosem wyjaśnił, gdzie co się włącza i gdzie co trzeba wyłączyć, którędy dokąd się idzie, czego nie można, a co z kolei trzeba. Przy tym cały czas patrzył na Armanda. Odona nic na tym nie straciła, spojrzenie strażnika było nieprzyjemne, wilgotne, ba, śliskie, jeśli można to tak określić. W ogóle cały facet wyglądał jak jakaś gadzina z animowanego serialu. Miał przygarbione plecy a między ściągniętymi ramionami ostro wypinała się szyja, na której kołysała się włosiasta, uszasta, nosiasta i pyszczasta głowa.

Armand próbował zanotować w pamięci jak najwięcej danych, ale mimo wszelkich starań, monotonny tok wyjaśnień strażnika wchodził mu jednym uchem a wychodził drugim. Jak ten człowiek tutaj trafił, myślał Armand. Jak tu żyje, co robi w wolnym czasie? Przecież strażnik w więzieniu to to samo, co więzień, z tym wyjątkiem, że nie jest poddany kuracji leczniczej.

Odona cicho stała przy ścianie i uważnie obserwowała strażnika. Szybko zauważyła, że całą uwagę poświęca Armandowi. Niektórzy mężczyźni z rodu ludzkiego nie znoszą widoku guzmańskich kobiet, do nich na przykład należał recepcjonista z tamtego przeklętego hotelu na Ganimedesie. Pyszczasty strażnik nie miał jednak żadnych zahamowań, wręcz odwrotnie, Odona dobrze zapamiętała, jak lepkim wzrokiem prześliznął się po niej w biurze więzienia. Ten dziwaczny człowieczek jest przeogromnie zainteresowany partnerami innych ras – o tym Odona była przekonana. Dlaczego więc zwraca się tylko do Armanda.

Chyba chce mu coś przekazać, myślała, albo raczej coś chce od niego.

Ale czego więzienny strażnik może chcieć od więźnia, który właśnie rozpoczął odsiadywanie dwuipółcyklowego wyroku?

Słowa strażnikowi powoli więzły w gardle, aż uwięzły mu na dobre. Stał na środku pomieszczenia, uszasty, kiwał głową i nerwowo ściągał usta. Armandowi przyszło do głowy, że może czeka na jakąś łapówkę i już go chciał gniewnie odprawić, kiedy odezwała się Odona:

– No to gadaj pan, panie strażnik.

– Przepraszam... panienko, ale nie wiem, o czym pani mówi.

Słowo „panienko" wymknęło mu się mimo woli. Kto powinien przestrzegać porządku więziennego, jak nie sam strażnik? A porządek wyraźnie mówił, że „obywatele pozasolarni o obowiązku leczniczym są oznaczani numerami i podczas kontaktów służbowych trzeba się do nich zwracać za ich pomocą". Kontakt inny niż służbowy nie wchodzi w rachubę. Odona przez najbliższe dwie i pół jednostki miała być numerem G-120, a więc nie żadną „panienką".

Odonę nagle oświeciło

– Pan... też?

Strażnik pochylił głowę. Zaskoczony Armand odwrócił się do Odony.

– Sądzisz...?

– Oczywiście – uśmiechnęła się dziewczyna. – Pan strażnik ma swoją ukrytą miłość, nieprawdaż?

– Pochodzi z Arry – wyszeptał uszasty.

– Z Arry? – powtórzył Armand nie wierząc własnym uszom. Nie było to zbyt taktowne. Sytuację uratowała Odona.

– Miłość nie wybiera, prawda, panie... panie, nie dosłyszałam pana nazwiska.

– Nazywam się Valisko, Sitim Valisko. Ma pani rację, panno Burucka. Miłość nie wybiera. Większość ludzi barusów nie znosi, ale co robić – ja je lubię, a zwłaszcza tę jedną.

Valisko na szczęście nie zauważył uśmiechu Armanda. Ci galaretowaci pajęczacy naprawdę nie byli piękni. Nie mówiąc już o płci. Armand wiedział o pięciu fazach cyklu rozpłodowego barusa, a w każdej z nich brał udział wyspecjalizowany gatunek tego dziwnego stwora. Valisko, w przeciwieństwie do wszystkich ksenozoologów, na problematykę płci mieszkańców Arry patrzył przez pryzmat miłości – jego wybrańcem mogła być tylko „ona".

– Na pewno jest pan szczęśliwy – zauważyła Odona, by odwrócić uwagę od *faux pas* Armanda. – Z pewnością żyje tu jeszcze wiele...

– Żadnej, panno Burucka! – rozpaczliwie zawołał. – Podpisałem umowę na pięć jednosek, bo myślałem, że tu znajdę... mnóstwo tych rozkosznych kociaczków. Powiedziałem sobie: Sitim, weź się w kupę. Po co masz ryzykować, ukrywać się, wymyślać kopy kłamstw i trząść portkami ze strachu, że ktoś na ciebie doniesie? Pójdziesz prosto do źródełka, gdzie w zasadzie nikt na ciebie nie może donieść, bo nie ma komu i po co. W pudle każdy ma dość swoich kłopotów. No i klapa. W całym pierdlu żadnego łapojebusa.

Armand uniósł brwi. Patrzcie, pan Valisko sam się nazwał łapojebusem. Naprawdę dziwny człowiek, skoro potrafi użyć tak ordynarnego przezwiska w stosunku do siebie samego.

Valisko wytłumaczył to sobie inaczej.

– Dziwne, co! Ani jednego! Szef powiedział, że barosek-

...Stasys



Repr. J. Sroka

ciąg dalszy ze strony 10

tuje się i przypomina zaledwie niektóre, często różne i niepodobne chwile. Są one jak te krople w napoju nadające mu smak i zapach, a jednak ważny jest cały napój – kropel, gdy już się w nim znalazły, nie ma sensu rozdzielać. Myślał: czy rodząca się nadzieja może być mniej ważna od spełnienia, a gotowy obraz od wyłaniającego się dopiero z wyobraźni pomysłu? Czy czekające drogi są zawsze dłuższe od przebytych?

9. Gdy wreszcie zamknął drzwi i znalazł się sam – podszedł do okna. Wzbił się wysoko. W dole odbywał się balet bezustannego ruchu. Drobne figurki ludzi i samochodów obłąkańczo wirowały jak najmniejsze cząstki atomu. Feeria różnokolorowych świateł reklam sprawiała wrażenie rytualnego tańca z pochodniami i lampionami. Chciał ochłodzić rozpalone policzki wiatrem, lecz okno było martwe, tafla szyby tkwiła obojętnie i nieruchomo jak cała reszta ściany. Otworzył walizkę i podszedł do stołu. Długo i powoli rozwijał paczkę, a potem długo siedział bez ruchu wpatrzony w podłużny bochenek ciemnego chleba. Gdy odkroił kromkę i zbliżył do ust, to jakby witał się z rozległą równiną. Gdy odgryzł pierwszy słodkawy kęs usłyszał szum wiatru, kołatanie kół wozu, klekotanie bociana i błysk złocistego miecza, który ofiarował mu także tę wędrówkę. I właśnie wtedy znalazł obraz, którego od dawna już szukał bezskutecznie.

Zgiełk bitwy dźwięczał z oddalenia, zgłuszony grubymi murami zamku, jak szczękanie nożyc – coś musiało być przecięte, by coś mogło się zacząć – to nieuniknione – los związał ze sobą starca i dziecko, a pełen rozpaczy śpiew, śpiew skarga, zamieniał się w niemilknący krzyk trwogi – przerażone usta nie mogły przestać krzyczeć jakby rozwarły je żelazne obręcze, a w krzyku, w śpiewie, był gniew i błaganie, i nadzieja, i rezygnacja – a w oczach... w oczach nie było pewności ani przeszłych zdarzeń, ani nadciągających.



Repr. Z. Latała

10. Pisząc do ciebie wiem, że mnie zrozumiesz. Nie mogę po prostu pisać o zdrowiu, o pogodzie, opisywać domów i ulic, które widziałem. Bo kiedy już piszę – piszę całym sobą.



Repr. J. Sroka

W moim liście do ciebie jest wszystko, myśli niedokończone, słowa zasłyszane i wypowiadane na wiatr i na serio, moje dłonie kaligrafują na papierze wszystko to co uda mi się odnaleźć za powiekami – te dłonie są wszechwładne i bezsilne. Wszystko co mogą stworzyć to jeszcze jedna papierowa maska, którą przepali blask otwartych oczu niezdolnych ukryć przestrzeni. Gdzieś tam – gdzie wszystko może się zdarzyć – jestem ja i rozmawiam ze światem żywych i wyimaginowanych, wpatruję się wytrwale w okrągłe aż do bólu oczy, bo wiem, że tylko tak można znieść dobry i zły los, niespodziewane szczęście i oczekiwane nieszczęście.

Ja wiem, czuję to, że prawdziwa sztuka posiada własny krwiobieg krążący po czasie i przestrzeni. Nadzwyczaj rzadko udaje się jakiemuś śmiałkowi zaczerpnąć z niego kroplę życiodajnego płynu, który daje dziełu siłę i czystość

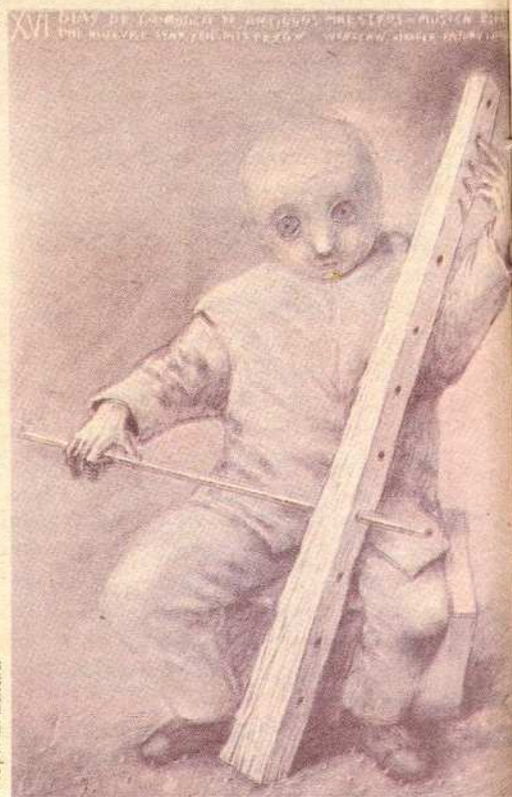


Repr. Z. Latała

dźwięku największego dzwonu świata odlanego z kropel rosy. To jak ręka królewny za zabicie smoka. Tworzenie jest stanem magicznym, hipnotycznym, narkotycznym albo wszystkim jednocześnie, to komedia i tragedia rozgrywająca się w artyście, który jest żonglerem i ekwilibrystą, mimem i śpiewakiem operowym – jest alchemikiem. Stworzyć mały rysunek, w którym będzie siła i prawda jest niemal równie łatwo jak zrobić naszyjnik z nanizanych na promień światła kropel rosy i deszczu.

Widzę tu wiele obrazów malowanych rozlaną, płonącą lawą, czerpaną z wybuchających wulkanów. Męczą mnie innością, nie jestem pewien czy nie rozprysną się już za chwilę jak mydlane bańki. Nie wiem, nie znajduję w nich prawdziwej siły. A może tylko mówimy różnymi językami? Ja wolę szeptany powoli wiersz, opowiadaną ze śmiechem bajkę.

dokończenie na stronie 24



Repr. Z. Latała

sualizm jest najrzadszym rodzajem zboczenia. Tak, dosłownie tak powiedział.

Odona spostrzegła, że Armand z lekka poczerwieniał. Słowo „baroseksualizm" dotknęło go, uświadomił sobie, że on sam jest guzmoseksualistą, wulgarnie mówiąc smrodofilem.

– Ale ma pan pecha – powiedział zakłopotany Armand.

– Jestem idiotą – odparł stanowczo Valisko, jakby wygłosił prawdę, nad którą wiele dumał i nie miał zamiaru o niej więcej dyskutować. – Tylko że ja się z tego bagna wydostanę, a pan mi musi w tym pomóc, panie doktorze.

– Pan nawet wie, że jestem doktorem?

– Studiuję akta każdego zielonego. Jest wśród nas mnóstwo artystów, ludzi z wideo i baletu, ale wytrzeszczyłby pan oczy, jakie gwiazdy tędy przeszły! Cały Sol myśli, że taki idol jest na urlopie zdrowotnym. Ładny urlop! Pedrylskie sanatorium!

Odona roześmiała się. Valisko powiedział to tak szczerze, jakby sam nie był pedrylem i to horrendalnym, ponieważ żeby pokochać barusy trzeba być dewiatem na skalę metagalaktyczną. Nawet na jej Guzmanie, gdzie miłość interstellarna jest powszechna i chyba nikt na przestrzeni dziejów tego nie kwestionował, baroseksualiści stanowią rzadkość.

– Panie doktorze, pan mi musi pomóc! Ja wydostanę stąd pana, a pan mnie!

– Co mogę dla pana zrobić?

– Jest pan szefem ósmego wydziału Instytutu Ksenozoologicznego. To by było coś dla mnie. Tam barusów, tych delikatnych kociaczków, na pewno jest jak mrówek. Panie doktorze, jak sobie przypomnę, te ich nóżki, jak mnie oplatają, kolana mi miękną!

– Niech pan posłucha – powiedział zdegustowany Armand – ja nie mam nic przeciwko hm... łapojebusom, pan wybaczy, ale nie musi się pan przede mną rozpływać.

– Jak pan może Armandowi pomóc? – odezwała się Odona.

– To chyba jasne, wyciągnę was stąd oboje, wpierw jego, a potem panienkę!

– To możliwe?

– Czemu nie. W pudle możliwe jest wszystko. Tutaj to jest... rozumiecie?

Sczepił palce obu rąk w mocny węzeł i chytrze się uśmiechnął, puszczając oko.

– Nie uwierzylibyście, ilu tu jest naszych wśród naczelników. Wiadomo, wszystko jest pod przykrywką i nikt o niczym nie może się dowiedzieć, zwłaszcza perfumiarze, czyli dawni pedryle na tyle głupi, że dali się wyleczyć. Oni dobrze wiedzą, co tu jest grane, mają oczy na szypułkach i węszą, żeby tylko kogoś przydupić. Potem są skandale, że o rany. No więc... gdyby to nie wyszło, kaplica dla nas wszystkich, myślę, że to jasne?

– Chyba nie chce mi pan wmówić, że dzięki panu wyjdę stąd razem z Odoną...

Valisko rozciągnął swoją żabią gębę i przymrużył oczy. Potem zapuścił owłosioną rękę w kieszeń i wyciągnął błyszczącą plastykową kartę.

– To jest pana zwolnienie. Papiery były gotowe, zanim pan tu przyszedł. Dobre, co? Przecież mówiłem, że w pudle możliwe jest wszystko.

Armand często łamał sobie głowę, dlaczego plastykowe karty nazywa się papierami. Niewykluczone, że ma to jakieś podłoże historyczne. Kiedyś – obiecał sobie teraz – jak stąd wyjdę, zajrzę do słownika etymologicznego.

Spojrzał na plastyk i dotarło do tego, że jest już prawie wolny.

– Szybki pan jest – powiedział z uznaniem, ale też z odrobiną ironii.

– Inaczej nie dało rady. Terapia zaczyna się od jutra, a to straszna rzecz, kiedy nie masz znajomości i nikt ci nie pomaga. Zostawiają pana z panienką sam na sam, zapigułują was i wy... no, po prostu musicie się kochać, a potem robi się panu niedobrze i rzyga pan, czuje się pan jak wypruty flak, drugiego dnia to samo i znowu, i ciągle w kółko, a po dwóch i pół jednostkach jest pan perfumiarzem i już nawet nie chce się wracać, bo mógłby pan tam spotkać jakiegoś kociaka i od samego patrzenia dostałby pan sraczki.

W co ja się wplątałem, pomyślał Armand i chwycił się za szyję. Znał metody leczenia stelloseksualizmu, ale dopiero teraz jaskrawo sobie uświadomił, czego uniknął. Terapię odwykową przestudiował, kiedy zakochał się w Odonie i stał się, fu, to słowo jest tak nieprzyzwoite... pedrylem, guzmoseksualistą, smrodofilem. Dobrze wiedział, że wcześniej czy później odkryje go policja i będzie tej terapii poddany, ale ani w chwili aresztowania, ani podczas procesu sądowego i transportu na szóstkę nie potrafił się w tej rzeczywistości odnaleźć. Dopiero teraz spadły na niego strach i groza.

Chwycił Valisko za rękę.

– Dłużej tu nie wytrzymam! Niech pan mnie stąd zabierze!

Valisko okazał zrozumienie, jakiego nikt by się po nim nie spodziewał. Z ojcowską wyższością pouczył go, że zwolnienie jest tu, na szóstce, wszechmogącym glejtem. Od tej chwili Armand może się uważać za turystę, który przyjechał tu z czystej ciekawości, na wycieczkę.

– Urzędy nic nie mają do gadania, panie Kerala. Papiery wydał panu automat i żadna siła nie może cofnąć jego decyzji. Technicznie nie da rady, wie pan? Automat diabli by wzięli. Nie musi się pan nikogo bać, naczelnika, strażników, nawet glin. Nikt pana nie zauważy. Niech pan wsiądzie do pierwszej kapsuły i wypali na port. Najbliższe połączenie jest, jeśli się nie mylę, za pół godziny. Ale proszę pamiętać – i tu groźnie podniósł pięść – panna Odona zostanie tutaj, dopóki nie wróci pan z umową o pracę. I niech się pan śpieszy. Nas, łapojebusów, jest wprawdzie mało, za to smrodofilów na kopy, zdaje mi się nawet, że wśród nas smrodofilem jest co drugi. Jeśli ktoś wpadnie na trop pana kociaka, koniec zabawy. Jasne?

Armanda zemdliło. Czemu ten człowiek mówi tak wulgarnie, czemu używa tak ordynarnych wyrażeń? To po prostu świnia, prawdziwy pedał, pederasta, zboczeniec seksualny. Armand z Odoną kochają się miłością czystą, w ich uczuciu nie ma ani cienia nieprzyzwoitości. Miłość fizyczna jest nieodłączną częścią uczucia, ale na pewno nie jest jego podstawą ani sensem. Valisko nie ma jednak pojęcia o jakimkolwiek uczuciu. Chodzi mu tylko o zaspokojenie potrzeb fizjologicznych, które gnieżdżą się w jego ohydnym ciele. Jest zupełnie ogłupiały i do wzbudzenia namiętności potrzebuje coraz silniejszych bodźców.

Dlatego został łapojebusem. No, do cholery, łapojebusem.

Armand pożegnał się chłodno, za zwolnienie nawet nie podziękował. Niby za co? Ubił z Valisko interes. Zaraz po powrocie do instytutu uruchomi wszystkie tryby, żeby...

Znowu ścisnęło go w dołku.

Uruchomi tryby, żeby wpuścić zająca na zagon kapusty. Żeby Casanova dostał miejsce wychowawcy w pensjonacie dla dziewcząt.

A gdyby... Nie ma czasu na namysły. Kapsuła zatrzymała się na terminalu i Armand wskoczył na niebieską linię, która prowadziła do portu. Zawładnęło nim dręczące uczucie. Przywykł do niego, przeżywał je często, zwłaszcza gdy zgłaszali się z Odoną w hotelowej recepcji, gdy wsiadali do kapsuły, gdy jechali transporterem, gdy siadali w fotelach konsumu. Strach należał do ich awanturniczego związku tak samo nierozłącznie, jak gorzkawy zapach ciała dziewczyny (Odona kiedyś przyznała się, że również zapach ciała Armanda na początku jej przeszkadzał, ale już się przyzwyczaiła, lubi go, a nawet ją podnieca).

Tutejszy port wyglądał zupełnie normalnie, tylko środkiem hali ciągnął się szereg autokontrolerów. W końcu szóstka to nie żadne letnisko. To więzienie.

Armand wsunął papiery w szparę autokontrolera. Jego żołądek jakby pływał po wodzie. A jeśli Valisko...

Ale nie. Dlaczego miałby kłamać? Armand oznacza dla niego wolność.
Autokontroler przychylnie zamrugał zielonym okiem i Armand ruszył. Szedł powoli, nie śpiesząc się, żeby nie zwracać na siebie uwagi, a jednak miał uczucie, że się unosi.
– Hej, ty tam, poczekaj!
Odwrócił się.
Szaradzista... przeleciało Armandowi przez głowę. Szpiór na trzy. Ależ nie, to nie żaden szaradzista, to porucznik policji konfederalnej, detektyw z wydziału moralności.
– Czego pan chce?
Policjant złośliwie się uśmiechnął. Armand obejrzał jego różową brodę. Jak to możliwe, że ten facet jest zawsze tak dokładnie wygolony? Chyba w ogóle nie ma zarostu. To na pewno jakiś potworek, może nawet kastrat. Oni ponoć też nie mają zarostu.
– Długo pan tu nie pobył, prawda?
Armand wzruszył ramionami. Powtórzył sobie słowa Valisko: urzędy nie mają nic do gadania. Nie musi się pan bać niczego, naczelnika, strażników, nawet glin. Nikogo.
Nikogo, nawet ciebie, ty tępa pało.
– Zwolnienie jest w porządku. Więcej pana nie musi obchodzić.
– A czy ja mówię, że nie jest w porządku? Tylko tak mi wpadło do głowy, że długo pan tu nie pobył.
– Niewiele tracę.
– Ma pan rację. Gdzie pana towarzyszka?
Armand uzmysłowił sobie, że policjant nie użył słowa „odórwa". Co się z nim stało? Sporządniał czy może... zamienił się w zboczeńca?
– Tym pan nie musi się interesować. Przepraszam, śpieszę się. Zaraz mam połączenie.
– Nie zatrzymam pana długo. Tylko na tyle, żeby mi pan podpisał czek.
– Jaki czek?
– Wynagrodzenie za to, że pana nie widziałem.
– Mnie jest obojętne, czy pan mnie widział, czy nie.
– Pana odórwie obojętne to nie będzie.
A jednak nie sporządniał. Pozostał gliną z krwi i kości.
Urzędy nic nie mają do gadania, powiedział Valisko. Cały ten kryminał jest w rękach pederastów. Komu ty mnie wydasz, ty przyjemniaczku, pomyślał Armand.
Gliniarz przysunął się do Armanda tak, że czuć było zapach wody kolońskiej.
– Wiesz, co perfumiarze robią z odórwą, która pomogła pedrylowi w ucieczce?
To perfumiarz, przejrzał na oczy Armand. Wyleczony pedał. Dlatego jest taki wymyty jak prosiak i zawsze wyperfumowany. Wyleczony pedał boi się, że ciągle od niego jedzie stelloseksualnym partnerem.
Dlatego się tak mydli, i mydli, i mydli.
Armand parsknął śmiechem.
– Perfumiarz może się najwyżej porzygać – powiedział tak wulgarnie, na ile mógł się zdobyć. – Prawda, ty perfumiarzu? Z czego cię wykurowali? Też byłeś łapojebusem.
Policjant posiniał z wściekłości. Armand spodziewał się ciosu, ale glina pohamował gniew, rozwarł pięści i wycedził:
– Nie powinieneś był tego mówić.
Odwrócił się na pięcie i zniknął w tłumie.
Armand znów parsknął śmiechem.
Ale mu przysoliłem! Zawsze byłem dobrym psychologiem. Gdzie tam bracie, nie pozwolę się szantażować przez byle perfumiarza.
Kosmobus już stał na rampie, ale do odlotu zostało jeszcze pięć minut. Armand wolno spacerował wzdłuż czerwonej, pokrytej bliznami burty statku kosmicznego i myślał o przyszłości. Widział ją w różowych kolorach. Valisko miejsce w instytucie dostanie bez problemów. Nie będzie wprawdzie zbyt dobrze płatne, ale nie o pieniądze temu łapojebusowi chodzi. Chce sobie użyć, wstrętny zboczeniec.
Wyobraził sobie Odonę. Biedactwo, tydzień lub dwa będzie musiała czekać w nudnym otoczeniu szóstki. Valisko chyba się nią zaopiekuje. Tak, Valisko powinien jej pilnować, żeby jakiś pedryl...
Armand podszedł do telefonu i poprosił o połączenie ze strażnikiem.
– Co się dzieje? – przestraszył się Valisko ujrzawszy na ekranie twarz Armanda, który posłał mu uspokajający uśmiech i powiedział:
– Panie Valisko, pan się denerwuje bardziej ode mnie. Chcę tylko poprosić o drobiazg, żeby pan uważał na Odonę. Miałem tu małe przejście z jednym starym znajomym. Mógłby jej sprawić kłopoty, a chciałbym jej tego oszczędzić.
– Jasne – Valisko mrugnął porozumiewawczo. – Takie rzeczy się zdarzają.
– Ależ nie, nie to miałem na myśli... – Valisko zapewne sądzi, że między Armandem a „starym znajomym" doszło do sceny zazdrości. Armand wyjaśnił pokrótce, co się wydarzyło.
– Mówi pan, że to policjant i na dodatek perfumiarz? – spytał Valisko. – Nie ma przypadkiem takiej wyżartej różowej gęby?
– Pan go zna?
– Jasne, to jedyny wyleczony łapojebus w policji. Nienawidzi pedałów jak pies kota.
– Ale pan mówił, że nie mam się czego obawiać...
– Skąd mogłem wiedzieć, że wejdzie pan w drogę Jirmanowi? – jęknął strażnik. – Doktorze, nie mógł mu pan zapłacić?
Armand obejrzał się. Do kosmobusu wsiadali ostatni pasażerowie a nad wejściem mrugała pomarańczowa lampka.
– Co on mi może zrobić?
– Panu już nic, ale gdyby poszczuł na panienkę naszych perfumiarzy... Rozumie pan, jest z nimi w kontakcie.
– Spytał się, czy wiem, co perfumiarze robią odórwie, która pomogła pedałowi w ucieczce. Dosłownie tak to ujął.
– A wie pan? – cicho spytał Valisko.
– Co jej zrobią?!
– Jeszcze żadna tego nie opowiedziała. Nikt ich o to nie pytał. Miałoby to taki sam sens, co pytanie schabu, jak było w rzeźni.
Ekran telefonu pociemniał a głośnik umilkł. Steward krzyknął na Armanda:
– Niech się pan pośpieszy, już lecimy.
– Proszę tam wszystkich serdecznie pozdrowić – powiedział Armand tak cicho, że steward nie mógł go usłyszeć.
Biegł do wyjścia i tuż przed autokontrolerami usłyszał huk startującego kosmobusu. Zalała go żałość nad Odoną i sobą samym. Gdyby nie zadzwonił do Valisko, siedziałby teraz w kosmobusie spokojny i bezpieczny, niczego nie świadomy.
Była to niedobra myśl. Zawstydził się za nią i aby zadać sobie pokutę boleśnie wbił w dłoń paznokcie. Zmusił swój głos wewnętrzny do męskiej przemowy: ciesz się, że los dał ci szansę okazać miłość czynem. Gadać o wierności i obiecywać potrafi każdy. W tej sytuacji słowa jednak nie pomogą. Teraz potrzebne jest działanie.
Mówił tak sam do siebie, ale ta delikatna i w zasadzie tchórzliwa istotka, skryta gdzieś w głębinach duszy, gdzie nie docierają męskie słowa głosu wewnętrznego, istotka wypleciona z obaw i nadziei, trzęsła się w nim ze strachu i starała zatrzymać kroki swojego pana, który prowadził ją ku oczywistej zagładzie.
Niebezpieczeństwo zameldowało się już z daleka przenikliwym zapachem perfum.
Cała szóstka była przesiąknięta oparami perfum, ale węch, ten najmniej doskonały z ludzkich zmysłów, szybko przywyka do trwałego bodźca i przestaje go rejestrować. Armand, mimo iż spędził w więzieniu niewiele czasu, nie czuł już tego wszechobecnego piżma tanich pachnideł przywożonych na szóstkę helikopterami. Teraz jednak woń wody kolońskiej uderzyła go i byłby ją chyba wyczuł, nawet gdyby jakiś zły duch wypalił mu synapsy węchowe rozżarzonym żela-

zem. Natychmiast pojął, co to znaczy: policjant, ten ohydnie wygolony Jirman, spełnił swoją groźbę i wydał Odonę towarzyszom, wyleczonym stelloseksualistom.

Nikt nie pyta schabu, jak było w rzeźni, przypomniał sobie makabryczny żart Valisko. I stało się! Perfumiarze skrzyknęli się i właśnie biorą Odonę w obroty.

Tchórzliwa istotka odezwała się w nim z niebywałą natarczywością: za późno, Odonie i tak już nie pomożesz. Jeszcze masz okazję sam się uratować. Zwolnienie jest i będzie ważne, bez względu na to, co się stanie z dziewczyną. Wracaj do portu, poczekaj na najbliższe połączenie, wróć do domu, zapomnisz... Przecież to nonsens, cała ta zabawa w miłość, opamiętaj się, pomyśl o mamusi, co by biedaczka przeżyła, gdyby usłyszała, że jej syn ma romans z nieziemką, że jest stelloseksualistą.

Szedł jednak dalej stalowymi korytarzami, napotykając obojętnych ludzi śpieszących za swoimi małostkowymi sprawami. Opary pachnideł powoli gęstniały. Im dalej biegł, tym ludzie byli coraz mniej obojętni. Wydawało się, że są czymś podnieceni, zatrzymywali się, odwracali głowy, niektórzy zawracali i kierowali się tam, gdzie Armand. Nieświadomie wmieszał się w tłum walący do jego apartamentu.

Korytarz przechodził w olbrzymi hall otoczony metalowymi galeriami, z których prowadziły drzwi do poszczególnych mieszkań. W hallu roiło się od ludzi, również wszystkich trzydzieści osiem galerii było zajętych przez perfumiarzy. Przeważali mężczyźni, było ich tu co najmniej dwa razy więcej niż kobiet, ale krzyk tłumu chwiał się w wysokiej kobiecej tonacji wibrując nienawiścią. Nowo przybyli nie wiedzieli, nawet nie mogli wiedzieć, co się dzieje. Powoli jednak udzielało im się ogólne zrozumienie sensu tego zgromadzenia. Ktoś gdzieś popełnił jakąś zbrodnię, jakąś perwersję, którą trzeba jak najsurowiej ukarać. Na pytania, co się właściwie stało, kto jest winnym a kto ofiarą niewielu mogło odpowiedzieć.

Ale tłum wiedział, bo tłum zawsze wie wszystko. Z ust do ust, z ucha do ucha podawano sobie słowa oskarżenia:

– Uciekł... uciekł... uciekł...

– Jestem tutaj! – Krzyczał Armand. Przepychał się łokciami, chcąc się przebić do przodu, ale bez powodzenia, bo nigdzie nie było przodu ani tyłu. Zdawać by się mogło, że jednolicie gęsty tłum nie ma żadnego ośrodka zarządzania, żadnego mózgu, z którym Armand mógłby polemizować.

– Pomogła mu... pomogła mu... pomogła mu...

– Wy skurwiele, nie słyszycie mnie? Nie uciekłem, spójrzcie na mnie, stoję tu, z krwi i kości. W czym mi Odona pomogła? Idźcie stąd, idźcie do domu!

– Odórwa... odórwa... odórwa...

– Odono! – rozpaczliwie krzyknął Armand, bo zobaczył swoją kochankę.

Wisiała za szyję na sznurze przymocowanym do belki pośrodku sufitu na zawrotnej wysokości trzydziestej ósmej galerii i powoli opadała. Wydawało się, że żyje, sznur nie zadawał jej zbyt wielkiego bólu, ponieważ grawitacja w tym rejonie była tak niska, że nikt, nawet gdyby chciał, nie mógłby się tu powiesić.

– To ta odórwa, która pomogła zbiegowi w ucieczce! – zaryczeli perfumiarze.

Dziewczyna zatrzymała się gdzieś na wysokości dziewiętnastej galerii, w środku niezmierzonej przestrzeni hallu. Armand krzyczał, miotał się, ale zauważyło go tylko kilka osób w bezpośrednim sąsiedztwie. Zaczęli pomrukiwać, wbijać mu łokcie w żebra i gdyby Armand był w stanie obserwować, co się wokół niego dzieje, szybko zamknąłby gębę na kłódkę, ponieważ zupełnie wyraźnie zaczęły nad niego napływać chmury nienawiści. Tylko że on wpatrywał się w biedną istotę, która wisiała teraz pośrodku ludzkiego piekła, wystawiona na okrzyki i spojrzenia wszystkich.

Hałas narastał, lecz w jednej chwili, jakby na czyjś rozkaz, wszyscy ucichli. Armand chciał wykorzystać okazję, głos mu się jednak załamał, nie wydobył więc z siebie nic poza marnym charkotem. Zaraz rozległ się nowy dźwięk. Nie były to już głosy, ale szmer, dziwny szum, jak gorący deszcz parnego lata pod koniec bezwietrznego dnia. Armand poczuł też nowy, niepokojąco znajomy zapach.

Bieda-przyssawka... przeleciało mu przez głowę.

Nonsens. Bieda-przyssawka? Przecież to dziecięcy łakoć, gadget smarkaterii. Wynalazca biedy-przyssawki nawet nie przeczuwał, co odkrywa i myślał, że wyprodukował zwykłą gumę do żucia, którą jednak można wyciągać prawie w nieskończoność nie przerywając włókna. Dopiero dzieci wpadły na to udoskonalenie i ze słodyczy zrobiły zabawki. Nauczyły się miotać gumą na godną podziwu odległość, nie tracąc jej przy tym bezpowrotnie. Interwencje rodziców nie odnosiły skutku, bez skutku też nauczyciele karali swoich uczniów – bieda-przyssawka stała się ulubioną zabawką najmłodszego pokolenia.

Ale dlaczego wszyscy zgromadzeni w hallu perfumiarze żują biedę-przyssawkę?

Zrozumiał to szybko.

W powietrzu coś błysnęło, coś mignęło i Odona... wydawało się, że uwięzła w pajęczynie, że otaczają ją nici przymocowane do poręczy galerii.

Perfumiarze ostrzeliwali Odonę gumą do żucia.

Co to ma znaczyć, pyta Armand samego siebie. Czy to rodzaj publicznego potępienia? Po co to robią? Przecież bieda-przyssawka jest nieszkodliwa, tylko trochę szczypie...

Zaraz sobie uświadomił, że w hallu jest dobrych dziesięć tysięcy perfumiarzy i gdyby trafił w Odonę co dziesiąty, jest to tysiąc uderzeń, kulka do kulki i da to ładny ciężar, a dziewczyna wisi z pętlą na szyi i...

Ale w Odonę nie trafiał tylko co dziesiąty. Perfumiarze dobrze opanowali dziecięcą zabawę w biedę-przyssawkę i trafiali wszyscy. W ciągu minuty dziewczyna była opleciona gęstą siecią gumowych włókien. Krzyknęła przerażona, tłum odpowiedział radosnym rechotem. Włókna napięły się, postać guzmańskiej dziewczyny drgnęła, kokon, który ją spowijał, pękł – perfumiarze swoimi nićmi zerwali z Odony ubranie, wisiała więc teraz pośrodku hallu naga!

Tłum wściekle wrzasnął, zgęstniał, wszyscy cisnęli się do środka sali, jakby chcieli być bliżej tej odórwy, by ją dosięgnąć i rozszarpać na kawałki. Dwadzieścia tysięcy rąk kurczowo wyciągnęło się w powietrze, panował ogłuszający jazgot. Uświadomiwszy sobie bezsensowność tych prób perfumiarze umilkli i poczęli rozpracowywać nową porcję biedy-przyssawki. Tym razem kuleczki nie przykleją się do ubrania, lecz do nagiego ciała. Tym razem to nie będzie żart.

Znowu włókna błysnęły w powietrzu, znowu dziewczynę oplotła pajęczyna.

– Ściągnijcie ją na dół... Powiesić... powiesić... – ryczał tłum.

Gdyby galerie były puste, z pewnością by się to udało i anonimowi mordercy skupieni na dole hallu tysiącami prawie niewidzialnych nici ściągnęliby i powiesili ofiarę na sznurze. Tylko że galerie nie były puste i kolejne tysiące nici ciągnęły dziewczynę na boki i w górę. Musiała strasznie się męczyć, bo mimo hałasu było dobrze słychać jej rozpaczliwy krzyk.

Jak długo to wytrzyma? – pomyślał Armand.

Oczy mu zaszły łzami. Odwrócił się i za łzawą mgłą dostrzegł rozgorączkowane twarze bezimiennych katów. Zamachnął się i uderzył pięścią najbliższą z nich. Przed oczyma mignęła mu krwawa plama. Uderzył ponownie. Poczuł ostre rwanie w stawach i wydało mu się, że ktoś go bije. Nie zwracał jednak uwagi na ból, nie słyszał własnego krzyku. Młócił rękoma na wszystkie strony, niektóre ciosy chybiały, jednak większość osiągała jakiś cel. Szybko stracił równowagę, już padał na twarz, ale podparł się o czyjeś ramię, kopał wokół siebie nogami, teraz zabolało go w okolicy kręgosłupa.

Pachniało śmiercią. Bieda-przyssawka była wszędzie, kuleczki przylgnęły do jego twarzy i zakrwawionych rąk. Wyrwał się w opętaniu. W ułamku sekundy przypomniał sobie sen nawiedzający go w dzieciństwie: jednego dnia nauczył się

fruwać, zupełnie prosto – postanowił fruwać, więc fruwał. Również teraz nie stał już na ziemi, stracił kontakt z tymi spoconymi ciałami wyleczonych stelloseksualistów, mój Boże, przecież oni są przekonani, że mają rację, oni spełnili oczekiwania, wyleczyli się, są zdrowi. Wymierzają sprawiedliwość. Dlaczego jednak ludzie wymierzający sprawiedliwość tak się pocą?

Teraz także Armand unosił się nad głowami tłumu w przestrzeni między galeriami. Uchwycony tysiącem włókien pełzł w gęstej pajęczynie ku Odonie. Było to zadziwiająco łatwe.

Już go dostrzegła, jego ukochana. Twarz miała potwornie zniekształconą, pokrywała ją warstwa gumowych kulek, ale oczy świeciły jak zawsze jasno i był pewien, że dziewczyna się uśmiecha. Wyciągnął do niej ręce. Brakowało mu już tylko kilku metrów, jeszcze dwóch, jeszcze jednego.

Spłynęli w objęciu, oboje groteskowi a jednak wcale nie śmieszni, okrążeni przez dziesięć tysięcy zawistników, a jednak zupełnie sami, obojętni na wszystko i wszystkich.

W ryk tłumu wdarło się wycie syreny.

Armand i Odona nie widzieli, co się dzieje na galeriach, nie widzieli oddziału policji, który uderzeniami elektrycznych pałek rozgania ludzi w hallu na dole, nie zauważyli nawet, że powoli opadają ku ziemi. Byli wpatrzeni w swoje oczy. Nie mogli mówić – usta mieli zalepione gumą, ale gdyby mogli mówić i tak by chyba milczeli.

Gdy ocknęli się na twardym gruncie, oślepił ich strumień trochę piekącej i silnie cuchnącej cieczy. W okamgnieniu spłukała z nich warstwę biedy-przyssawki, nie byli już podobni do rzeźby Michelina z paryskiego Luwru, która wespół z posągiem Dawida należy do najsłynniejszych rzeźb antyku.

Armand rozejrzał się nic nie rozumiejącym wzrokiem.

Otaczał ich oddział umundurowanych policjantów. Jeden z nich, postawny chłop o rzucających się w oczy różowych policzkach, podniośle wygłosił:

– Armandzie Keralo, zgodnie z prawem więziennym skazuję was na destrukcję osobowości. Wyrok zostanie wykonany jutro o piątej rano. Tak samo zostanie ukarana współwinowajczyni, obywatelka Guzmanu Mała La. Sierżancie, niech pan przykryje czymś tę odórwę.

Wyglądem i zachowaniem bardzo przypominał Jirmana, ale nie był to Jirman.

Piąta rano! Ile im zostało czasu? Piętnaście... tak, piętnaście godzin samotności w stalowej celi, gdzie siedzieli na twardej pryczy, trzymali się za ręce i mówili szeptem, nawet nie ze strachu, że ktoś mógłby ich usłyszeć, ale aby nie kalać świętości uwieńczenia ich wspólnego życia.

Ponieważ to, co ich czekało, było gorsze od zwykłej śmierci.

Niektórzy ludzie ze strachu przed destrukcją osobowości postradali zmysły. Armand i Odona największą tragedię przeżyli jednak tam, w hallu, kiedy nienawiść tłumu pochwyciła ich w lepką pajęczynę. Czego mogą się obawiać, skoro przeszli przez coś takiego?

Noc cicho odeszła w przeszłość.

Na zewnątrz rozległy się kroki.

– To już piąta? – spokojnie spytał Armand. Były to pierwsze głośne słowa tego dnia.

Odona się uśmiechnęła.

Delikatnie pogładził palcem czerwoną pręgę jej szyi, pochylił się i pocałował w kark.

– Było pięknie – powiedział. – Niczego nie żałuję.

Usłyszeli szmer plastykowej karty wsuwanej w kontakt zamku, zawarczały silniki i pancerne wrota powoli się otworzyły.

Na progu stał Valisko i uśmiechał się żabim pyskiem. Za jego plecami majaczyła ponura sylwetka porucznika Jirmana.

– Po wszystkim! – grzmiał Valisko. – Udało się nam.

Armand nie rozumiejąc pokręcił głową. Jirman zarechotał.

– Niech pan nie patrzy jak cielę na malowane wrota. Rada dozwoliła pedrylstwo, to wszystko. Dzisiaj w nocy odbyło się referendum i od rana stelloseksualizm jest legalny. Panie Kerala, gratuluję, pani również, panno La.

– Jak przeistoczony, co? – krzywił się Valisko. – Wiecie, dlaczego? Bo już nie musi udawać, że jest wyleczony i jakoś mi się wydaje, że złapie pierwszy lot na Arrę i poderwie jakiegoś nowego kociaka. Dobrze mówię?

– Nie nabijaj się ze mnie – wyseplenił Jirman. – Ty przecież polecisz ze mną.

– Jasne, że polecę. – Valisko się roześmiał. – A co wy dwoje, słupy solne? Co dla was możemy zrobić? Chcecie czerwony dywan?

– Najlepiej by było, gdybyście znowu zamknęli drzwi – powiedział Armand,

Łapojebusy spojrzeli po sobie, chichocząc w kułak. Valisko podał Armandowi kartę, machnął na pożegnanie i zatrzasnął drzwi.

Łzy wzruszenia zamigotały w oczach Armanda.

– Odono... moja ukochana – wyciągnął do niej ręce.

Nie odpowiedziała i cofnęła się o krok.

– Co z tobą? Nie cieszysz się?

– Myślałeś kiedyś, dlaczego właściwie cię kocham?

– No... bo mnie kochasz, prawda.

Stracił pewność. Jej głos brzmiał dziwnie. Nigdy wcześniej tak nie mówiła. Zaśmiał się z wymuszeniem.

– Przecież u was na Guzmanie...

– Tak, my jesteśmy społeczeństwem cywilizowanym i stelloseksualizm był legalny zawsze. Więc jak myślisz, dlaczego zakochałam się w człowieku?

Złe przeczucie ścisnęło go za serce, ale ciągle miał nadzieję, że Odona wszystko obróci w żart.

– Dlatego, że jesteśmy sobie bliscy, podobnie wyglądamy, ja nie różnię się zbytnio od waszych mężczyzn, a ty...

– Zakochałam się w człowieku, bo groziła mi za to kara.

– A więc teraz... – nagle pojął wszystko. – Ty mnie opuścisz, bo stelloseksualizm jest legalny. Tak to wygląda. Powiedz mi wprost. Przestałem cię interesować, bo nie jesteś zagrożona.

Wydawało mu się, że wszystko jest zwariowanym snem. Naprawdę nigdy nie zadawał sobie pytania, dlaczego Odona z nim chodzi. Uważał się za stelloseksualistę, za istotę delikatną i dziwną, wybijającą się z tłumu przeciętnych ludzi, a Odona, to po prostu była dziewczyna z Guzmanu, która kochała go dlatego, że na to zasługiwał. Przecież miłość do mężczyzny jest rzeczą normalną. Nie myślał o tym, że ona również jest stelloseksualistką i skoro wolała go od mężczyzn guzmańskich, miała ku temu swoje powody.

Obraził się. Zapragnął być wulgarny.

– No, gadaj odórwo. Już cię nudzę, bo nie wiszą nad nami gliny.

– Ależ wiszą, ciągle jeszcze tu są – Odona chłodno się uśmiechnęła.

– Tylko że nic nam nie zrobią, bo możemy się pieprzyć do usranej śmierci. Nic nam za to nie grozi.

Przymknęła oczy.

– Wiesz, muszę ci się do czegoś przyznać – cicho powiedziała. – Mam dość dziwny charakter.

Podeszła do niego i położyła mu na ramionach ręce.

– Niechętnie zrzekam się swoich strasznych radości.

Uśmiechnęła się. Odpowiedział jej tym samym. Wreszcie poszła po rozum do głowy, pomyślał.

Prawda była dokładnie odwrotna.

Dziewczyna błyskawicznie zacisnęła palce wokół jego szyi i ścisnęła ją tak precyzyjnie, że pociemniało mu przed oczyma, a ból wdarł się głęboko w kręgosłup.

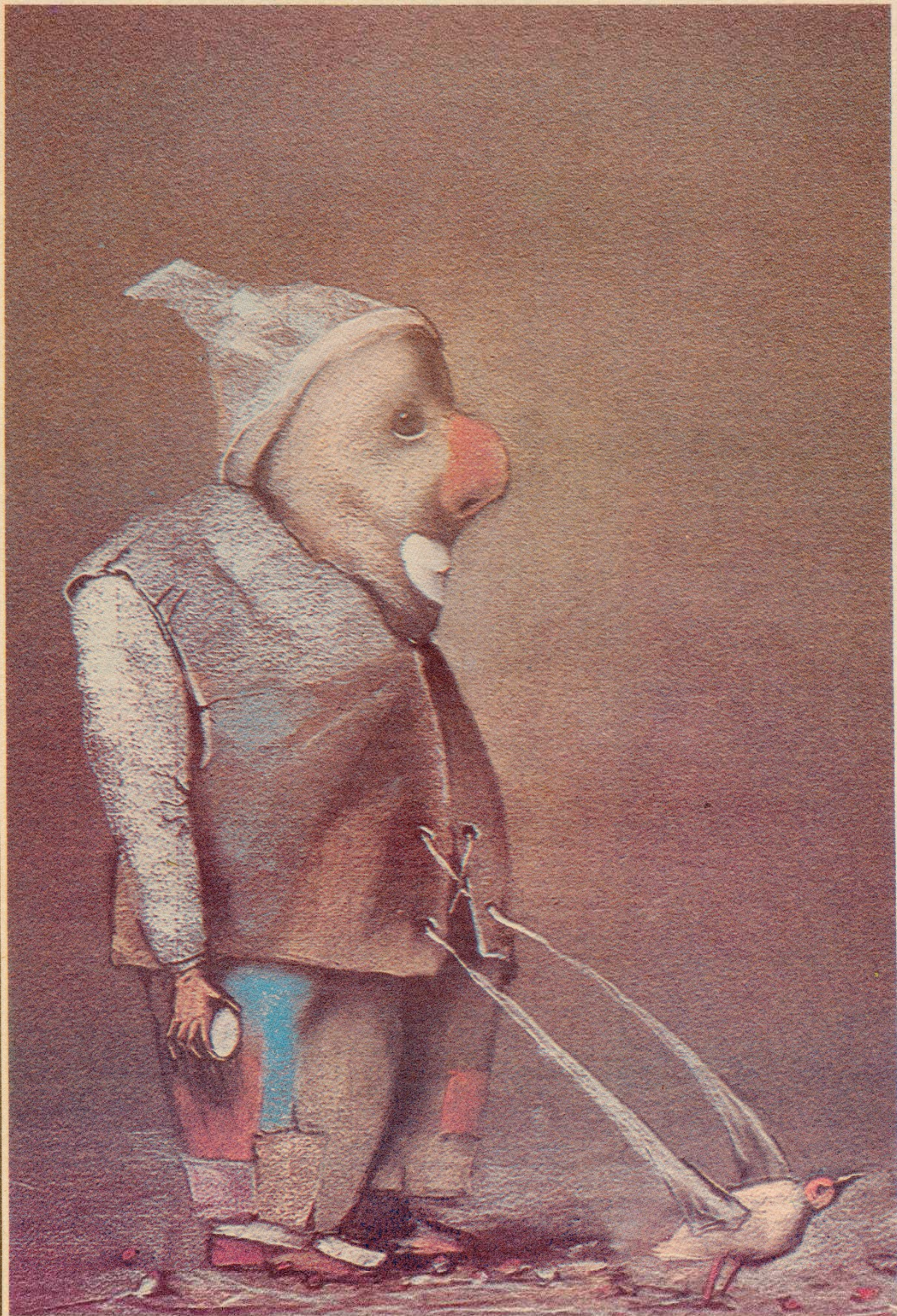
– I znowu grozi mi kara.

Były to ostatnie słowa, jakie słyszał. Otworzyła się przed nim ciemność i dostrzegł długi tunel zalany zielonym światłem, w którym czaiła się śmierć.

Przełożyła **Joanna Czaplińska**

...Stasys

Repr. Z. Latała

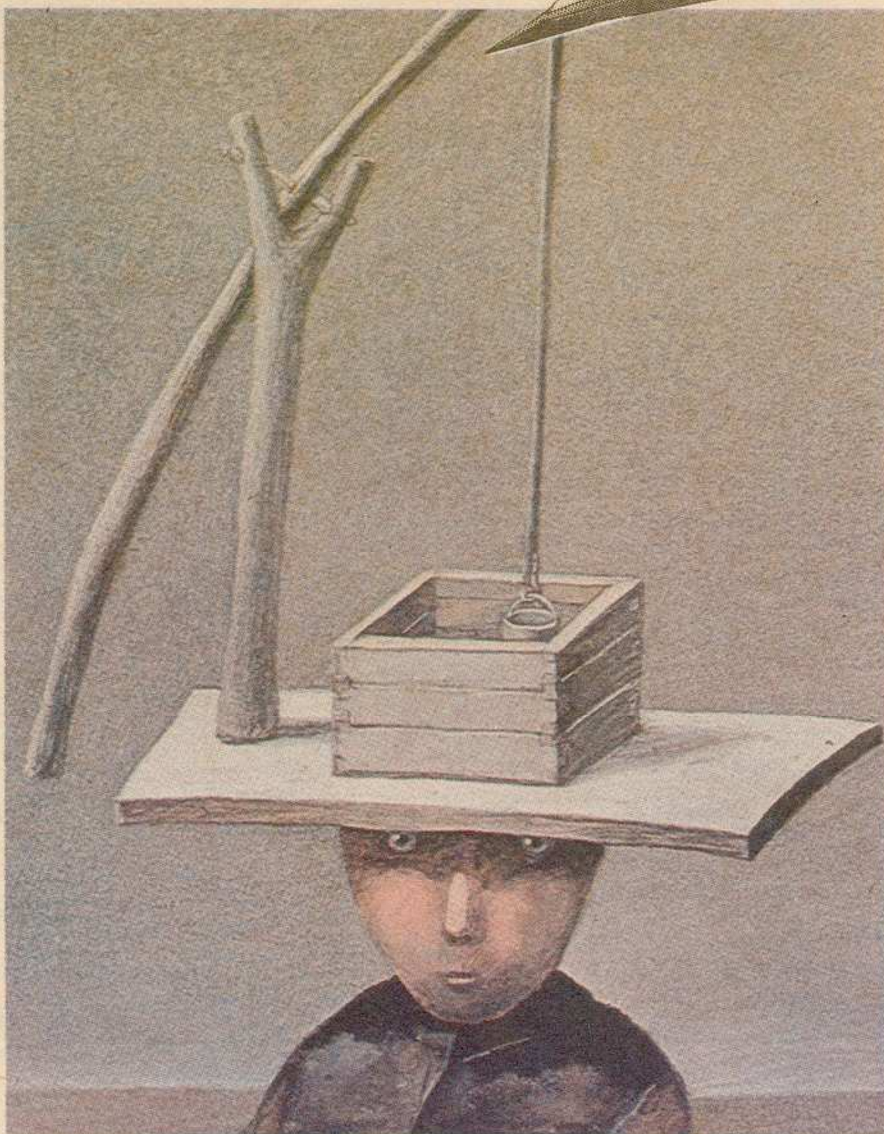


...Stasys

dokończenie ze strony 18

Muszę ci jeszcze napisać o jednym jedynym obrazie kupionym za tysiąc lśniących samochodów, obrazie genialnego szaleńca, który jak rzadko kto posiadł tajemnicę sztuki, bo udało mu się sprawić, by blask jego kwiatów był wieczny jak blask słońca. Do obrazu, odgrodzonego od ciekawych oczu taflą pancernego szkła (jakby to były otwory luf bazooki), płyną strumienie drobnych, energicznych figurek ludzkich niesionych niezliczoną ilością wspinających się schodów i przepływających w uprzejmym i dumnym zaciekawieniu, jak gdyby odnajdywały w żółtym blasku wspólnotę nadziei.

11. Kiedy wrócił i stanął u wylotu swojej stromej i wąskiej, spadającej jak górski potok ulicy, spostrzegł mrugającą doń srebrzyście podłużną, końską gębę księżyca. Po kamiennym bruku wyścielonym srebrną poświatą zaszeleściły szybkie kroki i nagle wyrósł przed nim mężczyzna utaplany w srebrnym pyle. W okrągłych oczach, jak na przyspieszonym filmie, przepływały kolejne fazy księżyca, a podłużna twarz, pozbawiona podkręconego do góry wąsa, wyglądała normalnie, prawie normalnie. Zniknął równie gwałtownie jak się pojawił.



Repr. Z. Latała



12. Gdy wkładał klucz w zamek, poczuł, że jest w domu. Złoty krąg lampy leżał miękko na stole, a pośrodku nęcił zapachem, wabił mroczną gęstością długi bochen chleba. Trzy pary okrągłych oczu jaśniały złotym światłem, lśniąc ciekawością i oczekiwaniem, a olbrzymie oczy małego Ignaca, choć nie największe, najbardziej łakomie dopominały się o nową opowieść o nowej wędrówce.

STASYS EIDRIGEVIČIUS urodził się we wsi Mediniszki na Litwie. ***Ukończył Szkołę Rzemiosł Artystycznych w Kownie i Instytut Sztuk Pięknych w Wilnie. Od 1980 roku przebywa na stałe w Polsce. Zdobył wiele nagród i wyróżnień głównie za ex libris i ilustrację książek dla dzieci, które te dziedziny przez wiele lat stanowiły podstawowy przedmiot jego artystycznych zainteresowań. Od kilku zaledwie lat projektuje plakaty i choć ma ich w swoim dorobku niewiele, zdołał już zwrócić na siebie uwagę wyróżniającymi się oryginalnością dokonaniami. Ostatnie lata wieńczy istne pasmo sukcesów:***

1986: Barcelona – II Międzynarodowe Biennale Ilustracji dla Dzieci. Premi Catalonia (I Nagroda) za książkę „Z powrotem". 1987: Paryż – II Salon Plakatu Światowego – Grand Prix za plakat „Borys Godunow". Toronto – II Międzynarodowa Wystawa Sztuki Miniaturowej (wyróżnienie honorowe za ex libris). Warszawa – Nagroda im. C.K. Norwida przyznawana przez krytyków sztuki za najlepszą wystawę roku (w galerii „Na Zapiecku"). Film dla telewizji BBC, wystawy w USA, Szwajcarii, Japonii.

Próbując znaleźć miejsce dla określonego dzieła w kontekście rozwojowym sztuki sięga się zazwyczaj po nazwy stylów, kierunków, po nazwiska twórców, które określają zjawiska najbliższe formalnie i znaczeniowo. Twórczość Stasysa próbuje się otwierać za pomocą klucza z napisem „Surrealizm", padają przy tym nazwiska takie jak: Chagall, Odilon Redon, Topor – a z polskich malarzy Tadeusz Makowski, Wojtkiewicz. Ale otwarcie dzieła nie następuje, świat sztuki Stasysa wszelkim analizom, atomizowaniu, układaniu i systematyzowaniu po prostu się nie poddaje, pozostaje zamknięty w swej odrębności choć jednocześnie otwarty dla odbiorców, którzy coraz liczniej wyrażają chęć obcowania z nim. Czy zatem możliwe jest odtworzenie sztuki takiej jak ta, z jej specyficznym nastrojem, świata twórcy takiego jak Stasys, jego mentalności, wyobrażeń, źródeł i miejsc, z których pochodzi ikonografia, zasób znaczących składników obrazu – wszystkiego tego co tworzy oryginalność tej sztuki za pomocą nazywającego, definiującego opisu, wywodu krytyczno-teoretycznego? Zadawałem sobie te pytania pisząc opowieść o Stasysie, która będąc jeszcze jedną próbą, może być zarazem świadectwem bezradności człowieka stojącego na granicy dwóch światów.

Edmund P. Lewandowski

Gumpiarz

Piotr Bondel


Andrzej Brzezicki

Musiał to robić. Po prostu musiał. Ta muzyka, ten głos, ten śpiew, to drżenie. Ta kotłująca się energia. Wypełniała go, przelewała się w nim. Każdy mięsień Marka drgał, całe ciało było tańcem. Wirującą jednością. W ręku obracała się gumpa. Z początku jakby ospale. A gdy rytm zwiększał częstotliwość, a śpiew stawał się coraz bardziej podniecający – rosła fala dźwięków i gumpa nabierała życia. Już zaczynała dotykać całego ciała, przesuwając się pieszczotliwie po plecach, skakała na uda, oplatała ramiona. Jej drżenia były coraz bardziej harmonijne i pogodzone z muzyką, coraz głębsze. Muzyka zalewała Marka falami dźwięków. Niskie tony pulsowały w nim coraz mocniej. Płynął na ich fali przepełniony pragnieniem, by trwało to wiecznie. Nie dostrzegał otoczenia, był poza nim, był muzyką, był rytmem, był szaloną falą dźwięków. Był wolny. Jeszcze, jeszcze. Fale skurczów przechodziły od czubków palców do włosów na głowie. Wirował, drgał, falował. Gumpa stała się częścią jego ciała. Znaczyła śladami każdy dźwięk, każdą zmianę rytmu.

Cholera. Był zły. Był wściekły. Był niebezpieczny... Sukinsyn. Sukinsyn zrobił to specjalnie. Przecież mnie zna i wie, że zawsze zwracam długi. Pieprzony sukinsyn. Te kilka centów chciał zamienić na spotkanie u mnie w domu. Niech go cholera tego geya. A w klubie mieli dziś grać GET READY. Mark przygotowywał się do tego od roku. Skrycie i w tajemnicy. Nawet Druu nic o tym nie wie. Tak bardzo chciał zobaczyć, jak inni to tańczą. A teraz ten pieprzony gey nie wpuścił go z powodu kilku centów. Ze złością kopnął leżącą na bruku puszkę. Potoczyła się z hukiem i odbiła od ściany domu. Zwalista postać wychyliła się z okna.

– Ty cholerny pomiocie. Ja cię nauczę porządku.

– Stary pierdzielu, lepiej uważaj na swoją zdzirę – odkrzyknął Mark ze złością i pomknął przed siebie.

Do domu wpadł nieco uspokojony. Poszedł od razu do siebie na górę. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Zwłaszcza ze starymi. W drzwiach pokoju zobaczył siostrę.

– Wyglądasz jak dziwka – powiedział oglądając jej strój i makijaż.

– Ty gówniarzu. Na pewno chciałbyś, aby Druu mogła tak wyglądać. Ale...

Nie dał jej skończyć, skoczył, nim skończyła wymawiać imię jego dziewczyny. Ale dużo mu brakowało do klasy siostry. Wylądował pod ścianą.

– Ale ona nigdy się na to nie odważy, bo jest podszyta tchórzem – dokończyła siostra, pomagając bratu wstać. – No to jak wyglądam? – spytała pojednawczo.

– Bombowo. Gdzie i z kim płyniesz?

– Coral See, Tregg mnie zaprosił. Chyba nie sprawię mu zawodu?

– Jasne, że nie. Wszyscy zwariują, jak cię zobaczą. Tregg będzie cię musiał dobrze pilnować.

– Jeszcze nie wszystko Mark. Popatrz na to – Cora zrobiła ledwo dostrzegalny ruch piersiami. To co je zakrywało zaczęło się otwierać i układać w kielichy jakichś egzotycznych kwiatów. Po chwili dwa kwiaty migotały kolorowym światłem rozjaśniając wspaniałe wnętrze. Mark wpatrywał się skamieniały. Nie w piersi. Wiedział, że są doskonałe, ale w misterną konstrukcję, która je otaczała.

– Jak, jak to zrobiłaś. To jest fantastyczne – wykrzyknął. Kwiaty zaczęły się składać i na powrót zakryły wspaniały widok.

– I tak byś nie zrozumiał. Można jeszcze regulować prędkość. Wyobrażasz sobie, jak to będzie wyglądało w tańcu? – spytała zadowolona z osiągniętego efektu.

– Coro, jeśli to twój pomysł, powinnaś go sprzedać. Każda firma zapłaci furę pieniędzy. To będzie szaleństwo. Już widzę miny innych dziewczyn i facetów. Tregg się wścieknie.

– Mam go gdzieś. Może dostanę się do News Day. Co? – roześmiała się. – Jak starzy mnie zobaczą, chyba ich szlag trafi. Za godzinę wychodzę, trzymaj za mnie kciuki – odwróciła się i skoczyła do swojego pokoju.

Właściwie, Corze mógł powiedzieć o wszystkim. Mało kto miał taką siostrę. Leżał na podłodze i gapił w sufit. Zawsze można na nią liczyć. Dwa lata temu rozłożyła trzech bumpersów, którzy przyczepili się do nich w budzie Sad-Dance. Wszyscy przystanęli i patrzyli z podziwem na Corę. Inni bumpersi nie próbowali jej tknąć, wyciągnęli tylko na zewnątrz trzy bezwładne ciała swoich chłopaków, a po powrocie zatańczyli specjalnie dla niej. To było szaleństwo. Kilkudziesięciu bumpów na środku sali. A Cora wśród nich. Nieco blada, ale nie ze strachu. I zderzające się ciała. Bump, bump, bump. Wrócili nad ranem kompletnie wykończeni, zbyt przejęci nocnymi wrażeniami, by zwrócić uwagę na awanturę, jaką urządzili im starzy. Ci tak się rozkręcili, że nawet nie zauważyli jak Cora i Mark skryli się w swoich pokojach. Pamiętał, że następnego dnia było mu strasznie głupio. Dziewczyna wyręczyła go w bójce. Powinien sam załatwiać takie sprawy. Wieczorem tego dnia Cora rozpoczęła z nim trening. Na wszelki wypadek – powiedziała. Był jej wdzięczny.

Przewrócił się na brzuch i podczołgał do wyjścia. Wysunął głowę na korytarz. Na dole ciemno i cicho. Starzy chyba już śpią. Wstał, zamknął i zablokował drzwi. Podszedł do fotela, usiadł. Nie, jeszcze poczekam. Zamknął oczy. Wielobarwna plama pulsowała rytmicznie. Wabiła kolorami i rytmem. Wołała go a on nie był jeszcze gotów. Jeszcze trochę. I promise, to get ready. Otworzył oczy. Zdjął pokrycie z oparcia fotela, odsłaniając niewielką płytę. Dotknął jej i rozjarzyła się kolorowymi światełkami. Leciutko musnął czerwone. Z sufitu i bocznych ścian bezszelestnie wysunęły się szklane kule. Mark sprawdził jeszcze blokadę drzwi, po czym usiadł wygodnie w fotelu. Włożył w uszy dwie maleńkie mulki i musnął białe światło. Na środku pokoju pojawiła się postać. Po chwili zaczęła się poruszać w takt muzyki płynącej z maleńkich mulek.

Cora wróciła dopiero koło południa. Starych nie było w domu a Mark odsypiał nocny przegląd zapisu. Chciała go obudzić, ale była tak wykończona, że zwaliła się na łóżko i od razu zasnęła.

Marka obudziło lekkie poszturchiwanie.

– Wstawaj śpiochu. Coś ty robił w nocy?

– Odczep się – przekręcił się na wznak i otworzył oczy. Cora siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywała się w swoje piersi.

– Tu już nie o to chodzi, że niedługo wrócą starzy, ale zaraz będą nadawać News – powiedziała poważnym tonem.

– Coś ty, udało ci się! Sprzedałaś te kwiatki?! – Mark rozbudził się zupełnie. Piersi Cory były nagie. Zniknęła otaczająca je wczoraj misterna konstrukcja.

– Zawinęłam się bez pudła. News zrobił wywiad i sama Laurel Coy przyjechała do Coral, by podpisać ze mną kontrakt. Od razu! Bez targów! Tregg był wściekły i zmył się – Cora podskoczyła na łóżku i przewróciła Marka. – To był prawdziwy sukces bracie. Wszyscy powariowali. Włącz wizjer.

Mark podniósł się i sięgnął po kostkę. Włączył ją i na ścianie wykwitł obraz. Coral See było pełne ludzi. Najprzeróżniejsze stroje, feeria barw i muzyka. Kamera prześlizgiwała się po tańczących, tu i ówdzie zatrzymując się chwilę dłużej, by pokazać ciekawszy szczegół garderoby lub makijażu. Aż wreszcie zatrzymała się pokazując wirującą parę. Cora i Tregg, roześmiani, zadowoleni. Nagle kamera ruszyła do przodu. Kwiaty na piersiach Cory ożyły. Przebitka na wielki ekran. Olbrzymie kwiaty pulsowały kolorowym światłem w rytm muzyki. Przebitka na salę. Większość tańczących podryguje w miejscu patrząc na ekran. A na nim zbliżenie Cory. Tańczy już sama otoczona zwiększającym się kręgiem ludzi. Jej wspaniałe piersi mienią się tysiącem kolorów. Kwiaty falują i drżą podniecająco. A potem burza braw i Cora wędruje w górę na ramionach zachwyconych facetów. Wywiad dla News. Przebitka na drzwi wejściowe. Laurel Coy we własnej osobie. Ubrana szałowo, ale nie wytrzymuje porównania z Corą. Scena podpisywania kontraktu i znowu brawa.

– Siostro... – zaczął Mark.

– Mark. Co ty tu masz? – przerwała mu. Wpatrywała się bacznie w plecy Marka.

– Ach, to nic takiego, ja...

Nie dała mu dokończyć.

– Nie wstawiaj mi tu głupich wykrętów. Gadaj skąd masz te czerwone pręgi – była wkurzona i jeszcze chwila a dołożyłaby Markowi.

– Coro, nie gniewaj się. Miałem zamiar wszystko ci wyjaśnić – zaczął wcale jeszcze nie zdecydowany czy jej powiedzieć.

– Słuchaj no, ty mój gówniarzowaty bracie. Jeśli spróbujesz zawijać, tak ci wpieprzę, że te pręgi będą niczym w porównaniu ze śladami jakie ja zostawię. – Chwyciła go mocno za ramię – zrozumiałeś pomiocie? – Jej piersi falowały a oczy błyszczały groźnie.

– Puść, to boli. Powiem ci ale nigdy więcej nie nazywaj mnie gówniarzem i pomiotem – mówiąc to podniósł głos. – Będziesz pierwszą osobą, która się dowie, która zobaczy. Nawet Druu o niczym nie ma pojęcia – przerwał. Z dołu dobiegły dźwięki otwieranych drzwi. – Starzy. Pogadamy wieczorem u mnie. Zostawię ci kartkę z adresem.

– W porządku. Zmykam do siebie. – Wstała i szybko wyszła z pokoju.

Mark przeciągnął się. Gdy wychodził z łazienki, było już dobrze po południu. A więc pokaże wszystko Corze, nawet lepiej, że właśnie ona będzie jego pierwszym widzem. Może wyłapie jakieś niedociągnięcia. Ubrał się szybko, napisał parę słów na kartce i wrzucił ją do rury łączącej jego pokój z pokojem siostry. Zablokował drzwi i skacząc po dwa stopnie, zbiegł po schodach. Widząc matkę stojącą w drzwiach saloniku rzucił krótkie „cześć" i ignorując jej próby nawiązania rozmowy, wybiegł z domu.

Muzyka nagle ucichła. A wirująca postać znieruchomiała. Jeszcze tylko gumpa drżała lekko. Mark otarł krople potu z czoła. Teraz już chyba dobrze. Poprawił ostatni fragment układu. Spojrzał na zegar. Niedługo powinna przyjść Cora. Musiał więc szybko zmontować najlepsze Kawałki. Odłożył gumpę, pieszczotliwie ją głaszcząc. Wygramy, na pewno wygramy. Wziął się do pracy. Po godzinie zapis był gotów. Powstrzymał chęć obejrzenia go od razu. Postanowił zrobić to razem z Corą. Należało się jej. Usiadł w fotelu i czekał. Po chwili czerwone światło nad drzwiami dało znać, że Cora już jest. Mark wstał i poszedł otworzyć.

– Gdzieś ty u diabła kazał mi przyjść? Bezludne zadupie i obszarpana piwnica. – Niezadowolona rozejrzała się po salce.

Wciągnął ją do środka i zatrzasnął drzwi.

– Fiu, tu jest całkiem milutko. Tylko powiedz... – spojrzała pytająco.

– Siadaj i bądź cicho – uciął, wpychając ją w fotel. Sam zajął drugi, stojący bliżej stołu. Włączył przycisk. Światło zgasło i na środku salki wyrosła naga chłopięca postać. Cora gwizdnęła i chciała coś powiedzieć, ale postać zaczęła się poruszać. Gwałtowna fala dźwięków wtłoczyła ją w fotel. Postać ożyła na dobre. Cora patrzyła.

Z początku z przerażeniem, kurczowo ściskając poręcze. Ale im ruchy postaci stawały się bardziej płynne i szybsze, przerażenie ustępowało miejsca fascynacji. Zaczęło ją ogarniać błogie odprężenie. Postać wirowała, drgała, falowała. Cora czuła, że coś ją ciągnie do tego tańca. Ale czy to był taniec? Narastało w niej podniecenie. Siedziała wpatrzona, usiłując złowić każdy gest, każdy ruch. Muzyka rosła, uderzała niczym oceaniczna fala. Nie było to nieprzyjemne uczucie. Zalewające Corę fale dźwięków, tworząc z wirującą postacią zadziwiającą jedność, wypełniały ją szczęściem i rozkoszą. Gdy muzyka sięgnęła szczytów a postać wystrzeliła w górę, Cora zaczęła krzyczeć.

Przestała dopiero wtedy, gdy muzyka nagle ucichła a postać znikła.

Mark wpatrywał się w nią z napięciem.

– Miałam orgazm – wyszeptała Cora. – Ty genialny sukinsynu, jak tyś to zrobił!?

– Co o tym sądzisz siostro? – spytał. Jego głos nabrał zupełnie innej barwy.

Cora popatrzyła na niego. Dłońmi masowała sobie podbrzusze.

– Jeszcze czuję jak mi tam wszystko gra. Mark, to było Fantastyczne. Nie ma słów, żeby to wyrazić. To było coś, coś co pochłania. Chciałam, żeby mną zawładnęło. To wyzwala i zarazem chcesz niepodzielnie temu ulec. Mark, ten taniec, nazywa się gumpa. Tak?! I stąd twoje ślady?

– Tak. Jesteś jedyną osobą, która to widziała przed premierą.

– Doroczny konkurs gumpiarzy – westchnęła i spojrzała na leżącą na stole gumpę.

– Zjadą się gumpiarze z całego świata. To będzie święto, prawdziwe święto, Coro. I ja będę brał w nim udział. Rozumiesz, Coro? Ja wygram. Czuję to. Po prostu muszę wygrać. – Oczy Marka nabrały dziwnego blasku. Wpatrywała się weń oszołomiona, bez słowa.

– Widziałaś. Powiedz, trzeba coś zmienić, poprawić?

– Nie wiem, Mark. Nie patrzyłam jak sędzia. Nikt nie byłby w stanie oglądać tego na chłodno. Twój taniec nie pozwala na to. Po prostu bierze w posiadanie i widz przestaje panować nad sobą, wyzwalasz go na chwilę z jego ograniczeń. Sądzę, że każdy kto go będzie oglądał, tak to właśnie odczuje. – Cora przeciągnęła się w fotelu.

– Naprawdę ci się podobał?

– Ach ty niedowiarku. Nie widziałeś co się ze mną działo. Mam wielką ochotę zobaczyć to jeszcze raz. Muszę to zobaczyć. To było, Boże to było...

Cora nie dokończyła. Mark cofnął zapis i puścił od początku. Po siódmym razie zdecydowanie odmówił dalszego ciągu. Cora wyglądała na zmęczoną.

– Jestem wykończona. Ależ to przyjemne uczucie. Może jeszcze...

– Daj spokój – przerwał jej szorstko – musimy wracać. Już późno.

Był trochę zaskoczony reakcją Cory. Jego taniec podziałał na nią jak narkotyk. Czy tak samo podziała na innych? Do konkursu pozostały jeszcze dwa tygodnie. A może powinien jednak powiedzieć o wszystkim Druu? Zrezygnował z tego. Chciał jej zrobić niespodziankę. To dopiero zwali ją z nóg. Mark – Najlepszy Gumpiarz Świata.

Następnego dnia rano obudziło go gwałtowne szarpanie. Cora ciągnęła brata za ręce, by usiadł.

– Mark mam! – Obudziłeś się? – Potrząsnęła nim energicznie. – Całą noc mi się śniło. I jak się obudziłam, wiedziałam już, czego brak w twoim tańcu. Słyszysz mnie, do cholery?! – Szarpnęła go za włosy.

– Przestań! – Krzyknął i chwycił ją za ręce. – Czego się wydzierasz.

– Mark, posłuchaj. Wczoraj pytałeś mnie, czy coś zmienić w twoim tańcu. Dopiero dziś na to wpadłam! – krzyknęła uradowana.

– Na co? – zapytał przytomniej.

– Niczego nie należy zmieniać! – Mark zrobił zdziwioną minę, ale Cora ciągnęła dalej. – Trzeba tylko uzupełnić. Kolory, rozumiesz? Barwy – feeria barw!

– Nie rozumiem – mruknął. – Gumpy nie da się tańczyć w ubraniu. Za bardzo krępowałoby to ruchy. A jak bez stroju można być kolorowym. Pomalować ciało!

– Ach nie! To nie miałoby odpowiedniej siły wyrazu. I w ogóle nie pasowałoby do tańca. To musi być coś zupełnie nowego. Posłuchaj uważnie Mark. – Zaczęła mu wyjaśniać swój pomysł.

Mark słuchał, zrazu z niedowierzaniem, aż nagle jego twarz poczęła nabierać rumieńców. Siostra była geniuszem! Jej pomysł z kolorami przewyższał wszystkie dotychczasowe. Z pewnością wysadzą z siodła samą Laurel Coy. Wpatrywał się w Corę niewidzącymi oczami. Spróbował sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało i przeszedł go dreszcz.

– No i co o tym sądzisz? – spytała.

– Coro jesteś geniuszem! Będziesz pierwszą i najdoskonalszą dyktatorką mody – wykrzyknął.

– Nie wygłupiaj się. Musisz tylko zapamiętać schemat kolorów i zharmonizować go z całym układem. Niestety, nie będzie prób. Musisz to przygotować na sucho. Myślę, że zdążysz przez dwa tygodnie. – Cora uśmiechnęła się.

– Nie ma obawy. Na pewno. Właściwie w myślach cały czas widziałem to w kolorze. Teraz już wiem, jak to zrobić. Nie potrzeba mi żadnych prób. Dzięki za wszystko!

– No to na razie – powiedziała wstając. – Muszę skoczyć

Piotr BONDEL

Urodził się w 1957 r. Ukończył Wydział Filozofii Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Kilka lat zatrudniony jako księgarz, obecnie pracuje w domu. Debiutował w „Szpilkach" w 1981 r. jako satyryk, a jako fantasta w naszym miesięczniku (nr 4/85) opowiadaniem „Obszar". Inne jego opowiadanie, „Kształty w ciemności" drukowaliśmy w „Fantastyce" nr 3/86.

(mp)

w parę miejsc i zaopatrzyć się w to co trzeba. Trzymaj się, gumpiarzu – rzuciła wychodząc z pokoju.

Mark położył się na wznak i zamknął oczy. Barwna wirująca plama pulsowała rytmicznie pod jego powiekami.

Na tydzień przed konkursem był gotów. Została tylko robota Cory. Ale to dopiero w dzień występu. Przypomniał sobie o Druu. W ciągu ostatniego miesiąca widział się z nią tylko kilka razy. Trzeba pójść i poprosić, by poszła z nim do Gump-Dance. Ale Druu nie było w domu. Gdzieś wyszła, jej matka nie wiedziała dokąd. Mark wrócił do domu. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Trochę pokręcił się po pokoju i już miał wyjść, gdy wpadła Cora.

– Mam wszystko. Ale nie wiem – urwała, przyglądając się Markowi. – Nosi cię, co? Żyjesz konkursem.

– Nie – odburknął. – Pójdę się przejść. – Odwrócił się i wybiegł. Opanowało go dziwne uczucie. Lęk przemieszany z mobilizującym podnieceniem. Miał coś takiego w oczach, że nawet starzy nie odważyli się go zaczepiać. W ciągu tych kilku dni przejrzał zapis jeszcze parę razy. Wydawał się doskonały. Zbyt doskonały. Czy zdoła powtórzyć taki taniec na żywo? Mark chciał porozmawiać o tym z Corą. Ale ona też była podenerwowana, więc w końcu zrezygnował.

Dopiero w przeddzień konkursu znowu przypomniał sobie o Druu. Pobiegł do niej gnany gorączką. Przyjęła go bardzo chłodno. Niemal jak obcego. Zachowywała się tak, jakby nigdy nic między nimi nie było, jakby go nie poznawała. Gdy mimo to zaproponował wspólny wypad do Gump-Dance, powiedziała, że się spóźnił. „Idę już z Garym. On będzie brał udział w konkursie. Jest świetny". Chciał coś powiedzieć, wytłumaczyć, ale oczy Druu zdradziły wszystko. Wybiegł jak oszalały. Dziwka, dziwka – krzyczał w duchu. Jeszcze zobaczysz, kto jest świetny. Biegnąc, zdał sobie sprawę, że mniej wstrząsnął nim sam postępek Druu – bardziej fakt iż uznała, że ktoś może być lepszy od niego. Do domu wpadł już uspokojony. Na górze czekała Cora.

– Jak Druu?

– Teraz to nie ma znaczenia – odparł kładąc się na łóżku. – Muszę się wyspać. Jutro pogadamy.

– Mark, zaczekaj. Boję się. Boję się tego konkursu, boję się reakcji ludzi. I boję się o ciebie. Słyszysz! – wpatrywała się z napięciem w brata. – Proszę cię, zrezygnuj.

Mark podskoczył i uderzył ją w twarz.

– Milcz! Jutro zrobisz, co masz zrobić a teraz się wynoś.

Obudził się wcześnie z przeświadczeniem, że dziś wydarzy się coś, na co czekał od dawna. Nie chodziło tu tylko o konkurs. Chodziło o coś więcej. Nie wiedział, jak to coś nazwać, ale czuł, że dziś to nastąpi. Zajrzał do siostry. Nie spała już, może w ogóle nie spała, na co wskazywały jej podkrążone i zapuchnięte oczy.

– Wracam do siebie. Zrób coś z twarzą, bo wyglądasz okropnie – powiedział. – I wpadnij koło południa, to mnie przygotujesz.

– Dobrze, Mark.

Srebrzysto-czarna gumpa leżała na stole. Mark przyglądał się jej czule. Była gotowa. On i ona. Nikt i nic nie zdoła się im oprzeć. Zamigotało czerwone światło. Jest Cora. Wpuścił ją do środka. Wyglądała znacznie lepiej.

– Najpierw ty – powiedziała stawiając torbę na stole. Patrzyła z niechęcią na gumpę. – Wiesz, wydaje mi się, że jej nienawidzę.

– Przestań Coro. Bierz się do roboty – powiedział zdejmując ubranie.

W ciągu trzech godzin był gotów. Stał teraz nagi na środku sali trzymając srebrzysto-czarną gumpę. Cora patrzyła na niego z podziwem.

– Mark... – zaczęła. Spojrzał tylko i wiedziała już, że nic go nie powstrzyma. Biła z niego pewność i wiara.

– Wierzę, że wygrasz – powiedziała. – Jesteś najwspanialszym gumpiarzem na świecie, Mark. Jeszcze nigdy takiego nie było – dodała szeptem.

– Dopiero będę, Coro – powiedział cicho – dopiero będę.

Przebiegł ją dreszcz.

Gdy wchodzili do nabitej publicznością Gump-Dance omiotły ich uważne i pełne podziwu spojrzenia. Mark poprowadził Corę do pierwszego rzędu. Przystanęli na chwilę. Spojrzała na niego i dotknęła jego policzka. Był zimny. Chciała coś powiedzieć ale Mark uśmiechnął się i zakrył dłonią jej usta.

– Nie trzeba, Coro.

Wybiła godzina. Spiker zaczął wymieniać zawodników. Kolejno wychodzili na środek sali. Mark wyszedł jako ostatni. Wyglądał wspaniale. W tej chwili Cora była dumna ze swego brata. Gdzieś z boku dobiegło ją głuche westchnienie. Spojrzała w tamtą stronę. Druu wpatrywała się w Marka z podziwem i żalem zarazem. Cora usiadła. Mocno chwyciła poręcze fotela.

Mark stojąc na środku sali obiegł wzrokiem publiczność. Gdzieś dostrzegł Druu, ale nie zatrzymał na niej spojrzenia. Przez chwilę przyglądał się konkurentom. Dłużej zatrzymał wzrok na Garym. Z oddali dobiegł go głos spikera. Odrzucił płaszcz. W ręku błysnęła srebrzysto-czarna gumpa. Jestem gotów – wyszeptał – jestem gotów.

I runęła muzyka. Postacie zaczęły się poruszać. Z początku wolno, łapiąc rytm, rozgrzewając się przed właściwym uderzeniem dźwięków. Głos śpiewał: „get ready, I'm ready". Gumpy fruwały w powietrzu przerzucane z ręki do ręki. Tylko jedna nie opuściła dłoni. Mark zaczął wolno jakby ospale i na razie w miejscu. Jeszcze spoglądał wokoło, jeszcze widział patrzące na niego twarze. Cora, Druu, Cora, Gary. Rytm stawał się szybszy. Głos ponaglał zawodników. Gumpy sięgały coraz dalszych rejonów ciał, zostawiając wciąż nowe czerwone ślady. Mark przestał patrzeć. Otworzył się całkowicie i muzyka wlała się w niego. Poczuł jej zapładniającą moc. I zaczął właściwy taniec. Zaczął falować, drgać, pulsować każdym mięśniem. Już nie stał w miejscu, tylko wirował po sali. Inni zawodnicy schodzili mu z drogi, aż w końcu przestali tańczyć. Teraz tylko Mark i jego Gumpa. Cała sala z zapartym tchem wpatrywała się w wirującą, drgającą, falującą postać. Rozległ się tłumiony szloch. Cora patrzyła zafascynowana. Jej ręce z całej siły trzymały poręcze fotela. To jeszcze nie to. Zaraz zobaczycie coś, czego jeszcze w życiu nie widzieliście.

A Mark był już samym tańcem. Był tańczącą wolnością. Gumpa wystrzeliła w górę i... uderzyła! Lewe ramię Marka rozbłysło żółto-fioletowym światłem. Zawarty w gumpie narkotyk złagodził ból. Ktoś krzyknął. Cora ledwo trzymała się w fotelu. Gumpa znów uderzyła! Z prawego kolana wysypały się kolorowe iskry. GET READY, GET READY. Cora kątem oka dostrzegła jak znieruchomiali do tej pory ludzie zaczynają się poruszać. Brało ich. Bijąca z Marka energia wyzwalała ich. Ktoś się przewrócił, ktoś upadł na kolana, ktoś inny zaczął krzyczeć.

Mark nic już nie widział. Był tańcem, był muzyką, był światłem. I drgał, falował, wirował. Gumpa stała się częścią jego ciała. Uderzała i wyzwalała feerię barw. Mark był kolorową plamą poruszającą się w zawrotnym tempie. Ludzie krzyczeli coraz głośniej.

Cora ostatkiem woli oderwała się od fotela i popędziła w stronę spikera. Chciała mu powiedzieć, by skończył z tym, ale odtrącił ją gwałtownie. Kiwał się, zapatrzony w wirującą, wielobarwną postać. Znalazła wyłącznik dźwięku. Wcisnęła. Nic! Odwróciła się i spojrzała na salę. Muzyka trwała. Ale nie płynęła z głośników. Płynęła z Marka! Ci, którzy byli w stanie to wytrzymać, podrygiwali konwulsyjnie. A Mark? Mark był kulą kolorowej energii, która pulsowała w szalonym rytmie. I nagle kula rozprysła się na tysiące, setki tysięcy barwnych punktów!

Ludzie zaczęli wyć i szlochać.

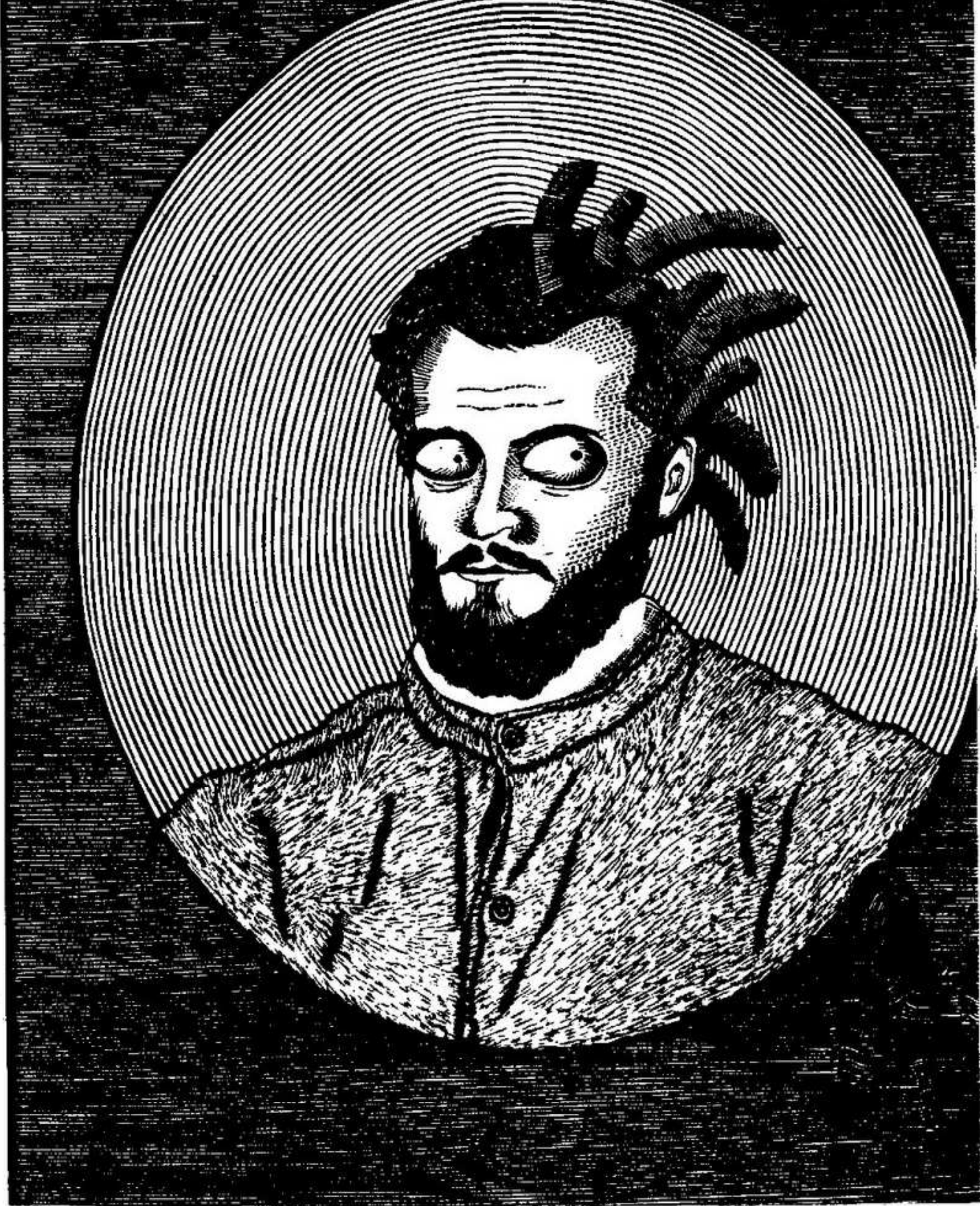
Cora stała oniemiała.

Mark znikł!

I tylko brzmiało jeszcze płynące gdzieś z oddali – I'm ready.

Piotr Bondel

Dzień. Wczoraj zjadłem resztę pożywki zgromadzonej w moim pomieszczeniu, a dzisiaj opuściłem je i wyszedłem na zewnątrz. W przeciśnięciu się pomagało mi kilku Lo. Pracowicie rozdrapywali wąskie przejście, ja ze swej strony pomagałem im jak tylko mogłem, tak że trwało to bardzo krótko. Te same Lo oczyściły mnie z resztek ściany i zaprowadziły do We-Gra---Starej Matki Gra. Pokazali mnie jej, a ona, poznawszy moją charakterystykę, przesłała ją Strażnikom i innym członkom Gra. Od tej chwili stałem się pełnoprawnym mieszkańcem Gra. Na razie miałem odpoczywać, stary, mały On-Lo zaprowadził mnie do pomieszczenia, w którym była zgromadzona część pokarmu Gra. Miałem najeść się do syta i odpoczywać przed czekającą mnie jutro pracą. Od momentu opuszczenia ciasnego pomieszczenia zrozumiałem sporo rzeczy. Już wtedy, gdy byłem ongiem posiadałem niejasną świadomość tego, czym jestem i czym będę w przyszłości, lecz dopiero, gdy ujrzałem Starą Matkę, Lo, On-Lo, te mętne i niedokończone przeczucia stały się krystalicznie czystą pewnością. To przyjemnie wiedzieć, że się jest Szywangiem. To prawda, że na razie będę wykonywał pracę należącą do Lo, lecz gdy nadejdzie czas jesieni... Teraz leżę,



Pieśń Szywanga

Zbigniew Jastrzębski

Eugeniusz Józefowski

najedzony do syta i patrzę w drzwi, za którymi krzątają się Lo. Przenoszą ongi, pożywienie, stawiają ścianki dzielące pomieszczenia na mniejsze. Nieważne. Spać.

Dzień 3. Całkiem nieźle radzę sobie z pracą Lo. Stary On-Lo i młody Lo wyprowadzili mnie wczoraj do lasu i nauczyli zdobywać pożywienie dla Gra. Szybko tego się nauczyłem. Stary Lo powiedział, że jeszcze nie widział tak zdolnego Lo-Szyw, i że gdy nadejdzie pora, z pewnością będę dobrym Szywangiem. Młody Lo, mimo iż nie mógł mówić (mają pozarastane otwory głosowe), zmienił zapach, abym mógł wiedzieć, jak bardzo mi zazdrości, że jestem Szyw, podczas gdy on jest tylko zwykłym Lo. Wiem to, czego on nie wie, gdy już nadejdzie pora odjazdów i ja ruszę w orszaku We-Szyw, on zostanie w Gra i umrze. Szkoda, że nie mogę mówić tak jak On-Lo, powiedziałbym mu o tym. Zbieram już sam pożywienie, w większości są to miękkie ziarna gamuno. Zbieram je, aż napełnię pojemnik, potem odniosę go do Gra, tam młode Lo przerobią ziarna na pokarm dla ongów i We-Szyw. Czasem trafia się semung, tego zjada reszta mieszkańców Gra. Dzisiaj po południowym posiłku spotkałem w lesie Lo z innego Gra. Mimo iż był mniejszy ode mnie i szczuplejszy, to jednak śmiało zbliżył się i próbował się porozumieć. Długo mówił, nic nie zrozumiałem. Próbowałem mu to wyjaśnić zapachem ale odszedł. Musiało na mnie pozostać trochę jego aromatu, bo strażnik przy wejściu długo się namyślał, zanim wpuścił mnie do wnętrza. Dzisiaj wykluło się kilku młodych Lo i jeden Hammun-pierwszy. Całe Gra zebrało się go oglądać. Jest dużo mniejszy od Lo nie mówiąc o mnie czy We-Gra. Żal mi go, po zapłodnieniu We-Szyw on również umrze. Na razie jest mały i bardzo głodny, żre aż przestaje się ruszać, wtedy zasypia. Wieczorem przenosiłem ongi do pomieszczeń, w których się wyklują. Jest ich dużo, a to znaczy, że nasz Gra jest silny i przetrwa wszystkie przeciwieństwa. Teraz, przed zaśnięciem, jestem zmęczony, los Lo jest jednak bardzo smutny, pracuje całe swoje życie i gdy przychodzi najpiękniejsza pora odjazdów, gdy stajemy się w pełni Szywangami, one muszą umierać.

Dzień 10. W dalszym ciągu wykonuję prace należące do Lo. Zbieram pokarm, opiekuję się ongami, sprzątam w Gra, raz nawet usługiwałem We-Gra. Ten nowo narodzony Hammun przed kilkoma dniami zmarł. Przestał jeść, schudł, nie mógł się poruszać i wczoraj Lo zamurowali jego zwłoki na najniższym, podziemnym poziomie Gra. Zmarło również kilku starych On-Lo. Zostało ich już tylko pięciu, może sześciu, wszyscy tacy podobni do siebie. Mali, wychudzeni, z pomarszczonymi maskami. Coraz mniej pracują i niedługo chyba również oni umrą. We-Szyw

przestała wydzielać zapłodnione jaja. Siedzi teraz w swojej wielkiej komnacie i dogląda pracujących tam Lo. Gamuno i semungu ciągle przybywa, nie trzeba nawet zbyt daleko oddalać się od Gra aby uzbierać pełny pojemnik. Wczoraj jeden z młodych Lo pokazał mi geru-rumaki, których dosiądziemy jesienią. Ich zagrody są na najwyższym poziomie Gra, tam gdzie zapach lasu miesza się z zapachem Gra. Nie pozwolił mi jednak żadnego dosiąść, jeszcze przyjdzie na to czas. Geru są wielkie, silne i spokojne, sierść mają miękką, przyjemną w dotyku. Nie drgnął nawet wtedy, gdy go mocno uszczypnąłem, poza okresem rui geru prawie nic nie są w stanie poczuć. Marzę o dniu gdy go dosiądę i ruszę naprzód, w orszaku We-Szyw---Młodej Matki. Musimy przygotować dużo pożywienia aby odjechać jak najdalej od Gra. Jeżeli semunga i gamuno będzie tyle co teraz, to jeszcze sporo zostanie w Gra. Geru nie dadzą rady wszystkiego unieść. Przed zaśnięciem marzę o porze odjazdów.

Dzień 23. Nie myślałem, że tylu Lo i Szywangów może się zmieścić w Gra. Wszyscy oni przyszli na świat w ciągu kilku ostatnich dni. Ileż było z nimi roboty, jeszcze bolą mnie ręce od rozdrapywania ścian. Wszyscy oczywiście bardzo głodni, zżerają mnóstwo pożywienia, ale już prawie wszyscy pracują więc zapasy pożywienia zostaną prędko odnowione. W ostatnich dniach zmarli także ci wszyscy starzy Lo, którzy jeszcze żyli, wszyscy zostali zamurowani na najniższym poziomie Gra, tam gdzie przed kilkoma dniami pozostawiliśmy ciało Lo z obcego Gra. Chciał wejść do naszego i Strażnik odgryzł mu głowę. Gdy młodzi Lo wlekli go w dół, ciemnymi schodami, widziałem pomarańczowe podeszwy jego stóp. Próbowałem już ujeżdżać geru, to bardzo łatwe, wbija im się w skórę na bokach długie ciernie sewu i kieruje się nimi naciskając je z jednej lub drugiej strony. Jutro będzie obława na dzikie geru, jest ich za mało, aby wszyscy do tego zobowiązani mogli opuścić Gra na rumakach.

Dzień 24. Obława udała się nadzwyczajnie, w zasadzkę wpadło wiele silnych i młodych geru, starczy ich dla wszystkich. Ja znalazłem jeszcze coś. Gdy szedłem z nagonką, tuż po rozpoczęciu obławy pośliznąłem się na gładkim kamieniu i przejechawszy na plecach kilka kroków, wpadłem do sporej nory. W pierwszym momencie nic nie widziałem. Dopiero gdy już miałem wychodzić, moje oczy przystosowały się do mroku na tyle, że spostrzegłem coś leżącego w najdalszym kącie. Były to przecięte na pół zwłoki starego Szywanga. Z pustego pojemnika wystawała książka, podobna do tej, jaką teraz piszę. Zabrałem ją z sobą, wyszedłem na zewnątrz i dogoniłem linię nagonki. Na razie nie miałem okazji zerknąć do niej, ukryłem książkę w pustym pomieszczeniu, zaraz za wyjściem na zewnątrz Gra, które nie będzie już zapełniane. Wiem już, że zdarzają się dni-seg, gdy nie możemy wychodzić do lasu po pożywienie. Każdemu Lo czy Szywangowi, który w taki dzień opuści Gra, rozmiękają nogi i umiera, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Widziałem wczoraj kilka takich trupów i zrozumiałem, że nie zawsze możemy wychodzić po pożywienie. Gdy nadejdzie taki dzień, wtedy spróbuję odczytać książkę tamtego Szywanga, może jego język jest podobny do mojego? Wiem, że każdy Gra ma własny język, lecz wiele jest podobnych do siebie, przecież wszyscy wywodzimy się z Pierwszego Gra. Na razie jest dużo pracy przy geru, trzeba je doglądać i oswajać.

Dzień 30. Coraz mniej znajdujemy w lesie pokarmu i coraz dalej od Gra trzeba go szukać. Ginie przy tym sporo Lo, zwłaszcza tych najmłodszych, niedoświadczonych. Przedwczoraj Lo-Szyw, taki jak ja, trafił na dziką plantację gamuno. Od razu zawiadomił resztę zbieraczy, prawie cały Gra pośpieszył w tę okolicę. Zbieracze nieustannie krążyli, byliśmy już w połowie plantacji, gdy natknęliśmy się na zbieraczy z innego Gra. Ponieważ nie chcieli nam ustąpić, wybuchła walka. Uciekli, straciwszy kilku Lo i jednego Lo-Szyw. We-Gra była z nas zadowolona. Tym, którzy brali udział w walce, dała po kropelce słodkiego nektaru, przygotowanego dla mających się niedługo narodzić We-Szyw. Będzie ich w naszym Gra dwanaście. Pomieszczenie, które zajmują łatwo odróżnić po czerwonym zabarwieniu ścian. Lo i Szywangi już przestały przychodzić na świat. Wszyscy w Gra zbierają pożywienie i czekają na narodziny We-Szyw---Młodych Matek i ich partnerów-Hammunów. Większość nowo schwytanych geru jest już oswojona i przygotowana do drogi.

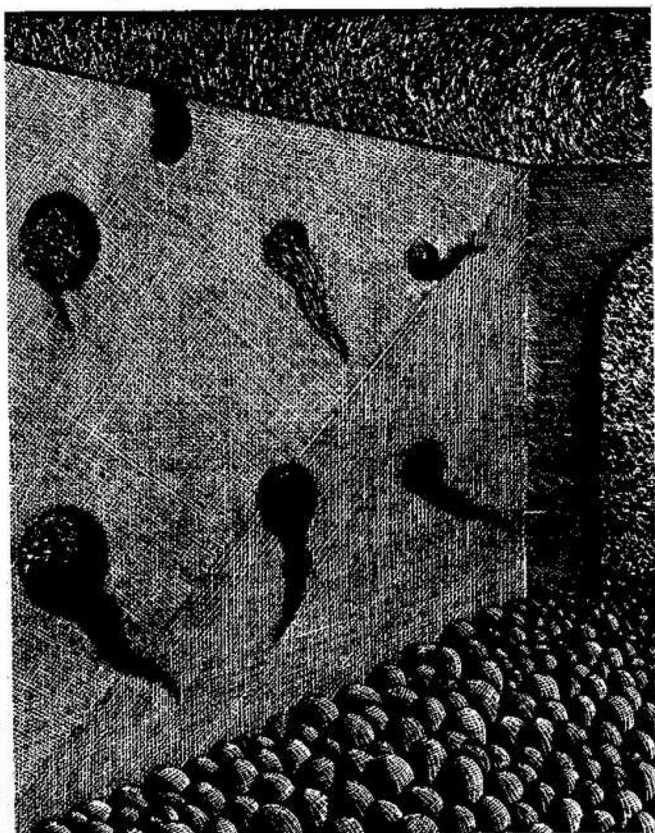
Dzień 36. Wczoraj cały czas był dzień-seg i żaden Lo ani Lo-Szyw nie opuścił Gra. Lecz od czasu ostatniego zapisu w mojej książce wiele się wydarzyło i najpierw muszę zapisać to, co zaszło w tych dniach. A więc przede wszystkim przyszło na świat dwanaście We-Szyw. Wszystkie w ciągu trzech zaledwie dni. Cały Gra chodzi dookoła nich, dba o nie, pielęgnuje, nosi pożywienie. Są prześliczne. Zaraz po nich zaczęły się wykluwać Hammuny, dzisiaj rano wykluł się dziesiąty, jest ich jeszcze kilkunastu, w zalepionych pomieszczeniach. W orszaku każdej We-Szyw musi być przynajmniej dwóch Hammunów. Wczoraj przeczytałem także książkę, którą znalazłem podczas obławy na dzikie geru, napisał ją taki sam jak ja Szywang. Początek jest taki sam jak w mojej książce. Opisuje swoje Gra, codzienne prace i wydarzenia, inwazję geszemesz. Nie wiem co to takiego. Gdy dotarłem do dni poprzedzających jesienny odjazd, zabrakło mi pożywienia (ostatnio bardzo dużo zjadam i staję się gruby jak geru). Poszukałem więc najbliższego pomieszczenia, gdzie była zmagazynowana żywność, nakładłem pełen pojemnik semungu i wcisnąłem się z trudem do tego ciasnego pomieszczenia przy bramie. Żując powoli czytałem i czytałem a sierść jeżyła mi się na całym futrze. Bo też straszne rzeczy pisał tamten Szywang. Tak straszne, że trudno w nie uwierzyć. Gdy w orszaku opuszczał rodzinne Gra, był bardzo szczęśliwy, wszystko wydawało mu się piękne i wspaniałe. Ich orszak był doskonale wyposażony, geru uginały się pod ciężarem pokarmu. Jechali tak trzy dni, czwartego napadły na nich sasule, zabiły trzy geru, jednego Hammuna i jednego Szywanga. Na nieszczęście dla tego Szywanga, jeden z zabitych geru był jego rumakiem. Orszak ruszył, aby jak najprędzej opuścić niebezpieczny teren a Szywang pozbawiony geru poszedł za nimi pieszo. Nie nadążał jednak, wiadomo, że geru biegnie szybciej, nawet szybciej niż Lo. Szywang szedł jednak dalej, tropiąc orszak po zapachu. Szedł tak sześć dni, siódmego natknął się na ślad noclegu z poprzedniego dnia. Przypadkiem, obok obozowiska odkrył dwa wyssane trupy, Szywanga i jego geru. Zapachowy ślad podążał dalej i dalej też podążał nim Szywang. Po dwu dniach odkrył następne obozowisko i dwa nowe trupy, takie same jak poprzednio. W orszaku jego We-Szyw było pięciu Szywangów i dwóch Hammunów. Trupy ich wszystkich, trupy geru, które dojeżdżali, były zawsze porzucone w pobliżu śladów nocnego obozowiska orszaku. W końcu, idąc zapachowym tropem, Szywang dotarł do nowo wzniesionego Gra. Opodal wyjścia leżał trup ostatniego Hammuna i dwa trupy geru, wyschnięte, wyssane do cna, do ostatniego mięśnia. Bał się wejść do wnętrza, czuł, że może zostać zjedzony, podobnie jak reszta orszaku. Wyszukał sobie w pobliżu schronienie i nocował tam, w dzień podchodząc w pobliże Gra, aby móc poczuć zapach We-Szyw. Widział, jak We-Szyw wyszła przed Gra, w jednym ręku trzymała jaja, w drugim zaś, trzymała książki, które pisali jego towarzysze – Szywangowie. Wyrywała z książek litery i oklejała nimi jaja. Potem We-Szyw zamurowała jaja w małych komórkach, następnego dnia zamurowała wejście do Gra. Było już dosyć zimno i Szywang chciał dostać się do wnętrza Gra, jednak We-Szyw nie wpuściła go do wnętrza. Ostatni zapis w jego książce brzmi: *Jest mi bardzo zimno, jestem też głodny, nie można znaleźć nic, co nadawałoby się do zjedzenia. Niedaleko widziałem norę aruga, spróbuję go z niej wypłoszyć, gdy mi się to uda, będę miał przynajmniej ciepłe pomieszczenie. Być może tam doczekam pory, gdy pojawi się znowu semung, bardzo mi się chce spać.* Aż trudno uwierzyć w to, co pisze ten Szywang. Nas – Szywangów, mają zjadać We-Szyw? Takie małe, milutkie i kochane. Coś musiało mu się pomylić. Z powodu tej książki długo nie mogę zasnąć.

Dzień 46. Już dawno wykluły się wszystkie Hammuny, We-Szyw rosną coraz bardziej. Zostały już sformowane orszaki. Na

Zbigniew JASTRZĘBSKI

Urodził się 8.11.1961 r. w Dąbrównie, woj. olsztyńskie. Pracuje jako robotnik rozładunkowy w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Ostródzie. Żonaty, dwoje dzieci – chłopcy. Poeta nagradzany na różnych konkursach, publikował m.in. w „Dzienniku Pojezierza" i „Gazecie Olsztyńskiej"; także występy w lokalnych programach RTV. W wydawnictwie „Iskry" czeka na decyzję tom fantastycznych opowiadań Z. Jastrzębskiego – ciekawych, choć nierównych, co zresztą częste w przypadku debiutu SF. Prezentowana „Pieśń Szywanga" jest najbardziej oryginalnym tekstem owego tomu. (mp)

każdą We-Szyw przypada dwu Hammunów i pięciu lub sześciu Szywangów. Do poszczególnych orszaków przydzielała nas We-Gra. Ja trafiłem do orszaku tej najpiękniejszej, czuję, że mógłbym za nią jechać na koniec świata. Samo Gra pustoszeje, Lo umierają jeden po drugim, zamurowujemy ich na najniższym poziomie. Pożywienie znikło, już nie wychodzimy z Gra, zadowalamy się tym, co zebraliśmy, gdy było go w bród. Prawie cały ten czas są seg-dni, ich zapach, zapach śmierci, dociera nawet do najgłębiej położonych pomieszczeń. Zjadam coraz więcej pożywienia, jestem już większy niż dwóch lub nawet trzech Lo. Geru także zjada o wiele więcej pokarmu niż zwykle, są tłuste, ich sierść błyszczy w półmroku zagród. We-Gra złożyła już jaja na następne cykle, zrobiła to jak zwykle na najniższym poziomie, tam, gdzie najcieplej. Powietrze robi się coraz chłodniejsze, coraz mniej w nim zapachów.


Eugeniusz Józefowski

Dzień 52. Wczoraj i dziś odjechało już pięć orszaków, nasz wyrusza jutro. Czuję to po zapachu mojej We-Szyw. Odróżniam ją bez trudu pośród innych, jest najpiękniejsza. Te orszaki, które odjechały, były wspaniałe. Nakarmione i błyszczące geru, prześliczne We-Szyw, dumni Hammuni i na końcu my – Szywangowie, rośli, silni, obładowani zapasami. Z całym Gra żegnałem ich, życząc szczęśliwej drogi. Po ich odjeździe w Gra, oprócz naszego orszaku, zostało tylko pięciu Lo a i oni już chyba niedługo umrą. W Lesie pogodne dni, tylko to powietrze takie chłodne. Z drzew spadają liście, żółte, czerwone. Jesień – wspaniała pora odjazdów.

Dzień 56. Mamy za sobą już trzy dni podróży, wyjechaliśmy z Gra tak jak czułem. Jestem szczęśliwy, nareszcie jestem Szywangiem, tylko Szywangiem i nikim więcej. Las jest potężny, jedziemy, jedziemy i ciągle nie widać jego końca. Tamten Szywang także pisał o Lesie bez końca. Być może, zdążymy tam dotrzeć przed mrozami, czuję je już w chłodnym powietrzu, zwłaszcza każdego ranka. Geru kroczą coraz szybciej w miarę jak ubywa jedzenia w pojemnikach po każdym posiłku. Boję się, że może go zabraknąć, zanim dojedziemy do końca. Z Gra zabraliśmy go tyle, ile zmieściło się w pojemnikach, ale geru zjadają bardzo dużo, potrzebują tego, niosą przecież cały nasz orszak. Gdy budzimy się rano, na kałużach wody leży coś dziwnego, co znika dopiero około południa. Kruche, śliskie i przezroczyste jak woda.

Dzień 61. Wczoraj skończyło się pożywienie w pojemnikach i bałem się, że We-Szyw zacznie nas zjadać, tak jak pisał tamten Szywang, ale nic takiego nie nastąpiło. Kochana, najpiękniejsza We-Szyw, dała nam wszystkim, nawet geru, po łyku gęstego nektaru, przełknąłem go i przestałem czuć głód. Wspaniała, piękna We-Szyw. Wczoraj także natknęliśmy się na rozbity orszak, jeden z tych, które wyruszyły przed nami. Zostały po nich tylko kości i maski, gdzieniegdzie walały się płaskie kopyta geru, to chyba sasule, zjedzono nawet sierść geru, my jedziemy dalej. To wspaniałe tak jechać przez Las, bez końca, we wspaniałym orszaku. Na przekór wszystkiemu i wszystkim. Naprzód, za We-Szyw.

Dzień 67. Bardzo dużo się stało od czasu gdy po raz ostatni pisałem w mojej książce. Podczas noclegu, drugiej nocy po tym, jak skończyło się pożywienie, zginął Szywang. Położył się spać pomiędzy mną a swoim geru, gdy się obudziłem, już go nie było. Wraz z nim zniknął jego geru. Od razu przypomniała mi się książka tamtego Szywanga. Czyżby to jednak była prawda? Postanowiłem, że przenocuję jeszcze raz z całym orszakiem. Jeśli ktoś zniknie w ciągu nocy, spróbuję odejść, chociaż już czuję, że będzie to trudne, chcę podążać w orszaku We-Szyw, chcę być prawdziwym Szywangiem. Powietrze coraz chłodniejsze, rankiem musimy czekać aż wyjdzie słońce i ogrzeje nas, do tej pory niemal nie możemy się poruszać, tylko We-Szyw nie traci swych zgrabnych, szybkich poruszeń, zupełnie jakby zimno jej nie owiewało. Z drzew opadły prawie wszystkie liście, nagie gałęzie sterczą nad naszym orszakiem. Geru napiły się jakiejś seg-wody, idą powoli, jakby miały zaraz się poprzewracać.

Dzień 68. Tamten Szywang miał rację. Dzisiaj w nocy zginął następny Szywang wraz ze swym geru. Ranem ruszyliśmy dalej. Nie wiem co zrobić, aby uniknąć czekającej mnie śmierci, tak bardzo chcę jechać dalej w orszaku. Dziwne, że żaden z Szywangów niczego nie zauważył, Hammuni również jadą niewzruszenie, dumnie wyprostowani na grzbietach geru. Szkoda, że w młodości pozarastały mi otwory głosowe tak jak wszystkim Szywangom, teraz nie możemy się porozumiewać między sobą. I wszyscy jedziemy i pragniemy jechać dalej, do wieczora muszę zrobić coś, aby móc odłączyć od orszaku. Niewiele już mi czasu zostało.

Dzień 69. Zrobiłem to jednak, udało mi się. Na popołudniowym postoju przegryzłem mojemu geru żyłę pod brzuchem. Niczego nie poczuł. W chwilę potem ruszyliśmy dalej, cały orszak. Mój geru szedł coraz wolniej a gdy już straciłem z oczu resztę orszaku, przewrócił się i zdechł. Stanąłem nad nim, przyjrzałem się śladom orszaku, odetchnąłem jego zapachem i poczułem, że muszę iść za moją We-Szyw. I poszedłem. Dobrze, że osłabione geru idą tak wolno i nadążam za orszakiem bez trudu. Mam ich w zasięgu wzroku, czuję ich zapach i żal mi siebie, że muszę do końca pozostać sam. Wciąż nie mogę uwierzyć w to o czym miałem okazję się przekonać, że nasza piękna We-Szyw zjada nas – Szywangów.

Dzień 75. A jednak wszystko o czym pisał w swojej książce tamten Szywang było prawdą. Nasz wspaniały orszak przestał istnieć. We-Szyw i jeden z Hammunów cały wczorajszy dzień budowali nowe Gra. Budowała głównie We-Szyw. Hammun poddawał jej tylko tłustą glinkę. Wieczorem było już gotowe pomieszczenie główne i kilkanaście komórek na jaja. Dzisiaj rankiem z Gra wyleciał wyssany trup tego Hammuna, w ślad za nim wyleciały ostatnie dwa geru jakie pozostały z naszego orszaku. Były tak samo wyssane jak ów nieszczęsny Hammun. Z drzewa, na którym przeczekałem noc, widziałem wszystko dokładnie. Dopiero około południa, kiedy już się mogłem poruszać, We-Szyw opuściła Gra. Była wielka i piękna jak nigdy dotąd. Wyniosła z sobą cztery jaja i kilka książek Szywangów. Zdejmowała z kartek litery i oklejała nimi jaja. Jedna książka wystarczyła na trzy jaja. Potem zamurowała jaja w komórkach i schowała się do Gra. Niedługo zamuruje wejście do Gra i wtedy zostanę sam. Muszę poszukać sobie jakiegoś schronienia i trochę pożywienia. Pomimo, że nic nie wydalam, robię się coraz chudszy i lżejszy. Zimno.

Dzień 78. Dzisiaj bardzo długo trwało zanim mogłem się poruszyć. W Lesie jest już bardzo zimno. A w Gra musi teraz być ciepło i przytulnie. Widziałem jak We-Szyw zamurowywała wejście. Zanim zacząłem się poruszać, połowa Bramy była już zamurowana. Nie chcę umrzeć tak głupio jak tamten Szywang i pragnę być przy mojej pięknej We-Szyw. Muszę. Książkę zostawię tutaj, może gdy jej nie będę miał, We-Szyw mnie nie zabije. Poza tym jaja już złożone a zapora przy wejściu rośnie bardzo szybko. Muszę się śpieszyć. Muszę.

Zbigniew Jastrzębski

Rodek Jacek
(ur. 1956)
Dziennikarz, autor SF

Urodził się 9 stycznia 1956 r. w Sosnowcu. W 1975 r. ukończył XIII Liceum Ogólnokształcące w Warszawie. Studiował na wydziałach Fizyki i Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Był jednym z założycieli Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Fantastyki, później Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, a także jednym z założycieli miesięcznika literackiego „Fantastyka", gdzie w latach 1982-1984 pełnił funkcję kierownika działu zagranicznego. Obecnie jest zastępcą redaktora naczelnego „Fantastyki" i redaktorem prowadzącym kwartalny dodatek do miesięcznika: „Komiks-Fantastyka". Od 1986 r. współpracuje z redakcją miesięcznika „Problemy", gdzie prowadzi dział utworów fantastycznych. Jest członkiem dwóch międzynarodowych organizacji „ESSF" i „WORLD SF". Jako autor pozycji fantastyczno-naukowych zadebiutował w 1977 r. na łamach „Przeglądu Technicznego" opowiadaniem **„Jedyny prawdziwy"** napisanym wspólnie z Darosławem Toruniem. Opowiadanie to wydano także w antologii „Spotkanie w przestworzach" (KAW) i w antologii Wolfganga Jeschkego (RFN). Jacek Rodek jest również autorem scenariuszy komiksów. Wspólnie z Maciejem Parowskim zadebiutował na łamach „Fantastyki" serią przygód o Funkym Kovalu w rysunkach Bogusława Polcha. Obecnie (wspólnie z Wiktorem Żwikiewiczem) pisze scenariusz pierwszego albumu z gatunku heroic fantasy o przygodach młodego rycerza Larkisa. Komiks ten już wkrótce ukaże się na łamach „Fantastyki".

Romański Marek
(ur. ok. 1910)
właśc. Roman Dąbrowski
Dziennikarz, literat

Urodził się ok. 1910 r. w Paryżu. Syn Tadeusza, wnuk Jarosława Dąbrowskiego, generała Komuny Paryskiej. W latach 1935-1936 korespondent wojenny „Gońca Warszawskiego" na froncie włosko-abisyńskim. Do 1944 r. przebywał w Polsce, następnie przeniósł się na Węgry. Ujęty przez hitlerowców, został wywieziony na roboty do Niemiec. Stamtąd przedostał się do Włoch, gdzie wstąpił do armii generała Andersa. Po demobilizacji wyemigrował do Ameryki Południowej, mieszkał w Buenos Aires.

Autor wielu powieści o charakterze sensacyjnym, m. in. „Szpieg z Falklandów" (1930), „Morderstwo w atelier" (1932), „Pająk" (1932), „Ostatnia gra Yoshimury" (1933), „Złote sidła" (1935), „Prokurator Gorda (Sprawa 777)" (1939). Swoje utwory drukował w „Gazecie Warszawskiej", „Kinie dla Wszystkich", „Naokoło Świata", „Radiu". Opublikował powieść o tematyce fantastyczno-naukowej: **„Miss o szkarłatnym spojrzeniu. Powieść z niedalekiej przyszłości"** (Wyd. „Kolumna", Łódź 1930, wyd. 2 – Łódź 1948).

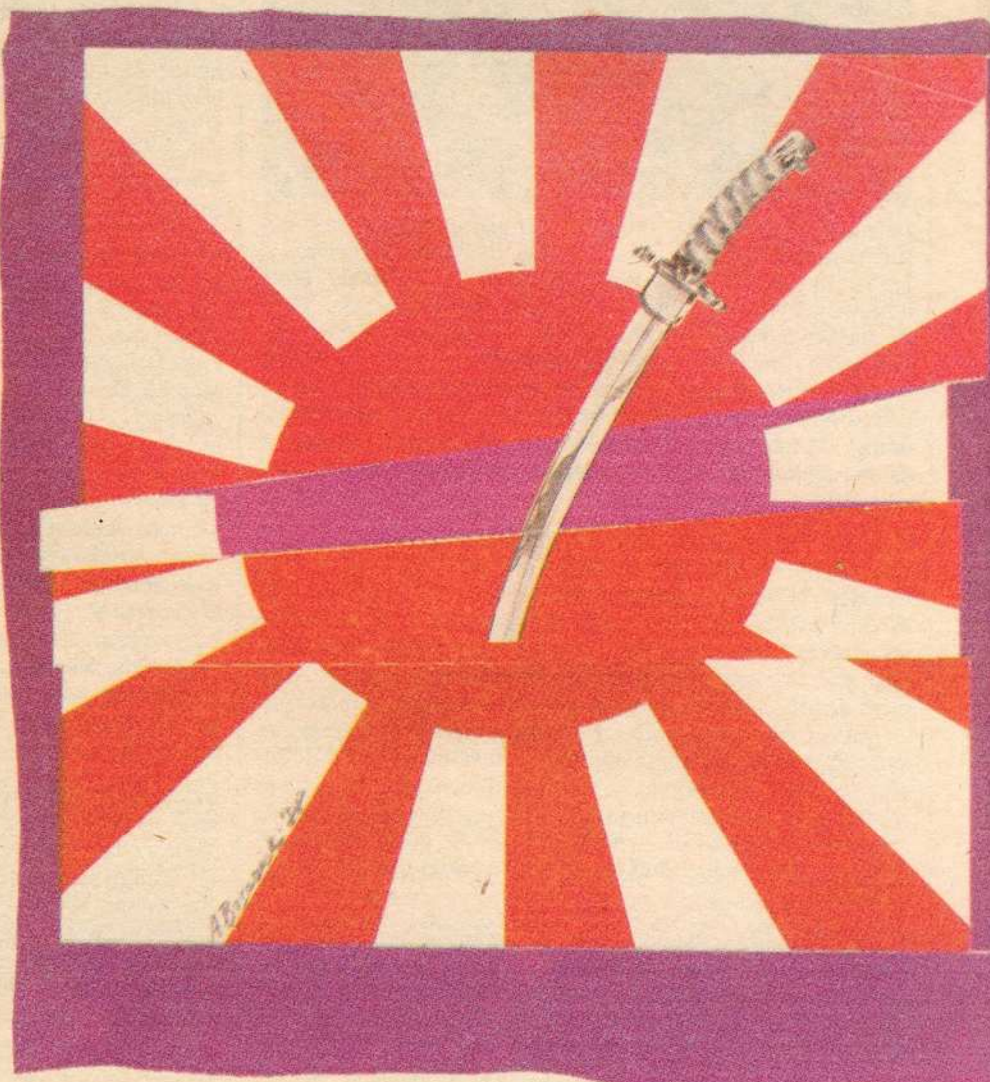
Książki Marka Romańskiego to fabularne historie sensacyjne pozbawione wartości literackich, zbliżone do nurtu międzywojennych „opowieści o wojnie". Obrazują starcie dwóch cywilizacji, dwóch ras białej i żółtej, perypetie wojenne wykorzystujące działanie „cudownych wynalazków" (gaz „thanatoid" powodujący paraliż ośrodków nerwowych, bakterie „lerebritis" atakujące system nerwowy) oraz walkę ośrodków dywersyjnych Stanów Zjednoczonych i Japonii uwikłaną w wątki o charakterze erotycznym i obyczajowym.

Recenzje wybrane:
- E. Dudziński, Wiadomości Literackie 1936/31,
- J.K. (J. Krzyszkowski), Misje Katolickie 1936/9,
- R. Suster, Polonia-Italia (Warszawa) 1936/5.

Andrzej Brzezicki

Miss o szkarłatnym spojrzeniu.
Powieść z niedalekiej przyszłości

Marek Romański



...Noc ciemna i głucha jak noce poprzednie. Morze huczy, przelewa się i szumi. Wiatr gra w wantach okrętów japońskich. Cyt. Jak zamaskowany bandyta nocną porą do śpiącego domu chyłkiem się skrada, tak chyłkiem pod maską amerykańskich bander z pogaszonymi światłami podchodzi do brzegów wysp Hawajskich nieprzyjacielska flota.

W blokhausach pancernych krążowników strażują rozdzielone na stanowiskach osady. W obserwatoriach czuwają oficerowie artylerzyści i obserwatorzy, podoficerowie dalekomierzowi u telemetrów pełnią czujną straż. Inni pochyleni nad indykatorami odchyleń, które w momencie boju będą natychmiast potrzebne. Celowniki otoczone czułą opieką. Działonowi przy działach okrętowych cichą zabawiają się rozmową.

Na torpedowcach, u podwójnych wyrzutni torped czekają na sygnał mali, żółci, milczący torpedyści.

Nikt nie śpi z całej eskadry, jeden tylko admirał Osaka odpoczywa. Kazał się zbudzić o godz. 11.30 w nocy, wcześniej tylko w razie nieprzewidzianego niebezpieczeństwa.

Eskadra japońska omija cicho i niepostrzeżenie wyspy Niihau i Kauai oraz rafę Tahura. Z rozkazu admirała flota japońska ma rzucić postrach na swego wroga zbombardowaniem stolicy wysp Hawajskich, miasta Honolulu na wyspie Oahu. W Honolulu mieści się silna stacja radiofoniczna, należy więc i ją zniszczyć i zerwać komunikację z Stanami, odciąć Oahu od świata.

O godz. 12 w nocy sępy japońskie są o 6000 metrów od wyspy Oahu. Torpedowiec japoński „M17" zatapia napotkany okręt handlowy, idący pod flagą Stanów Zjednoczonych.

Admirał Osaka obejmuje z powrotem dowództwo eskadry. Kilka cichych zdań wymienia ze swymi podkomendnymi. Kontradmirał Tanaka wydaje jakieś rozkazy.

Godzina 12 w nocy minut 10.

Przed eskadrą japońską, daleko, widać przez silne szkła światełka mgławe. Światła portu w Honolulu. Latarnia morska rzuca błyski świateł, które ześlizgują się z rozigranych fal. Honolulu śpi.

Naraz z okrętów japońskich wytryskują snopy światła jasnego, oślepiającego, białego światła. Światła te wędrować zaczynają po czarnym niebie, wrzynają się w mrok.

Reflektory japońskie o niezwykłej sile światła rozpoczynają swą działalność.

Dzwonki telegrafów okrętowych. Rozkazy do maszyn z kapitańskich mostków.

Dzwonki ogniowe w blokhauzach.

Banzaj! Banzaj!

Działa okrętów japońskich zaczynają wyć w mrok, w ciemność, w wicher – wyć ku owym migotliwym, dalekim światłom Honolulu. Wyją jak szakale do księżyca w osypiskach pustynnych piasków. Na obracalnych wieżach pancernych kołyszą się potwornie ich lufy, jak głowy jadowitych węży

– Pal! Pal! Pal!

– Banzaj! Banzaj!

Admirał Osaka wie, że nic mu nie grozi, że w porcie są trzy torpedowce amerykańskie i jeden lekki krążownik. Ale cóż one są w mocy zrobić? Para pod okrętami amerykańskimi nie jest podniesiona. Oficerowie bawią na lądzie. Admirał Osaka wie, że nic mu nie grozi.

Rozkaz admirała Osaki do wszystkich okrętów eskadry: „Bandery amerykańskie w dół! Bandery japońskie na maszty!"

Sępy morskie zrzucają maskę.

Eskadra idzie w szyku czołowym, maszyny na pół szybkości.

Torpedowce przed krążownikami rozsypały się szerokim wachlarzem, jak charty, tropiące lisa, przed końmi dojeżdżaczów.

– Szybki ogień!

Honolulu się budzi w piekle bombardowania.

*

O tej samej godzinie, w tym samym czasie, kiedy pierwsze strzały padają z okrętów japońskich na śpiące miasto, w dalekim Washingtonie ambasador japoński wręcza sekretarzowi stanu dla spraw zagranicznych wypowiedzenie wojny.

„Wobec tego, iż rząd Stanów Zjednoczonych nie dał zadowalającej odpowiedzi na notę cesarskiego rządu z dn... rząd japoński, zmuszony bronić praw swych obywateli zawiadamia, iż z chwilą wręczenia tej noty uważa się za będący w stanie wojny"...

Ambasador japoński prostuje swą zapadłą pierś, składa ceremonialny ukłon i opuszcza gabinet.

Pod Honolulu wyją japońskie armaty, siejąc śmierć i zniszczenie.

*

Lekki krążownik amerykański, stojący w porcie w Honolulu zostaje storpedowany. Od ognia dział japońskich płoną portowe składy.

Popłoch, panika, zamieszanie. Z błogiego snu wyrwani, w piekło rzeczywistości z marzeń sennych przeniesieni, tracą głowy obywatele hawajscy.

Jak piorun idzie wieść groźna.

– Flota japońska bombarduje Oahu!

Płonie już pałac gubernatora. Każda salwa japońskiej artylerii niesie zniszczenie i zagładę.

– 5800 metrów. Pal! 5600 metrów. Pal! Pal! 5000 metrów! Pal! Pal! Pal!... 4200 metrów. – Reflektory japońskie badają skrzętnie niebo i wybrzeża.

– Banzaj! Banzaj!

W radiostacji w Honolulu jeden radiotelegrafista nie traci tylko głowy.

Przy aparacie nadawczym pochylony rzuca w świat straszną wiadomość. Póki czas. Póki czas.

Działa japońskich krążowników natrafiają wreszcie na cel najbardziej pożądany. Antena nadawcza radiostacji zostaje zniesiona jedną salwą. Za nią następują inne salwy.

Radiotelegrafista ginie na posterunku.

*

Z bladym brzaskiem dnia, na tle którego dymi płonące od pocisków armatnich Honolulu, triumfujące okręty japońskie rozpoczynają odwrót. Po drodze ostrzeliwują Nishau i Kauai.

Spełniły swe zadanie. Nie napastowane przez nikogo, podkradłszy się podstępnie ku wyspom archipelagu zniszczyły stolicę wysp Ianwich, nieszczęsne Honolulu, sterroryzowały mieszkańców. Wieść o napadzie floty japońskiej na wyspy wzbudziła w Stanach Zjednoczonych grozę i przerażenie.

Nim wieść ta dotarła do Washingtonu, eskadra japońska opuściła szybko miejsce nocnego dramatu i powróciła, ile tchu w płucach maszyn, do bezpiecznych rodzimych portów...

Marek Romański, Miss o szkarłatnym spojrzeniu. Powieść z niedalekiej przyszłości, Warszawa 1930, Tow. Wydawnicze „Rój", Wybór ze stron 43-48.

Opracował **Andrzej Niewiadowski**

Ktoś, kto uważnie śledzi nasz rynek wydawniczy, bez trudu zauważy, że brakuje na nim podręcznych informacji, poradników, kompendiów wiedzy dotyczących poszczególnych dyscyplin sztuki czy nurtów współczesnej kultury. W innych krajach przede wszystkim na takich wyda-

Kompendium

wnictwach się zarabia, ale też ich przygotowanie wymaga inwestycji, prac wstępnych i później solidnego opracowania. Ale ludzie to kupują, bo chcą wiedzieć... Natomiast jeśli w Polsce ukazują się jakieś kompendia, to z reguły są efektem pracy samotnego hobbysty (por. np. „Słownik mitów i tradycji kultury" Władysława Kopalińskiego) i dlatego tak wiele u nas teraz najróżniejszych książek kucharskich. Zjeść każdy lubi...

Wreszcie swego podręcznego informatora doczekała się i fantastyka naukowa. Na razie jest on skromny objętościowo i dotyczy tylko polskiej literatury, ale ważne, że pierwszy krok został uczyniony i nie trzeba już będzie wertować innych książek po to, by sprawdzić jakiś tytuł czy datę. Dotąd mieliśmy właściwie tylko „Zaczarowaną grę" Antoniego Smuszkiewicza, ale to była książka o zacięciu historycznoliterackim, nie miała ambicji być po prostu informatorem.

I dopiero teraz Andrzej Niewiadowski napisał książkę „ Polska fantastyka naukowa. Przewodnik 1945-1985". Autor jest bardzo dobrze znany czytelnikom „Fantastyki" (prowadzi tu przecież od chwili powstania pisma „Słownik...") zajmuje się fantastyką naukową zarówno jako uczony polonista, jak i jako krytyk literacki uwikłany w bieżące życie literackie. Teraz mamy pierwszy efekt jego zacięcia „encyklopedycznego".

Pisanie tego typu informatora nie jest wcale tak prostą sprawą, jakby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Jak żmudne jest samo zbieranie danych i ich weryfikacja, wymyślenie porządku, w jakim mają zostać zaprezentowane i wreszcie samo pisanie, w którym nie mogą się ujawnić osobiste upodobania, sympatie i antypatie. Wszystko musi być maksymalnie obiektywne, skondensowane i przejrzyste. I to się Niewiadowskiemu udało. Na około stu stronicach zawarł chyba wszystkie podstawowe informacje dotyczące polskiej SF w ostatnich kilkudziesięciu latach. W krótkim szkicu wstępnym przedstawił historię fantastyki naukowej w brawurowym skrócie, sporo miejsca – co zrozumiałe – poświęcając jej polskiej odmianie. Dbał jednak o to, by czytelnik mógł ją zobaczyć w kontekście tego, co dzieje i działo się na świecie. Wskazał przy tym najważniejsze polskie prace krytycznoliterackie i literaturoznawcze poświęcone SF, więc głębiej zainteresowany czytelnik zostaje od razu powiadomiony o dalszych możliwościach zdobywania wiedzy na temat SF.

Główną część książki stanowi słownik polskich autorów parających się fantastyką, fantastyką naukową, a także zajmujących się tego typu literaturą od strony literaturoznawczej i krytycznoliterackiej. Słownik uwzględnia blisko 150 autorów, przynosi ich krótkie życiorysy i pełne bibliografie. Tego jeszcze u nas nie było i w tej chwili sytuacja jest taka, że literatura polska, jako całość, nie posiada tego typu informatora (słownik Bartelskiego doprowadzony został tylko do 1974 roku), a SF ma!

W końcowej części książki Niewiadowski zamieścił informacje – że tak powiem – dodatkowe, a więc wykaz wydawnictw publikujących w Polsce literaturę fantastyczno-naukową (wraz z tytułami wydanych książek!), wykaz organizacji, klubów miłośników SF itd., itd. Jest to prawdziwy rarytas dla osób zainteresowanych polską fantastyką naukową zarówno po amatorsku jak i zawodowo. Niewiadowski napisał książkę niezwykle potrzebną i pożyteczną. I to jego wielka zasługa.

Leszek Bugajski

Andrzej Niewiadowski: *Polska fantastyka naukowa 1945-1985. Przewodnik.* Wyd. Iskry, Warszawa 1987. Cena 150 zł.

Istnienie fantastyki naukowej stanowi porażkę zarówno dla fantastyki, jak i dla samej nauki. Czemu bowiem literatura nie zdołała wchłonąć doświadczenia wiedzy ścisłej? Zapewne pracuje dziś poniżej możliwości intelektualnych epoki (dialog, jak i monolog cechują się w przeciętnej powieści rozpaczliwą jałowością intelektualną). Z drugiej strony, problemy pasjonujące nas w nauce, nie są w stanie przełamać ochronnych konwencji literackich. Nauka modeluje człowieka zewnętrznego, wewnętrzny zaś pozostał we władaniu sztuki. Filozofia nieco inaczej wyraża to pęknięcie: egzystencjalizm i neopozytywizm. I tak trwa schizofrenia.

Fantastyka: konsolacja czy katastrofizm?

Andrzej Niewiadowski

Mówi się czasem, że SF podjęła się zasypania przepaści między nauką a sztuką, że sztukę widzi jako czynność zwróconą ku przyszłości człowieka. A przecież to nieprawda.

Mieszczański optymizm już u Verna osiągnął swoje apogeum. Bohater Verna tylko po to odkrywa, by swoje znalezisko natychmiast oswoić. Dziś SF jest raczej sejsmografem zbiorowych niepokojów. SF zdradziła wiedzę, na której pasożytowała, zmieniając racjonalne w budulec irracjonalnego. Jak było to możliwe?

Można powiedzieć tak: wartość nauk ścisłych tkwi tylko w metodzie, z metody można wydedukować pewną postawę poznawczą. Tymczasem SF stawia pytania, na które nauka, z istoty swej nie może odpowiedzieć. Stąd cofnięcie się do postawy przednaukowej, które można dostrzec w ewolucji SF.

SF nigdy nie rozważała metody, która jest kluczem postępowania naukowego. Interesowały ją tylko wyniki, te wyniki w literaturze SF zaczęły się równać życzeniom. SF stała się szkołą stwarzania i zaspokajania życzeń. Punkt ciężkości przeniósł się na to, co najbardziej subiektywne. SF stała się nieco naiwną próbą stworzenia niemożliwej eschatologii nauki. Ponieważ materiał nie stawiał oporu, autor SF wybierał rozwiązania najłatwiejsze, tzn. te, o których marzył. Artystyczna bylejakość SF wynikła z jej życzeniowego i eschatologicznego charakteru. Skojarzenie obu tych składników dało niekiedy rezultaty dziecinne.

SF powstała pod hasłem zracjonalizowania literatury – doszła do punktu, w którym pozbawiła racjonalności wiedzę.

Ale takie wyjaśnienie nie wystarcza. Jest współczesna SF ucieczką w irracjonalność, ale nie tylko dlatego, że odrzuca metodę poznania naukowego. Również dlatego, że nauka zawiodła oczekiwania, nie dała odpowiedzi na przeklęte pytania filozoficzne, co więcej – stworzyła zagrożenie dla życia człowieka na Ziemi. Nadała światu tak wysoki stopień niepewności, komplikacji, rozdarcia – że otwarciem swym dotarła do chaosu, zakwestionowała prawa przyczynowości, celowości, odebrała sens linearnemu poczuciu czasu. Wkroczyła w świat mikrocząstek, gdzie wszystko stało się możliwe, sięgnęła w Kosmos, gdzie trzeba było uwierzyć w niewyobrażalne. Właśnie: uwierzyć. Bo jeśli przyjąć, że życie na Ziemi powstało w wyniku serii nieprawdopodobnych koincydencji, że sama Ziemia zrodziła się w ogniu katastrof kosmicznych, to nic dziwnego, że zdumiewające postępy nauki rzucają naukowców w objęcia wiary, religii, eschatologii. Człowiek pragnie w coś wierzyć i jeśli przestaje wierzyć w naukę, buduje inne światy, w miarę spójne, pewne, bezpieczne. Czasem wraca do sprawdzonych modeli poznania. Nie można żyć w świecie grozy, przypadku, niepewności. W każdym razie – niedługo.

SF pilnie obserwuje ten świat. Nic więcej. I człowieka. Wiedzę o człowieku. Etyka Kantowska była etyką racjonalną. Według niej wszystkie pojęcia moralne miały swe źródło w czystym rozumie. Kant był przekonany, że rozum może tworzyć tylko dobro. Czasy późniejsze ukazały chwiejność tej tezy. W „Zbrodni i karze" Raskolnikow rozważa możliwość moralnej obojętności rozumu. Uwolnienie rozumu od dobra pozwala mu nie liczyć się z człowiekiem, uzależnić jego życie i śmierć od woli wybitnej jednostki. W ten sposób Dostojewski przekreślił związek rozumu z dobrem, zachwiał wiarę w rozum. W „Idiocie" posunął się jeszcze dalej. Stwierdził, że postępowanie dobre, to postępowanie wbrew rozumowi. Twórczość Dostojewskiego zerwała raz na zawsze z optymizmem Kanta. Była wynikiem kryzysu XIX wieku, załamania się racjonalnego poglądu na świat. Konsekwencją konfliktów społecznych, fałszywych ideologii zatrzaskujących człowieka w pułapkach ubezwłasnowolnienia.

SF przetwarza wiadomości o świecie i człowieku. Uogólnia. Jest literaturą realistyczną, ale typizuje nie w konkretach, lecz w tendencjach. Świat i człowiek. Proszę spojrzeć jaka to piorunująca mikstura: wiedza i ułomna natura kreatora. Moc i niemoralność. Tragiczne rozdarcie. Mit Fausta. Człowiek stwarza nowe wartości materialne i duchowe, wzbogaca osobowość rozwijając siebie i swój świat. Ale także niszczy ów świat i siebie, prowadząc do katastrofy. Zagrożenie surowcowo-energetyczne, militarne, ekologiczne, lecz – przede wszystkim – osobowościowe. Technika nie jest moralnie obojętna, zagraża człowiekowi, prowadzi do zinstrumentalizowania miłości, rozumu, ciała... Więc jakże się dziwić, że literackie wizje SF są upiorne: czarne, antyutopijne, drażniące. Czyż podobnymi wizjami nie obdarza nas cała literatura? *Obaliwszy świętości, transcendencje, wiek XX niszczy wszelkie wartości, a współczesne społeczeństwa upojone mirażami techniki popadają w chaos grożący zagładą. Po przeżytym końcu świata, świat kończy się dalej, gdyż sytuacja, w której wojna postawiła człowieka trwa nadal, rozwija się strategia społeczeństw masowych, technika sięga po każdego, tratuje, gwałci jego autonomię.* To słowa Tadeusza Drewnowskiego i jego ocena poezji Różewicza. Nic więcej.

SF jest konserwatywna pod względem językowym. Nie opisuje świata w rozbitym języku. Grzeszy uproszczeniami psychologicznymi, niemniej w diagnozach jest równie brutalna, jak literatura nurtu głównego. Ale SF nie tylko usuwa grunt spod nóg, ona także chce leczyć. Najpierw odbiera nadzieję – potem ją przywraca. Może to portret kreślony nazbyt grubymi liniami, ale SF – jak sądzę – jest jedną z nielicznych formacji literackich, które zachowały wiarę w rozstrzygającą moc słowa. W conradowskie wymierzanie sprawiedliwości światu. A jej twórcy wciąż próbują przekonywać, ostrzegać, ocalać, sklejać ten świat na różne, dostępne sposoby. Zresztą również i tu – w SF – coraz rzadziej.

Czy SF jest tylko narkotykiem, namiastką ocalenia? Upraszcza, zwodzi, daje rozwiązania pozorne, podszywa się pod refleksje filozoficzno-literackie? Jest tak często, może nazbyt często, ale nie zawsze tak jest.

Jak można scalić potrzaskany świat? Wyjścia są dwa, dwa sposoby stosowane od lat w dziesiątkach utworów SF. Pierwszy zakrawa na paradoks: szansa scalenia tkwi w rozbiciu, w ukazaniu jeszcze gorszego znieprawienia człowieka, socjotechnicznych gier, totalnego chaosu struktur, pojęć, znaczeń, w wojnach rzutowanych w Kosmos, w zapadaniu się i wyłanianiu całych obszarów nauki. Czasem autorzy SF na tym poprzestają (jak Lem w „Golemie XIV", „Fiasku"), częściej – wizja taka jest tylko introdukcją do prawdziwego programu ocalenia. Traktowana jako wartość – ta groteskowa, futurologiczna wizja rozbitego świata ma ogromne znaczenie, przygotowuje do życia we współczesnym świecie, uczy jego akceptacji, zrozumienia – skoro nic nie jest w nim pewne, wszystko płynne, wieloznaczne – informacyjnie i aksjologicznie. Jest więc SF w brutalnym obnażaniu rzeczywistości, rozwijaniu wyobraźni, docieraniu do zmienności świata swoistym antidotum na „szok intelektualny", przed którym ostrzegał Alvin Toffler. Wytwarza pewną postawę emocjonalną, która w niepewności, stałej ewolucji pojęć upatruje szansę przetrwania; w tolerancji wobec niefinalnych, otwartych rozwiązań – możliwość myślenia kategoriami przyszłości. Innymi słowy: żyjemy w epoce szybkich zmian, zmiany te będą narastać, trzeba je zaakceptować, aby przetrwać. Nic więcej.

Ocalenie w rozbiciu. To nic nowego, wszak jeden z kluczowych tematów SF – „kontaktu" z obcą cywilizacją – w swych najciekawszych realizacjach nie wnosił nic nowego do wiedzy o innych światach, ukazywał tylko w krzywym zwierciadle twarz samego człowieka („Solaris" Lema, „Piknik na skraju drogi" Strugackich, „Wróble galaktyki" Fiałkowskiego). Dowodził, że człowiek nigdy nie zdoła wykroczyć poza samego siebie. Ale właśnie w tym spostrzeżeniu, refleksji, zawierała się jakaś, niesłychanie istotna prawda o nas samych – to nic, że porażająca. Po prostu ważna. Ocalająca wartość antropocentrycznego spojrzenia na świat. Mówiła, jak wiele zależy od naszego, ułomnego poznania, jak zawodne są nasze zmysły, jak ważne nakazy etyczne, z którymi wyruszamy w Kosmos. „Niebo gwiaździste nade mną, prawo moralne we mnie" – mogliby powtórzyć za Immanuelem Kantem bohaterowie „Niezwyciężonego". Również i to, że nikt nie przejmie za nich odpowiedzialności, że skazani są na wolność, w świecie bez Boga, w świecie, w którym nie można porozumieć się nawet z drugim człowiekiem. Pustynne światy Regis wyostrzały tylko egzystencjalne problemy Oranu.

*

Ale autorzy SF doskonale wiedzą, o co toczy się gra. Czytelnicy spragnieni są Absolutu, zwątpienia osaczonego bohatera trzeba podeprzeć jakąś solidniejszą konstrukcją. Ideologią, systemem, eschatologią. Wiarą w naukę? Nie – nauka nie ocali spójności świata. Więc co? Rozwiązań jest sporo, przypomnijmy niektóre z nich. Buddyzm ezoteryczny w wykładni Jerzego Żuławskiego to już historia, ale wciąż frapująca konsekwencjami spekulacyjnych przemyśleń. Herezje manichejskie Philipa Dicka zakładające identyczne z bezpośrednim dowodem wewnętrznym, nieintelektualne poznanie Boga, świata, istoty rzeczy przez „oświecenie", „wtajemniczenie" – to też rodzaj oswojenia złego świata. Wreszcie „miękka utopia" Ursuli Le Guin. Na ocalenie w rozbiciu nakłada się ocalenie w spójności. Po katastrofie nadchodzi czas konsolacji. Przypatrzmy się kilku takim wyborom.

1. Jerzy Żuławski

Wykorzystując kostium przyszłości wyostrza Żuławski zagrożenia społeczne obecne w takich powieściach, jak „Próchno" Berenta i „Ziemia obiecana" Reymonta. Ukazuje ekspansję cywilizacji naukowo-technicznej, która wyalienowuje człowieka ze środowiska, zagraża rozwojowi kultury. Przedstawia narodziny państwa technokratycznego, a następnie – politycznego opartego na inwigilacji, strachu, terrorze. Nawiązując do woluntaryzmu Schopenhauera polemizuje z heroiczną wizją Nietzscheanizmu w twierdzeniu, że jednostka genialna, podporządkowując ogół swej woli, pomaga w wytworzeniu tendencji przeciwstawnych, że społeczeństwo zmierza nieuchronnie ku strukturze „mrówczego gniazda". Podważa założenia ideologiczne socjalizmu naukowego (prace Kautsky'ego, Marchlewskiego, Morrisa) – twierdząc, że niemożliwe jest zrównanie intelektualne ludzi, że wraz z zanikiem podziałów majątkowych i wzrostem dobrobytu dojdzie do ustanowienia nowych barier społecznych, a specjalizacja graniczącą z absurdem doprowadzi do zaniku kultury. Łączy w swojej prognozie Żuławski dwa, późniejsze wymiary katastrofizmu: witkacowski i huxleyowski. Twierdzi, że proces transformacji kultury stanie się wynikiem nieodwracalnych zmian w strukturze społeczeństwa, bowiem ze zmianą psychiki człowieka zniknie możliwość samej ekspresji wolności, jaką jest wybór. Ale twierdzi również, że kultura ulegnie degeneracji na skutek świadomie przyjętego założenia, dzięki któremu grupa ludzi dokona ukierunkowania całego systemu na wybrane przez siebie wartości. I wreszcie ukazuje dramat naukowców, owych „wszystkowiedzących", którzy stojąc na szczycie drabiny społecznej, nie mają komu przekazać swojej wiedzy, gdyż społeczeństwo, ogłupione kulturą masową, już jej nie potrzebuje. Ukazuje Żuławski bezradność ludzi, którzy dotarli do kresu poznania, lecz nie potrafili odpowiedzieć na podstawowe pytania filozoficzne: kim jest człowiek, jaka jest istota świata, czy istnieje Bóg? *„Mądrość ludzka* – mówi Żuławski – *uderzyła znowu w mur niewidzialny. Stanęła twarzą w twarz wobec tego „Nic", które zarazem jest wszystkim"*. Wiara w naukę otworzyła filozofom drzwi do świątyń, postęp wiedzy uczynił miejsce dla religii, tym pewniejszej, że podbudowanej naukowo. Bracia Wszystkowiedzący zrzekają się władzy, rozwiązują stowarzyszenie, niektórzy z nich – jak Lord Tedwen – kierują się w stronę Boga.

Ale ocalenie, jakie proponuje Żuławski nie jest ucieczką w objawienie. To raczej herezja, buddyzm ezoteryczny czytany przez Schopenhauera, droga, jaką wskazuje Jackowi mistrz Nyanatolika *wyzbycie się dóbr doczesnych, technicznego zawłaszczania świata na rzecz poznania samego siebie.* Przy czym buddyzm w rozumieniu Żuławskiego interpretowany jest dość swobodnie, nakłada się nań próba całościowego opisu świata zapożyczona z oryginalnie interpretowanej filozofii Spinozy. Żuławski był uczniem Spinozy (pisał o nim pracę doktorską, był jego egzegetą) kiedy mówił jednak, o *dynamicznym panteizmie Spinozy, według którego jedyną substancją jest nieskończona energia, a świat jako jej objaw stanowi całość o immanentnej celowości* – wpisywał w koncepcję mistrza już tylko własne przemyślenia. Tradycyjna wykładnia Spinozy prowadziła w dwóch kierunkach: utożsamienia bytu z Substancją Boską (tą drogą poszedł najdalej Teilhard de Chardin) bądź formuły deistycznej, ubóstwiającej naukę (francuscy deiści, materialiści dialektyczni). Żuławski poszedł inną, nową drogą „utożsamił materię z energią", a energię psychiczną uczynił pokrewną energii fizycznej (magnetyzmowi, elektryczności). Jego spójny świat, niosący ocalenie, jest boską całością zbudowaną ze skondensowanej energii. *Świat jest w ciągłym ruchu, wiecznym rozwoju* – pisał Żuławski w pracy „Benedykt Spinoza człowiek i dzieło" – *między światem fizycznym a psychicznym nie ma jakościowej różnicy. Myślenie jest takim samym procesem, jak reakcje chemiczne.*

Jakie są zatem konsekwencje energetyzmu dla człowieka? Oddajmy głos Nyanatolice. *Są granice dla ruchów, dla pożądań, dla poznania wreszcie – dla woli być ich nie może, bo ona stoi nad ciałem, wszelką formą, wszelkim bytowaniem.* I jeszcze jeden cytat: *Wszakże i wy, ludzie nauki, znacie wyraz intuicja i wiecie, że jest ona zawsze na początku i każdemu badaniu drogę musi wytykać. Jeśli wola usunie zewnętrzne przeszkody i doprowadzi ducha do odpowiedniej doskonałości, to znaczy wolności, da nam intuicja wiedzę na szczegóły nie rozproszoną, a najprawdziwszą, bo w ten sam sposób powstała jak byt i jest pośrednim świadomym jego równoważnikiem.* Ontologia oparta na woli, poznanie na intuicji – oto ocalająca propozycja Jerzego Żuławskiego.

2. Philip Dick

Fantastyczne światy Philipa Dicka to światy w stanie agonii, rozpadu, rozbicia, chylące się ku upadkowi – w których zło wypiera dobro, imitacja – autentyzm, kicz – prawdziwe wartości. Człowiek próbuje odnaleźć siebie w owych światach, ale kiedy sądzi, że dotarł do ich istoty, rzeczywistość okazuje się kolejną maską, czymś nad wyraz niepewnym, kalekim, bylejakim. Jesteśmy – zdaje się mówić Dick – jak w „teatrze mundi" – marionetkami sterowanymi przez kogoś w niewiadomym celu. Odgrywamy wyznaczoną nam rolę. Czym jest przeznaczenie? Dokąd zmierza świat? Dlaczego jest zły? Dlaczego się rozpada? I wreszcie: czy są jakieś szanse zbawienia, uwolnienia człowieka – sygnał indeterminizmu? Są takie szanse, odpowiada Dick, jeśli założymy, że nasz świat, jak w dualistycznej religii manichejskiej, został stworzony przez ułomnego Boga. Nie musi to być Bóg okrutny, jest raczej siłą działającą w sposób ślepy i nieświadomy. Człowiek został stworzony przez demony, które pragnęły uwięzić w Adamie jak największą ilość światła. Jest zatem częścią gorszego świata i lepszej natury, jest iskrą światła uwięzioną w ciele. Jest więźniem czasu – został wrzucony w złą, obcą, absurdalną rzeczywistość, która oznacza śmierć, brzydotę, noc. Ta rzeczywistość jest jak hermetyczna forteca otoczona murami nie do przebycia.

Na szczęście Bóg, ten prawdziwy, o nieskończonej dobroci, który pozostał nieznany aż do objawienia Chrystusa, zlitował się nad biedną istotą: oświecony przez Jezusa – światło (eona transcendentego, którego nie należy mylić z Chrystusem ziemskim) Adam przypomniał sobie o świetlistym pochodzeniu ducha uwięzionego w jego ciele. Wysłał swym potomkom posłańców „przynoszących oświecenie": Setha, Henocha, Noego, Abrahama, Zoroastra, Buddę, Jezusa i Maniego.

Droga ocalenia, jaką proponuje Dick, jest drogą buntu i to buntu na najwyższym poziomie. Kontestacja Boga tego świata i jego twórcy. Instrumentem buntu jest gnoza – nieintelektualne poznanie Boga i świata przez oświecenie lub wtajemniczenie. W terapeutycznym, bo mającym wyleczyć człowieka z obłędu tego świata rozumieniu poznania, przeciwstawia się Dick całej epistemologicznej tradycji klasycznej i chrześcijańsko-ortodoksyjnej.

3. Ursula Le Guin

Coraz częściej pytają mnie w tych, coraz trudniejszych czasach ludzie, czy mam zamiar pisywać książki o potwornych niesprawiedliwościach i nędzy naszego świata, czy też mam zamiar pisać pocieszające i eskapistyczne fantazje? Stawia się mnie w sytuacji Wielkiego Inkwizytora i jego wyboru, mam wybrać wolność bez szczęścia lub szczęście bez wolności. Jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić brzmi „nie" – twierdzi Ursula Le Guin.

Książki o potwornych niesprawiedliwościach naszego świata. Wolność bez szczęścia. Ocalenie w rozdarciu, ukazanie zła w całej jego odrażającej oczywistości. Lub książki kreujące światy zastępcze. Światy, w których człowiek odzyskuje wiarę w zwycięstwo dobra nad ☞



złem, podstawowe wartości ludzkiego istnienia. Nie, nie tędy droga.

Więc, którędy? Nowy typ utopii. „Utopii miękkiej", w odróżnieniu od wellsowskiej, XX-wiecznej, dynamicznej. Odmiany pacyfistycznego anarchizmu, która odrzuca utożsamienie cywilizacji z państwem, władzy z przymusem. Jakie są wyznaczniki ocalenia? Decentralizacja, historia lokalna, neutralność wobec techniki (a krytycyzm wobec zastosowań techniki) odrzucenie mechanizmów forsowania postępu za wszelką cenę. I jeszcze jedno – jeśli utopia ma nadejść, to musi już istnieć.

Utopia racjonalna, świat, ku któremu dążymy, to upojenie władzą. Ponieważ przesłanką tego świata jest postęp, a nie trwanie, nie nadaje się do zamieszkania w teraźniejszości. Utopia – od czasów Platona – była zawsze sucha, mocna, aktywna, agresywna, liniowa, postępowa, gorąca. Była pociągiem prowadzonym przez automat zasiadający w fotelu inżyniera. Nie nadawała się do zamieszkania w teraźniejszości, była monokreacją przemawiającą wyłącznie w czasie przyszłym. Despotyzm nie był wcale tak odległy od utopii. *Najgorsza tyrania nie usiłowała bezwzględniej zatamować rozwoju, niż niejedna utopia, która zamierzała zgładzić ją ze świata* – przypominał Aleksander Świętochowski już w roku 1910.

Nie możemy iść tą drogą. Utopiście przydałoby się zgubić plan, wyrzucić mapę, opuścić pędzący pociąg. Bunt, ale jaki? W końcu nie musimy rozbijać maszyn do pisania ani wysadzać w powietrze pralni, tylko dlatego, że utraciliśmy wiarę w stałe postępy techniki, jako drogi wiodącej ku utopii. Sama technika pozostaje nadal niewyczerpanym źródłem twórczości. Jest narzędziem, które ułatwia życie materialne. Ale błędem byłoby liczyć na cokolwiek ze strony postępu technicznego poza samym postępem technicznym. Jak więc żyć: bez rozpaczy, żalu, fałszywych nadziei? Ursula Le Guin odnawia tradycję spinozjańską w nakazie wyzbycia się dóbr przemijających, umiejętnym kierowaniu własnym losem, wyzbyciu się afektywnego stosunku do świata. I nawiązuje do stoicyzmu w woli zwycięstwa nad samym sobą, samorealizacji w świecie, a nie niszczeniu świata.

Nie przekonano mnie jeszcze, że największe postępy techniki zbliżyły nas do ideału społeczeństwa zainteresowanego przedłużeniem swojego życia – twierdzi U. Le Guin – *społeczeństwa o skromnym standardzie życiowym, dbałego o środowisko, o stałym niskim przyroście naturalnym, z życiem politycznym opartym na umowie, społeczeństwa, które się skutecznie przystosowało do środowiska i nauczyło żyć nie niszcząc siebie ani swoich sąsiadów. Ale właśnie takie społeczeństwo chciałabym móc sobie wyobrazić, muszę je sobie wyobrazić, bo trudno żyć bez jakiejś nadziei.*

Andrzej Niewiadowski

Esej Andrzeja Niewiadowskiego był przygotowany na międzynarodowe seminarium krytyczne „Kontynuatorzy czy kontestatorzy? – Współczesna fantastyka naukowa", które odbyło się w marcu 1988 r. na Uniwersytecie Warszawskim. Przypominamy, że w „Fantastyce" drukowaliśmy już dwa spośród wygłoszonych wtedy referatów: Adama Elbanowskiego (nr 10/88) i Antoniego Smuszkiewicza (nr 11/88).

Przy okazji przepraszamy pana Artura Gruszczaka za to, że w sprawozdaniu z tej konferencji (nr 7/88) został przez niedopatrzenie pominięty tytuł jego referatu „Fantastyka metafizyczna czy psychologia głębi? Realizm magiczny we współczesnej prozie iberoamerykańskiej".

1982 (ciąg dalszy)

1704. [DOSTOEVSKIJ Fëdor]: *Łagodna – opowieść fantastyczna.* Tłum [z ros.]. Gabriel Karski [Wyd. III]. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 54, nlb. 3. 100 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Fiodor Dostojewski.
1705. FOWLES John: *Mag.* Tłum [z ang.] Ewa Fiszer. T. I-II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° T. I ss. 455, nlb. 3; T. II ss. 315, nlb. 1. 30 000 egz. – Klub Interesującej Książki. – Elementy fantast.
1706. FUENTES Carlos: *Urodziny.* Tłum. [z hiszp.] Maria Kaniowa. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 97, nlb. 1. 20 000 egz.
1707. GALINDO Georgio: *Grzybojad.* Tłum. [z hiszp.] Barbara Stawicka. Posłowie Henryk Czubała. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 63, nlb. 2. 40 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1708. GARDNER John: *Szalona pani. Królewski goniec.* Tłum. [z ang.] i przedm. Julita Wroniak. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 256, nlb. 4. 10 000 egz.
HAWTHORNE N.: *Dom...* – zob. W.
1709. HAWTHORNE Nathaniel: *Nowi Adam i Ewa.* Wybór, tłum. [z ang.] i wstęp Maria Skroczyńska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 163, nlb. 4. 30 000 egz.
1710. HUGHES Ted: *Deszczowy koń i inne opowiadania.* Wybór, tłum. [z ang.] i posłowie Teresa Truszkowska. Kraków. Wyd. Literackie. 16°, ss. 87, nlb. 4. 20 000 egz – Seria Fantastyki i Grozy.
1711. KARCZEWSKA Wanda: *Ułaskawienie świata.* Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 100, nlb. 4. 6 000 egz. – Cztery opowiadania, w tym dwa fantast.: *Włos Dulcynei* s. 33-61 i *Historya Arcydzieła Mysikrólika* s. 79-101.
1712. KONWICKI Tadeusz: *Zwierzoczłekoupiór.* Wyd. III [W metryczce mylnie IV]. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 276, nlb. 3. 30 000 egz.
1713. LEM Stanisław: *Śledztwo. Katar.* Wyd. I wspólne. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 268 nlb. 3. 100 000 egz. – Dzieła S. Lema. – *Katar* – ASF, *Śledztwo* – AF.
1714. LINDEMANN Kelvin: *Czerwone parasolki.* W: *Czerwone parasolki.* Tłum [z duń.] Maria Bero. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 55-99. 10 000 egz.
1715. LIPSKA Ewa: *Nie o śmierć tutaj chodzi, lecz o biały kordonek.* W: *Nie o śmierć tutaj chodzi, lecz o biały kordonek.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 49-77. 10 000 egz. – Elementy fantast. także w opow.: *Sanatorium Dla Ludzi, Którzy Stracili Pamięć.* s. 40-48 (właśc. surrealistyczne).
1716. NARAYAN R[asipuram] K[rishnawami]: *Bogowie, demony i inni...* Tłum. [z ang.] i posłowie Zdzisław Reszelewski. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 247, nlb. 4. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1717. PAGACZEWSKI Stanisław: *Przygoda na Rodos.* Kraków. Wyd. Literackie. 16°. ss. 179, nlb. 4. 150 000 egz. – AF/CJF.
POŁOM S.: *Straże...* – zob. ASF.
1718. de QUEVEDO [y VILLEGAS] Francisco: *Sny. Godzina dla każdego, czyli Fortuna mózgiem obdarzona.* Tłum. [z hiszp.] Kalina Wojciechowska. Wstęp i przypisy Kazimierz Piekarec. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 222, nlb. 2. 15 000 egz.
1719. SADZIEWICZ Marek: *Bez ojczyzny.* [Wyd. IV]. Warszawa. Wyd. MON. ss. 354, nlb. 2. 50 000 egz. – W metryczce data ukończenia druku: 1983.
SŁYK M.: *W rosole...* – zob. ASF.
1720. SROKOWSKI Stanisław: *Sen Belzebuba.* Wrocław. Ossolineum. 16° ss. 329, 8 000 egz.
SULIMA-KAMIŃSKI J.: *Patriarcha.* – zob. U.
1721. STRZELEWICZ Konrad: *Krzywe zwierciadło.* Kraków. Wyd. Literackie 16° ss. 175, nlb. 5. 10 000 egz. – AF/ASF/W.
1722. TURCZYŃSKI Andrzej: *Puste katedry.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 131, nlb. 4. 10 000 egz.
TWAIN M.: *Tajemniczy...* – zob. U.
1723. VERISSIMO Erico: *Incydent w Antares.* Tłum. [z port.] Bożena Olesiowa. Posłowie Beniamin Zeibel. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 417, nlb. 3. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.
ZNAMIEROWSKI J.S.: *Pożeracz* – zob. ASF.

Horror (W):

1724. [DOKTOR] *Dr. Jekyll i mr. Hyde.* Wg. R[oberta] L[ewisa] Stevensona adapt. i scen. Stefan Weinfeld, rys. Marek Szyszko. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 8° ss. 64. 100 000 egz. – Komiks.
1725. HAWTHORNE Nathaniel: *Dom o Siedmiu Szczytach.* Tłum [z ang.] Bronisława Bałutowa. Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 347, nlb. 4. 30 000 egz. – W/AF.
1726. PEAKE Mervyn: *Tytus Groan.* Tłum. [z ang.] Jadwiga Piątkowska. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss. 525, nlb. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
STRZELEWICZ K.: *Krzywe...* – zob. AF.

Krytyka, biografie, film (R):

ROZET I.: *Psychologia...* – zob. MS.
1727. SMUSZKIEWICZ Antoni: *Zaczarowana gra. Zarys dziejów polskiej fantastyki naukowej.* Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 376, nlb. 4. bibliogr. 10 000 egz. – SF.

„Zagadki nauki" (MS)

1728. ALEKSANDROWICZ Julian: *Nie ma nieuleczalnie chorych.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 269, nlb. 1. 30 000 egz. – Raporty z granic poznania. – Rozdział VIII: *W stronę unii medycyny naturalnej i naukowej* napisał Włodzimierz Piątkowski.
1729. BORUŃ K[rzysztof], MANCZARSKI S[tefan]: *Tajemnice parapsychologii.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 291, nlb. 1. 30 000 egz. – Raporty z granic poznania.
1730. CAMERON Verne L[ewis]: *Aquavideo – lokalizacja wody podziemnej przy pomocy wrażliwego oka.* [Tłum. z ang. Eugeniusz Kęsicki]. Poznań, Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 100. 2 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Materiały Instruktażowo-Metodyczne. z. 2.
1731. DONIMIRSKI Andrzej: *Zagadkowy świat. Historia Wszechświata, budowa materii, cywilizacje kosmiczne, hipotezy, teorie, przypuszczenia.* Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16° ss. 205, nlb. 1 30 000 egz. – MS/F.
1732. FLAMAGAN G. Pat.: *Energia piramid.* [Tłum. z ang. Bonawentura Kochel]. [Wyd. II]. Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 139, nlb. 2 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Z. 2/79. – Zawiera też: B[onawentura], Kochel, Jan Szymański: *Wpływ modeli piramidy na wzrost bakterii Escherichl Coli.*

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

Zemsta kosmosu!

Tydzień przed końcem wakacji, w godzinach rannych, wstydliwie ukryty w cyklu „film dla drugiej zmiany", pokazano naszej telewidowni krajowy obraz SF w reżyserii Grzegorza Tomczyka. Miłośnikom fantastyki, którzy z poczucia obowiązku, do końca nie tracąc nadziei, wytrwali przed telewizorami, rzecz bardzo popsuła humory. Przeciwników, zapewne, doprowadziła do pasji. Po identycznym doświadczeniu z widowiskiem „Algi" według Krzysztofa Borunia, pokazanym trzy lata temu, czarno widzę przed fantastyką, zwłaszcza tradycyjną, w naszej tv. Co może zresztą i lepiej.

Powieść Czesława Białczyńskiego, „Zakaz wjazdu" na podstawie której przyrządzono widowisko, ma przecież, przyznajmy, swoje smaki klasyczne. Jest w niej groza, napięcie, awantura i rozmach właściwe i powieści kryminalnej, i space operze. Nie udało się tego przekazać ubogiej maszynerii polskiej telewizji. Ale jeśli ma się do dyspozycji rekwizyty i obrazowe atrakcje, z których największą siłę emocjonalną posiadają: pieczona kaczka, butelka whisky, pierś damska i banany, jakimi obrzucają się bohaterowie – czy wolno w ogóle przystępować do konstruowania opowieści o kosmonaucie-mordercy wracającym z przestworzy? Jeśli ten kosmonauta, groźnie odmieniony przez kontakt z nieznanym, doprowadza (podobno?) do samobójstwa obywateli rozrzuconych po świecie, trzeba by chyba te wydarzenia i miejsca pokazać, a nie głównie gadać-gadać-gadać o nich do kamery. Widz, który ma w pamięci wysmakowaną obrazowo i aktorsko grozę z filmów braci Scottów czy Carpentera: widz którego oczekiwania dotyczące fantastycznej filmowej roboty budowane są po kontakcie z trylogią „Gwiezdne wojny" – nie może traktować serio kosmicznej opowieści, w której zasadniczym kosmicznym akcentem będą migające klawisze (komputerów?), bohaterowie stukający buciorami po biurowych korytarzach, zaś pracownię naukową imituje gabinet fizyczny szkoły podstawowej z lat pięćdziesiątych.

W dodatku rzecz jest nieznośnie retoryczna, drętwo grana. Towarzystwo do tej roboty zaangażowano doborowe, ale widać, że aktorzy nie czują fantastyki i nie czują się dobrze w słuchowisku radiowym, pozującym na kino elektronicznej przygody. Ponadto film ma swoje mielizny myślowe. Toteż, pozbawione wizualnego wsparcia, brzmią w nim pusto rozciągnięte i dęte rozważania o planetach dobrowolnie wstrzymujących swoją ewolucję. O niebezpiecznych skutkach kosmicznego kontaktu. O powinności służb ochrony wobec Ziemi ale i wobec jednego, dzielnego agenta Astropolu, który nie za swoje winy stał się nosicielem zagłady.

Jeśli potraktować ekranizację jako test krajowych szans kina SF, okaże się że przyniósł ten test wynik podwójnie negatywny. Po pierwsze – realizacje kosmicznych widowisk wykraczają zdecydowanie poza finansowe i techniczne możliwości naszej tv. Po drugie – wypadałoby się zastanowić, czy natchniona mistyka kosmosu nie stanowi przypadkiem zamkniętego rozdziału kina w sensie intelektualnym i artystycznym? To drugie mówię naprawdę w trybie przypuszczającym. Nie można wykluczyć, że np. Ridley Scott ze swą wyobraźnią i ekipą wystrugałby z powieści Białczyńskiego porywające arcydzieło. U nas temat klasyczny zrealizowany łopatologicznie i chałupniczo dał widowisko trudne do wytrzymania. Oto swoista „zemsta kosmosu" na realizatorach (i widzach!) za niepoważne traktowanie i nadmierną eksploatację.

Pokazane przed rokiem widowisko Witolda Leszczyńskiego według Zajdlowskiej „Paradyzji" wydawało się znacznie ciekawsze. Spektakl mądrze aluzyjny, wygrywał moralne i polityczne dylematy, w których Zajdel się specjalizował i mimo że na pewno niedoskonały, nie dawał przynajmniej wrażenia totalnej obsuwy. Podobnie z „Królem komputerów" Pawła Solskiego, o którym pisze obok Dorota Malinowska. W obu tych przypadkach zamiar realizatorski zdawał się być znacznie lepiej niż w przypadku Tomczyka dopasowany do krajowych możliwości i... zainteresowań. Widowiska „Paradyzja" i „Król komputerów" – niewyszukane, nawet siermiężne w warstwie obrazowej, starały się rozgrywać oryginalne wartości intelektualne adaptowanej prozy. Mieliśmy w nich świadectwo ambitnych poszukiwań w nowych fantastycznych kierunkach i przewrotne próby realizatorów uczynienia atutu z tego, co jest ograniczeniem bądź brakiem.

Filmowcy tv powinni chyba poruszać się po tej właśnie drodze, w ślad za podobnie przecież postępującymi reżyserami kinowymi – Szulkinem, Koprowiczem i częściowo Machulskim. Odchodzenie wielu piszących autorów od zużytych tematów klasycznych jest faktem. Zasypująca nas lawina tekstów poetyckich, prywatnych, metaforycznych, politycznych, intelektualnych – gdyby się w nią wczytać – mogłaby więc być może dostarczyć realizatorom nowych tematów i ujęć, w których nie odczuwalibyśmy tak dotkliwie braku kosztownych planów i trików. Natomiast naśladowanie bogatszych kinematografii i bezkrytyczne powielanie zblakłych konwencji rodzić może w naszych warunkach jedynie potworki.

Maciej Parowski

ZAKAZ WJAZDU. Na podstawie powieści Czesława Białczyńskiego, scenariusz i reżyseria Grzegorz Tomczyk. Obsada: Mirosław Konarowski, Zdzisław Wardejn, Jerzy Talar, Jerzy Kryszak, Marcin Troński i inni. Poltel, 1986. Emisja 24 VIII 1988.

Dusza i komputer

Scenariusz Pawła Solskiego „Król komputerów", oparty na motywach „Króla Olch" Johanna Wolfganga Goethego drukowaliśmy w „Fantastyce" w marcu 1987. Od tego czasu film został zrealizowany i można mieć nadzieję, że już niedługo zobaczymy go na małym ekranie – jest to bowiem film telewizyjny, dość kameralny, stanowiący zaprzeczenie popularnego wyobrażenia produkcji fantastycznej.

Reżyser Paweł Solski ukazał w nim świat, w którym żyjemy połączony z czymś, co istnieje poza nim, a co nazywamy zaświatami. Temat pasjonujący, ale i trudny. Okazało się jednak, że można w inteligentny, ciekawy sposób połączyć SF z poezją, a technikę z metafizyką.

Film rozgrywa się na dwóch planach. Jeden wątek opowiada o trzynastoletnim Marcinie, wykazującym niezwykłe zdolności w posługiwaniu się komputerami. Chłopiec mieszka z ojcem, mamę zna tylko ze zdjęcia. Poza tym nic nie odróżnia go od rówieśników – umie wygłupiać się jak każdy dzieciak w jego wieku, a w rozmowach z ojcem przybiera ton przekonanego o swej dorosłości trzynastolatka: „Oj tato, bo ty nic nie rozumiesz". Prawdziwe to, momentami zabawne – życiowe.

Równolegle śledzimy losy dusz, widm, świadomości (?) trzech wielkich ludzi: Mickiewicza, Goethego i Tesli. Szczególnie istotna jest rola tego ostatniego, chociaż właśnie jego nazwisko może okazać się nieznane dla części widzów. Nikola Tesla był Chorwatem, żył w latach 1856-1943. Zajmował się badaniem elektryczności, szczególnie prądów wysokiej częstotliwości. Według wersji Pawła Solskiego obecnie przebywa na dworze króla komputerów – władcy zaświatów (czy jedynego, nie wiemy), sprowadzającego do siebie geniuszy, a raczej ich dusze. To co pokazuje nam reżyser, zdecydowanie różni się od jakichkolwiek istniejących koncepcji życia po śmierci. Los duchów jest nie do pozazdroszczenia. Nie dość, że ich trwanie jest jałowe i bezcelowe, to okazuje się również, że można je ciemiężyć – ulegają królowi, jest on zbyt potężny, sądzą, żeby mu się sprzeciwiać. Duch Goethego głosi potrzebę zgadzania się na zło czynione przez króla. Tylko w ten sposób można stać się równym władcy! Okazuje się więc, że duch również może zaprzedać swoją duszę.

Warta podkreślenia jest zbieżność tematyki poruszanej przez Pawła Solskiego z problemami pojawiającymi się obecnie w kinematografii światowej. Mimo zupełnie innej stylistyki „Król komputerów" w warstwie intelektualnej ma wiele wspólnych punktów chociażby z „Angel Heart" Alana Parkera, „The Believers" Johna Schlesingera, czy innymi, które wywodzą się z mody na akceptację istnienia sił innych niż fizyczne.

A przy tym jest to film osadzony całkowicie w realiach polskich. Nie tylko dlatego, że pokazano w nim zwykłe warszawskie mieszkanie, czy ulicę (znakomity pomysł wykorzystania pomników Pałacu Kultury do jednej z projekcji duchów). Niezwykle prostymi środkami ukazano także pokrętność naszej psychiki. Powstała mozaika z życia codziennego Polaków, tradycyjnie już przypisywanych nam cech, takich jak romantyzm czy wręcz anarchizm i niesamowitego zjawiska, jakim jest u nas, kraju stojącym na niskim poziomie rozwoju technicznego, boom komputerowy. Jednocześnie problemy, które mogłyby być zaściankowe łączą się z uniwersalnymi: cywilizacja techniczna i jej upadek, rządy tyranów i zachowanie się ludzi w sytuacjach ekstremalnych, zmiany w nauce.

Sporo tematów jak na sześćdziesiąt minut. Starczyłoby, żeby obdarować parę produkcji pełnometrażowych, z których wychodzimy pytając sami siebie: o co właściwie chodziło. Taka obfitość świadczy o niedojrzałości młodego twórcy, który zbyt szybko i zbyt wiele chce przełożyć na język filmowy.

„Król komputerów" jest pierwszym fabularnym filmem Pawła Solskiego. Widać w nim trochę potknięć, pewną chropowatość narracji. Ale jest też sporo niezłych pomysłów technicznych, jest suspens (scena w pracowni Bajtka). Nie brak humoru (podział zaświatów na męskie i żeńskie, slogany feministyczne w ustach przebranego za listonoszkę mężczyzny). Solski bawi się z nami intelektualnie, nie rezygnując z chwytów kina komercyjnego. I to jest chyba odpowiedź na to, jakie kino powinno się w Polsce robić.

I jeszcze pytanie – dla jakiego widza przeznaczony jest „Król komputerów?" Chyba po prostu dla każdego, co nie jest równoznaczne z tym, że wszystkim będzie się podobał. I to też jest dobre. Musimy się zacząć znów uczyć, że podobać się wszystkim często oznacza nie podobać się nikomu.

Dorota Malinowska

KRÓL KOMPUTERÓW. Scenariusz i reżyseria Paweł Solski. Scenografia: Roman Wołyniec. Obsada: Joachim Lamża, Andrzej Szczepkowski, Witold Dębicki, Jerzy Scheybal, Michał Thorn (dwunastolatek – główny bohater), Marek Siudym, Wojciech Skibiński i Tomasz Dedek. Polska, 1988.

Mija dokładnie trzydzieści lat od momentu, w którym Adam Hollanek opublikował swoją pierwszą powieść science fiction, „Katastrofa na »Słońcu Antarktydy«". Takie okrągłe daty stanowią dobrą okazję, by obejrzeć się wstecz. Popatrzmy więc, czym była fantastyka dla autorów przed trzydziestu laty, czym stała się dziś, porównajmy doświadczenia różnych polskich fantastycznych generacji... Mówi Jubilat, redaktor naczelny „Fantastyki", dziennikarz i pisarz, autor dwudziestki z górą książek prozatorskich i popularyzatorskich, człowiek, który – jak całe jego pokolenie – żył w w i e l u ciekawych czasach.

Przeżyłem wiele pożarów

z Adamem HOLLANKIEM, red. naczelnym „Fantastyki", rozmawia Maciej Parowski

– Jak to jest panie Adamie – popularyzator nauki, autor science fiction, pisarz tzw. głównego nurtu, dziennikarz prowadzący tygodnik kulturalny w Krakowie lat sześćdziesiątych i ostatnio, od ponad sześciu lat, redaktor naczelny miesięcznika „Fantastyka"... Która z tych ról najbardziej odpowiada skłonnościom Adama Hollanka?

– A więc udajemy, że się nie znamy? Może to dobra konwencja. Przed znajomymi trudniej pozować i wdziewać maski. Znajomi wiedzą o nas więcej niż my sami, czasem wiedzą także to, co wolelibyśmy ukryć. Ale i tak wsadzasz swym pytaniem kij w mrowisko. Bo we mnie jest przecież mrowisko różnych pożądań, różnych pragnień. Życiowe role, które wymieniłeś, przychodziły po kolei, w każdej chciałem być dobry. Może stopniowo wyrastałem z każdej z nich? Może z czasem, choć pewnie nieoczekiwanie, fantastyka stawała się coraz ważniejsza? Dla mnie i dla nas wszystkich.

– Więc teraz chce pan być dobry właśnie w fantastyce?

– Dziwna sprawa, wszystkie moje fantastyczne powieści i opowiadania napisałem przed objęciem „Fantastyki". Potem, owszem, ukazywały się wznowienia albo rzeczy wydobyte z szuflady. Ale od 1982 roku nie napisałem nic nowego, ani linijki SF – zwyczajnie łapię się na tym, że brak mi odwagi. Jeśli człowiek podnosi innym poprzeczkę wysoko w górę, to po prostu nie ma prawa sam jej sobie obniżyć. To samo dotyczy moich redaktorów, chłopcy też się zablokowali. Nie od razu, nie wszyscy w tym samym momencie, ale syndrom działa. Może dzięki temu, powiem żartobliwie, pismo się dobrze rozchodzi. Może dzięki temu stworzyło się w nim miejsce dla młodych. No a ja, uwolniony nieśmiałością od myślenia o twórczości science fiction, odkryłem w sobie literacki ciąg na współczesność. To moje pragnienie ucieczki do rzeczywistości znalazło ujście w powieści „Księżna z Florencji". Podobne pragnienie jak sądzę przeżywa Lem, ale jemu znacznie trudniej uciekać od SF, bo jemu właśnie science fiction przyniosła najcenniejsze laury. Przy czym ucieczka do rzeczywistości od fantastyki jest obecnie znacznie łatwiejsza niż kiedyś. Dziś w bardzo na pozór realistyczną fizykę współczesną wciska się metafizyka. Fantastyka dzisiejsza – wyrosła według mnie ze science fiction, z sytuacji nauki, z fikcji literackiej – zmieniła się, jest bliższa głównemu nurtowi literatury. We wspomnianej powieści piszę o gorących wydarzeniach lat ostatnich, ale i o... neutrinie. Trochę co prawda inaczej, lecz polska fantastyka też próbowała robić jedno i drugie.

– Jaka jest rola popularyzatorskich związków z nauką w pana biografii i filozofii pisarskiej. W latach sześćdziesiątych kontakt z nauką narzucał popularyzatorom i ich czytelnikom bardzo optymistyczną wizję świata. Potem rzecz się zmieniła. Jak to wyglądało w pana przypadku, bo mam wrażenie, że jako autor prozy nie widzi pan przyszłości różowo?

– To prawda, nigdy w mojej naturze optymizm nie zwyciężył czarnych przeczuć. Niby miałem krzepiące kontakty z naukowcami; przyjaźniłem się z profesorem Szaferem, biologiem i botanikiem; z profesorem Rybką – seniorem naszych astronomów, który opowiadał mi jak poezja Owidiusza kazała mu już w młodości spojrzeć w gwiazdy. Mimo to, nawet w książkach popularyzatorskich dawałem wyraz obawom przed zagrożeniami ekologicznymi, przed nieludzkością techniki, przed indywidualnymi szaleństwami człowieka. Podobnie było w fantastyce. To korespondowało jakoś z miłością do ziemi, którą zamieszkuję.

– Trudna miłość. W pierwszej pana powieści „Katastrofa na słońcu »Antarktydy«" Polacy są pełnoprawnymi obywatelami świata. Ostatnia, „Księżna z Florencji", pokazuje Polaków jako przez nikogo nie chcianych wyrzutków, pełnych kompleksów. Wygląda na to, że przebić się do świata możemy tylko przy pomocy fantastyki – wysiłkiem indywidualnej imaginacji.

– Niestety, warunki w których żyje Polska należą do najtrudniejszych w świecie. Od tego nie ma ucieczki ani w płytko rozumiany internacjonalizm czy kosmopolityzm, ani w fantastyczne złudzenia, więc nasza sytuacja odciska swe piętno na tym co pisarz tworzy, co myśli o sobie i o swoich rodakach. Nasz naród jest nosicielem światowego romantyzmu, który, mówiąc za Mickiewiczem, „zatruwa" europejskie dążenia do świętego spokoju. Polacy na emigracji, z którymi rozmawiałem, bez względu na to jaką narodowość przyjęli, dalej w głębi duszy czują się Polakami. Toteż nasza literatura, fantastyczna i współczesna, nie może wobec tego wszystkiego chować głowy w piasek. Może stąd wielka popularność Kuśniewicza, Hena, Konwickiego, a z fantastów Zajdla czy Oramusa. Ale jest to w dużej mierze popularność krajowa. Świat, jeśli nawet lubi wydobywać na wierzch różne polskie nowinki, to romantyczne szaleństwa naszych obolałych dusz pojmuje z trudem, bądź próbuje ich do siebie nie dopuszczać.

– W „Księżnej z Florencji" znajduję okruchy pańskich przeżyć wojennych i doświadczeń kresowych. Szczególnie okrutnych i zarazem barwnych, bogatych – kresy, pogranicza kulturowe, Lwów w pana przypadku, także Wilno, to miejsca dramatycznych doświadczeń i wielu znaczących inspiracji żywotnych w polskiej kulturze. Ale dlaczego dostajemy tak często właśnie jedynie okruchy?

– Nam, wychowanym w Polsce przedwojennej, nagle pozbawionym ojczyzny, wydarzenia lat 1939-1940 dały się mocno we znaki. W sposób niezwykle brutalny zmuszono nas do obserwacji, a nawet do uczestnictwa w zjawiskach i wydarzeniach, wobec których sienkiewiczowskie „Quo vadis" było niewinną i kameralną igraszką jednego szaleńca Nerona. Takie doświadczenia nie mogą pozostać poza nawiasem literatury światowej. Mamy wręcz obowiązek opowiedzenia następnym pokoleniom o wędrówce tymi drogami nad przepaściami, czego one nie doświadczyły albo nie dostrzegają, że doświadczyły. Jak wszyscy pisarze o nastawieniu romantycznym uważam, choć można to wyśmiać, że istnieje coś takiego jak pisarski rząd dusz. Ale wiem jednocześnie, że wszystkiego co kłębi się w duszy polskiego pisarza, pokazać jeszcze nie potrafimy. Z różnych powodów.

– Rzeczywiście, sprawowanie rządu dusz zgodnie z najgłębszymi przekonaniami autorów jest w Polsce trudnym zajęciem. Dlatego fantastyka stawała się u nas jednym ze sposobów na ominięcie dziwnych barier stających między pisarzem a jego doświadczeniem.

– To prawda. W sercach tych ludzi, którzy doświadczyli cierni naszego wieku tkwią bariery silniejsze od prawnych czy cenzuralnych, które trudno pokonać. Jest to może najważniejsza lekcja naszej epoki. I fantastyka dawała możliwości praktycznie bezkarnego i otwartego przeciwstawiania się owym barierom i cynicznym zabiegom uszczęśliwiania na siłę. Korzystali i korzystają z tej możliwości autorzy, o których wspomniałem i kilku innych, nie tylko z generacji Oramusa czy Zajdla. Na przykład moja „Katastrofa na słońcu »Antarktydy«", (pisa-



Szef z zespołem. Siedzą od lewej: Maciej Parowski, Dorota Malinowska, Adam Hollanek, Marek Zalejski i Jacek Rodek. Stoją: Andrzej Niewiadowski, Lech Jęczmyk, Krzysztof Szolginia, Darosław Torun i Maciej Makowski. Nieobecni: Andrzej Brzezicki, Leszek Bugajski, Anna Gładka, Sławomir Kędzierski, Zbigniew Latała (który nas fotografował) i Rafał A. Ziemkiewicz.

łem ją w okresie, w którym system stalinowski po raz pierwszy został otwarcie nazwany po imieniu) próbuje pokazać, że świat, w którym żyjemy, że jednostki uważane w nim za wielkie, wszechpotężne, jednak upadają, odsłaniając swą nędzę i zakłamanie. Myślę, że mimo iż opatruje się fantastykę tego rodzaju dezawuującym określeniem „literatury zamiast", odegrała ona ważną rolę w uświadomieniu masowemu czytelnikowi na czym polegają mechanizmy ograniczające jego możliwość działania i ekspresji.

– Niszczący ogień, katastrofy, destrukcyjne uczucia czy pożądania sprowadzające się do rozszarpywania obiektu miłości – to motywy powtarzające się po wielekroć w pańskiej twórczości fantastycznej i realistycznej.

– Żyjemy jak na wulkanie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Gombrowicz twierdzi, że nasza forma, nasze ja zmienia się w kontakcie z każdym nowym człowiekiem. Ja uważam, że zmienia się nie tylko w kontakcie, ale ewoluuje sama z siebie. Dlatego staram się w twórczości uwzględniać najdrastyczniejsze momenty ludzkiego życia. Walczymy o swą tożsamość i tracimy ją. Jeśli człowiek w moim wieku (ale uważam, że każdy człowiek) obejrzy się uczciwie za siebie dostrzeże w przeszłości ciąg strasznych i emocjonujących przygód. Czy jestem więc dziś taki jaki byłem wczoraj? Jak zachowam się jutro wobec oszołomionej dziewczyny w płonącym kinie?... Przeżyłem w dzieciństwie pożar własnego mieszkania w dużej kamienicy czynszowej we Lwowie. To wielkie wrażenie. Obudziłem się, ściana była czerwona i gorąca, nagle wynurzyli się z niej strażacy w olbrzymich srebrnych hełmach. Ta scena jest, bo przecież musiała się znaleźć w „Księżnej z Florencji".

– Pożary z lat wojny nie wywoływały już takiego szoku?

– Ciągle przeżywałem takie pożary. W 1939 roku uciekając z Warszawy jechałem furmanką przez płonącą wieś. Ogień zacieśniał się, ale nie było odwrotu, z tyłu naciskało kilkadziesiąt podobnych, rozpędzonych furmanek. Smagani ogniem musieliśmy przez to piekło przejechać. Potem były łapanki i mordy uliczne we Lwowie. W pożarze powstańczej Warszawy zginęli mój ojciec i brat; matka pędzona przed hitlerowskimi czołgami jednak przeżyła. Bliscy mi ludzie zginęli w obozach. W repatriacyjnym pociągu ze Lwowa do Krakowa jechaliśmy trzy dni i noce. Podczas nocnych cogodzinnych zatrzymań rozlegały się wokół nas strzały jakby to był film kowbojski, a pijany pomocnik maszynisty biegał od wagonu do wagonu, pokrzykując „dajcie oliwy do maszyny, bo ona nie pojedzie, jak nie zapłacicie". I wszyscy musieli płacić... To były zajścia kształtujące moje poglądy, postawy, to one wpłynęły na mój pesymizm.

– Z perspektywy takich przeżyć patrzy pan dziś na cztery generacje polskiej SF. Która z nich jest według pana najciekawsza? Czy w ocenie nurtów i poszczególnych nazwisk polskich autorów nie różni się pan drastycznie od swego zespołu, złożonego w większości z ludzi znacznie przecież młodszych i inaczej doświadczonych niż pan?

– Ci, z którymi pracuję nie są ani młodzi, ani starzy. Zespół jest w pełni dojrzały do roboty, a pod względem opinii i dążeń jesteśmy zgodni bez względu na różnice wieku. Generacje w ogóle wydają mi się pojęciem z jednej strony dość płynnym a z drugiej przesadnie sformalizowanym. Wbrew pozorom odmienne przeżycia nie muszą drastycznie wpływać na różnice twórczości czy gustów. Oramus, rzecz charakterystyczna, wojny przecież nie liznął, a pisze tak dramatycznie jakby brał udział w tym co i moje pokolenie. Żwikiewicz z kolei pisze tak jakby się urodził przy końcu XIX wieku, on w tym się obraca, także pod względem języka, sposobów obrazowania. Uważam, że wszystkie polskie generacje fantastyczne, zwłaszcza ci ich przedstawiciele, którzy osiągnęli znaczące rezultaty, czerpały z jednego źródła. Jest nim twórczość Jerzego Żuławskiego. Niestety tylko kilku polskich autorów SF potrafiło kontynuować zaczętą przez Żuławskiego tematykę moralnych wartości i dylematów człowieka – Lem, Oramus, Zajdel, Wnuk-Lipiński, trochę Boruń... To niepokojące, że było tych prób tak niewiele.

– Pismo „Fantastyka" za dziesięć lat – jak pan je sobie wyobraża? Przybędzie dodatków i prestiżu, czy miesięcznik upadnie, bo ludzie odwrócą się od fantastyki ku literaturze realistycznej? A może pismo zmieni tylko profil, skoryguje proporcje między prozą, krytyką, poezją, plastyką a... scenariuszami gier komputerowych i innych?

– Powiem co naprawdę myślę. Fantastyka jako gatunek nie zginie, przeciwnie – da początek wielu różnym odmianom, które będą pastiszami dawnych tematyk i konwencji jak hard, fantasy, social i political fiction. Mimo wszystko pozostanie to zawsze odrębną dziedziną literatury, bowiem fantastyka nie zdoła wyprzeć czy zarazić sobą do końca głównego nurtu. Ale będzie występować w różnym stężeniu w wideo, filmie, modzie, muzyce. I myślę tak – im mniej będzie na świecie wojen, tym więcej będzie w nim fantastyki. Tym samym nasza „Fantastyka" będzie powoływać coraz to nowe dodatki, dzielić zespół. Powstaną odrębne, bardzo ze sobą skłócone mutacje pisma; doda to pieprzyku fantastyce polskiej i ruchowi wokół niej, ale na pewno jej nie zniszczy. Zniszczyć „Fantastyki" i fantastyki nikomu się nie uda.

– Dziękuję za rozmowę i ciekawą wróżbę.

lipiec 1988

Czytelnicy i „Fantastyka”

Zawsze skrupulatnie czytamy wszystkie listy nadchodzące do redakcji, analizujemy uwagi krytyczne i rozważamy zawarte w korespondencji propozycje i prośby. Także wyniki kolejnych naszych sondaży, gdy poznajemy opinie większej liczby Czytelników jednocześnie, za każdym razem stają się dla nas, redaktorów „Fantastyki”, okazją do nowych przemyśleń. Tak było i teraz, chociaż oczywiście zdajemy sobie sprawę, że w ten sposób ujawnia się tylko część prawdy o naszych Czytelnikach, ich upodobaniach, a także o tym, jak oceniają Oni naszą pracę. Przecież wyniki sondażu są jedynie wypadkową bardzo zróżnicowanych gustów, zależnych zarówno od wieku, jak i wykształcenia. Sądzimy jednak, że mimo tych zastrzeżeń wszyscy, którzy przysłali odpowiedzi na pytania ankietowe (a także Ci, którzy tego nie zrobili) z zainteresowaniem porównają opinie własne z opinią większości respondentów. W tym roku komentarz przy szczegółowych wynikach został ograniczony do minimum, gdyż swoje refleksje przedstawiają szefowie poszczególnych działów „Fantastyki” – Lech Jęczmyk, Maciej Parowski i Andrzej Niewiadowski, oraz jeden z redakcyjnych grafików – Marek Zalejski, a całość podsumowuje redaktor naczelny – Adam Hollanek. Oto przed Państwem wyniki czwartego sondażu, który dotyczył dwunastu numerów „Fantastyki” wydanych w 1987 roku.



Sondaż IV – wyniki!

Krzysztof Szolginia

Liczba Czytelników, którzy chcą się z nami podzielić swymi opiniami jest w kolejnych sondażach coraz większa. Przypomnę, że w pierwszym sondażu uczestniczyło 379 osób, w drugim – 768, a w trzecim – 1366. Tym razem otrzymaliśmy 1652 wypełnione ankiety, spośród których wybraliśmy losowo do opracowania 1000 sztuk. Proszę się nie niepokoić, że uwzględnienie wszystkich 1652 mogłoby zmienić rezultaty. Doświadczenie z poprzednich lat (a także z roku bieżącego) wskazuje, że czołówka w każdej z kategorii ustala się już po kilkuset ankietach i nie zmienia aż do końca. Niewielkie przesunięcia następują jedynie na dalszych pozycjach, których i tak nigdy nie publikujemy. Upominki zaś oczywiście rozlosowaliśmy wśród wszystkich 1652 respondentów.

Nasi Czytelnicy

Wśród tych, którzy do nas napisali 89% to chłopcy i mężczyźni (poprzednie sondaże: 92%, 89%, 91%). Respondenci do 20 roku życia stanowili ok. 57% (poprzednio: 52%, 58%, 61%). Najmłodszym uczestnikiem sondażu był 11-letni uczeń szkoły podstawowej, zaś najstarszym 65-letnia pani, architekt z zawodu.

Aż 60% respondentów to osoby uczące się (poprzednio: 63%, 63%, 58%); spośród nich 21% zdobywa wiedzę w wyższych uczelniach, 62% – w szkołach średnich, 10% – w podstawowych, zaś 7% w zawodowych (rok temu było nieco mniej studentów). Wśród pracujących 50% legitymuje się wykształceniem średnim, 31% – wyższym, 18% – zawodowym, 1% – podstawowym (rok temu odpowiednio: ok. 57%, 26%, 17%, ułamek procenta).

W dużych miastach (ponad 100 000 mieszkańców) mieszka ok. 50% odpowiadających na ankietę, w miastach średnich (21 000–100 000 mieszkańców) – ok. 25%, w miasteczkach (do 20 000 mieszkańców) – 14%, na wsi – 10%, za granicą – 1% (w poprzednim sondażu odpowiednio: 51%, 22%, 13%, 13%, 1%).

Dwa lata temu ankiety dotarły do nas z 5 krajów, rok temu – z 7, tym razem aż z 13. Kolejny raz najwięcej z Czechosłowacji, a ponadto z ZSRR, NRD, RFN, USA, Australii, Bułgarii, Chin, Grecji, Hiszpanii, Kanady, Rumunii i Szwecji.

Pytanie „Ile osób poza Tobą czyta ten sam egzemplarz »Fantastyki«?” przyniosło ostateczny rezultat zbliżony do zeszłorocznego: na 1 egzemplarz przypada 2,1 osoby, czyli mamy (przy nakładzie 167 000) ponad 350 000 Czytelników. W tym roku doszli do tego jeszcze Czytelnicy naszych kwartalnych dodatków.

Jak sami Państwo widzicie, niemal wszystkie wskaźniki procentowe są zbliżone do tych z lat ubiegłych, zaś niewielkie różnice mieszczą się chyba w granicach błędu. Jaki wniosek? Stabilizacja. Proporcje: panie-panowie, starsi-młodsi, pracujący-uczący się itd., itd. są stałe. Nasz „przeciętny Czytelnik” zmienia się niewiele!

Autorzy roku 1987

Czytelnicy mieli wymienić po 3 nazwiska ulubionych autorów polskich i zagranicznych, których teksty (powieści, opowiadania, artykuły, felietony, recenzje itd.) opublikowaliśmy w „Fantastyce” w 1987 r.

Autorzy polscy (wymieniono 44 nazwiska): 1. Maciej Iłowiecki (418 głosów, tj. ok. 42% respondentów), 2. Janusz A. Zajdel (415), 3. Marek Oramus (356), 4. Feliks W. Kres (297), 5. Zbigniew Prostak (281), 6. Marek S. Huberath (183), 7. Eugeniusz Dębski (107), 8. Arnold Mostowicz (59), 9-10. Adam Hollanek i Mirosław P. Jabłoński (po 56 głosów).

Ścisła czołówka się nie zmieniła. Po raz trzeci z rzędu ulubionym autorem „Fantastyki” został Maciej Iłowiecki (dwa lata temu zebrał 38% głosów, zaś w zeszłym roku 41%). Na drugiej pozycji ponownie jest Janusz A. Zajdel, Marek Oramus rok temu był czwarty.

Autorzy zagraniczni (wymieniono 37 nazwisk): 1. Gene Wolfe (318 głosów tj. ok. 32% respondentów), 2. Robert Sheckley (298), 3. Brian Aldiss (296). 4. Frederik Pohl (290), 5. Poul Anderson (252), 6. Philip K. Dick (214), 7. John Brunner (158), 8. Ian Watson (128), 9-10. Jonathan Carroll i Daniela Piegai (po 101 głosów).

Przypominam, że rok temu Harry Harrison, pierwszy na liście zagranicznej, otrzymał aż 76% głosów. W 1987 r. nie drukowaliśmy żadnego jego opowiadania ani żadnej powieści, więc Czytelnicy nie mogli na niego głosować. Tę samą przyczynę miało pojawienie się w pierwszej dziesiątce aż ośmiu nowych nazwisk. W większości jednak są to nazwiska od dawna doskonale znane miłośnikom fantastyki.

Dziewięćdziesiąt jeden!

Najnowszy sondaż wśród Czytelników dowiódł raz jeszcze starej prawdy, że opinie na temat SF są niezwykle rozstrzelone, znacznie bardziej niż byłoby to możliwe przy literaturze niefantastycznej. Wynika to zapewne z tego, że przy ocenie literatury SF bierzemy pod uwagę więcej czynników, że różni ludzie cenią ją za różne rzeczy. Z tego zapewne powodu te same powieści znalazły się na liście najwyżej i najniżej cenionych. Tak na przykład „Kraina Chichów” Carrolla (powieść niewątpliwie dobra, ale i zupełnie nietypowa) otrzymała prawie tyle samo głosów „za”, co „przeciw”. Nawiasem mówiąc, przy powieściach wielu ankietowiczów zaznaczało, że wszystkie im się podobały, nie wskazują więc na te, które im się nie podobały, lecz na te, które im się najmniej podobały. Dziwi nieco dopiero czwarte miejsce znakomitej i klasycznej SF Frederika Pohla. Może zaważyła tu krótsza forma, może Czytelnicy wolą dłuższe kawałki? Wysokie miejsce włoskiej powieści Aldaniego i Piegai jest zapewne objawem rosnącego zapotrzebowania na fantasy, dziełem silnego lobby młodych conanistów.

Głosy na opowiadania również były bardzo rozstrzelone (na 36 tytułów 34 zostały wymienione przez kogoś jako najlepsze, a wszystkie 36 – jako najgorsze!). Wygrało opowiadanie Andersona o mocnej antytotalitarnej wymowie. Niezawodny Sheckley, ulubieniec publiczności na całym świecie, jako jedyny występuje na liście dwukrotnie. Świadectwem wysokiego poziomu wyrobienia naszych Czytelników jest preferowanie autorów znakomitych, ale przecież niełatwych (I. Watson, G. Wolfe, N. Spinrad, B. W. Aldiss). Okazuje się, że tak charakterystyczne dla SF zjawisko ambitnych literacko opowiadań i sensacyjnych, uśrednionych powieści znajduje aprobatę w oczach Czytelników.

Bardzo cieszy wymienienie wśród ulubionych autorów na pierwszym miejscu Wolfe'a, nawet przed Sheckleyem. Jeżeli zostaną dopięte rokowania międzynarodowe, zamieścimy najsłynniejszą jego powieść „Cień oprawcy”. Planuje się również nowe rzeczy Harrisona (najbardziej pożądanego) i innych wymienionych przez Czytelników pisarzy. Będziemy też, oczywiście, rozszerzać Czytelnikom możliwość wyboru, przedstawiając nowych, nie znanych u nas autorów. Choć i tak oferta jest niemała, skoro wśród ulubieńców wymieniono aż 37 nazwisk, a zamawiano opowiadania aż 91 autorów.

Lech Jęczmyk

Plebiscyt prawdę ci powie?

Czytelnicy oceniają „Fantastykę” i jej autorów w dorocznych plebiscytach, my w redakcji bawimy się w podobne oceny co miesiąc. Gdy nasze opinie okazują się zgodne, nie ma o czym dyskutować. Kiedy opinia redakcji, też zresztą niejednolita (często kłócimy się we własnym gronie) drastycznie rozmija się z głosami Czytelników, wpatrujemy się w ankiety jak w pokręconą woskową figurkę w andrzejkowy wieczór. Cóż ona znaczy?

Ankiety nie mówią wyłącznie o literackich wartościach, przynoszą statystyczną prawdę o gustach, zapotrzebowaniach, o wieku, nawet o pamięci Czytelników. Chwaląc jedne opowiadania, a krytykując inne, nadajecie Państwo wieloznaczny sygnał, który może być odczytywany nie tylko jako obiektywna (bo dokonana przez większość) ocena poszczególnych autorów i polityki pisma. Jest to także m.in. komunikat o rynkowej sytuacji gatunku – znak, że pewnego typu literatury publikuje się za mało, i wielu Czytelników gotowych jest zaakceptować nawet mniej udane jego realizacje.

Na drugim, trzecim i czwartym miejscu wyróżnionych przez Czytelników opowiadań polskich znalazły się teksty mocno krytykowane podczas redakcyjnych kolegiów. Nie zmieniamy swojej opinii, ale nie będziemy też walczyć teraz o zmianę opinii Państwa. Byłoby to w złym tonie. Widzę w tej różnicy sądów wielkie czytelnicze wołanie o opowiadanie akcji, o wartką, a nawet krwawą fabułę, o silnego bohatera, o polską

Czytelnicy i „Fantastyka"

Powieści

Wszystkie powieści, które opublikowaliśmy w 1987 r. znalazły się zarówno na liście czytelniczych plusów, jak i minusów. Oto ta pierwsza lista: 1. John Brunner – „Telepata", „Fantastyka" nr 2/87 (304 głosy, tj. ok. 30% respondentów), 2. Lino Aldani i Daniela Piegai – „Znak białego księżyca", nr 11 (259), 3. Jonathan Carroll – „Kraina Chichów", nr 7 (212), 4. Frederik Pohl – „Kupcy wenusjańscy" nr 1 (177), 5. Arkadij i Borys Strugaccy – „Fale tłumią wiatr", nr 5 (39).

Lista „minusowa" wygląda następująco: 1. „Fale..." (426 głosów, tj. ok. 43%), 2. „Kraina..." (228), 3. „Znak..." (83), 4. „Telepata" (61), 5. „Kupcy..." (39). Jeżeliby wyłączyć powieść Frederika Pohla, która jak widać nie wzbudziła większych emocji (ani pozytywnych, ani negatywnych), to lista ta byłaby dokładną odwrotnością tego, co się Czytelnikom podobało najbardziej.

Opowiadania zagraniczne

Najbardziej podobały się (wymieniono tytuły 34 opowiadań na 36 drukowanych): 1. Poul Anderson – „Sam Hall", „Fantastyka" nr 6/87 (114 głosów, tj. ok. 11% respondentów), 2. Robert Sheckley – „Skazaniec w kosmosie", nr 7 (103), 3. Ian Watson – „Powolne ptaki", nr 5 (100), 4. Gene Wolfe – „Mapa", nr 4 (94), 5. Norman Spinrad – „Anioły »R«", nr 8 (75), 6. Robert Sheckley – „Nie kończący się western", nr 9 (57), 7. Brian Aldiss – „Nie zapytałeś nawet jak mam na imię", nr 11 (56), 8. Philip K. Dick – „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach? – Blade Runner", nr 9 (47), 9. Greg Bear – „Martwy kurs", nr 1 (43), 10. Mike Resnick – „Łowy na jednorożca z karabinem i kamerą", nr 10 (38).

Nie było więc tym razem takiego przeboju jak rok temu „Piaseczniki" George'a R. R. Martina, które zdobyły ponad 54% (!) głosów. W 1987 r. na 54% głosów musiało „pracować" aż 6 pierwszych opowiadań.

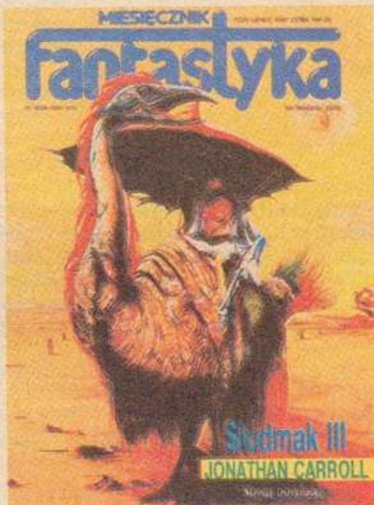
Najbardziej nie podobały się (wymieniono tytuły wszystkich drukowanych opowiadań): 1. Kurd Lasswitz – „Cudowna lampa Aladyna", nr 6 (84 głosy, tj. ok. 8% respondentów), 2. Mike Resnick – „Łowy na jednorożca...", nr 10 (61), 3. Bruce Sterling i Lewis Shiner – „Mozart we przeciwsłonecznych okularach", nr 1 (59), 4. Jaroslav Petr – „Ścięgno Achillesa", nr 1 (50), 5. Phyllis Eisenstein – „Ślimak w kosmosie", nr 12 (48).

Jak widać nasi Czytelnicy nie przepadają również za „pożółkłymi kartkami" w wydaniu zagranicznym: rok temu „zestaw minusowy" otwierał Albert Robida, teraz Kurd Lasswitz.

Opowiadania polskie

Wszystkie drukowane w 1987 r. opowiadania polskie (było ich 18) znalazły się zarówno na liście czytelniczych plusów, jak i minusów. Plusy: 1. Marek S. Huberath – „Wrócieeś Sneogg, wiedziaam..." (I nagroda w konkursie „Fantastyki"), nr 9 (249 głosów, tj. ok. 25% respondentów). 2. Feliks W. Kres – „Demon walki", nr 10 (221), 3. Zbigniew Prostak – „Olbrzym z gór", nr 2 (136), 4. Eugeniusz Dębski – „Czy to pan zamawiał tortury?", nr 4 (74), 5. Tadeusz Meszko – „Pożeracz szarości" (konkurs „Fantastyki"), nr 1 (60), 6. Marek Oramus – „Owieczki", nr 11 (43), 7. Janusz A. Zajdel – „Adaptacja", nr 7 (38), 8. Mirosław P. Jabłoński – „Czas wodnika", nr 5 (33), 9. Aleksander Bukowiecki – „Sensorita i Ferty" (III nagroda w konkursie „Fantastyki"), nr 8 (27), 10. Grzegorz Babula – „R.I.P.", nr 4 (24).

Minusy: 1. Paweł Solski – „Król komputerów", nr 3 (146 głosów, tj. ok. 15% respondentów), 2. Marek Pąkciński – „Przypadek Ewarysta", nr 12 (106), 3. Roman Wysogląd – „Manewry przedwakacyjne", nr 4 (103), 4. Hotlyss-Hotland przedstawia..., nr 4 (80), 5. Andrzej Urbańczyk – „Paul, dziewczyna, jej duże oczy i małe piersi", nr 11 (79).



Najbardziej podobało się znowu opowiadanie nadesłane na nasz konkurs przez autora debiutującego w fantastyce. Przypominam, że rok temu triumfował (także nagrodzony w konkursie) „Wiedźmin" Andrzeja Sapkowskiego. Debiutanci górą! Ciekawostka: ponieważ opowiadanie Huberatha było wydrukowane na początku numeru – tam, gdzie zazwyczaj jest proza obca, a i nazwisko brzmi obco, niektórzy respondenci wymienili ten tekst jako najlepsze opowiadanie zagraniczne. Tak więc Huberath wykosił (według niektórych) wszystkich renomowanych autorów zagranicznych!

Artykuły krytyczne

Zgłoszono aż 56 tytułów artykułów i recenzji. Oto pierwsza piątka: 1. Marek Oramus – „Pieśń kata, czyli moje widzenie fantastyki", nr 1 (212 głosów, tj. ok. 21% respondentów), 2. David Hartwell – „Czy sukces zepsuje SF?", nr 12 (86), 3. Umberto Eco – „Nauka i fantastyka", nr 4 (76), 4. Adam Hollanek – „Na smyczy Lema", nr 1 (75), 5. Jerzy Szyłak – „Przestrzeń wewnętrzna", nr 3 (57).

Wśród tych materiałów krytycznych, które nie zyskały akceptacji naszych Czytelników znalazły się 54 teksty. Oto trzy wymieniane najczęściej: 1. Maria Gołaszewska – „Imaginacja w antroposferze", nr 8 (104 głosy, tj. ok. 10% respondentów), 2. Edgar Allan Poe – „Filozofia kompozycji", nr 10 (80), 3. Stanisław Bereś – „Fantastyka: azyl czy kostium", nr 7 (59).

Muszę tu dodać, że aż 35% odpowiadających nie zgłosiło żadnego tytułu na listę minusów, najczęściej pisząc „nie mogę zadecydować, gdyż znam tylko niektóre artykuły".

Na obu listach (plusów i minusów) wszystkie eseje i szkice krytyczne znalazły się wyżej niż którakolwiek recenzja. Najpopularniejszym recenzentem książek okazał się Maciej Parowski.

Nauka i SF

Kolejny rok, gdy felietony Macieja Iłowieckiego konkurują tylko ze sobą. Na wszystkie teksty (było ich 11) najpopularniejszego z autorów „Fantastyki" głosowało łącznie 74% respondentów (rok temu 73%). 1. Całość cyklu „Z tamtej strony lustra" (175 głosów, tj. ok. 17%), 2. „Gość w Obłoku Magellana", nr 11 (79), 3. „Koniec wszechświata", nr 1 (76), 4. „Przerażający człowiek śniegu", nr 4 (68), 5. „Rozum, czyli efekt uboczny", nr 12 (67).

Najmniej podobał się zestaw tekstów z numeru 2/87. Na drukowany tam fragment książki Louisa Pauvelsa i Jacques'a Bergiera „Rzeczywistość fantastyczna" padło 118 głosów „minusowych", zaś na poprzedzające go wprowadzenie Barbary Okólskiej „Świt magów" – 149 (tj. ok. 15% respondentów). Na pozycji trzeciej znalazł się tekst Arnolda Mostowicza „Trójgłos w sprawie prababki Ewy" (nr 1/87; 73 głosy).

Nasi Czytelnicy mają coraz większe kłopoty ze wskazaniem najsłabszego tekstu w dziale „nauka i SF". Tym razem aż 45% respondentów nie udzieliło tu żadnej odpowiedzi lub stwierdziło „wszystko dobre". Przypomnę, że rok temu wskaźnik ten wynosił 37%, a dwa lata temu 22%.



fantasy. Po cichu pozwalam sobie podejrzewać, że jest to wołanie głównie Czytelnika młodego, który nie rozsmakował się jeszcze w literackich wartościach, poszukiwaniach i eksperymentach, a czytając zaspokaja emocjonalne potrzeby wieku dojrzewania.

Eksperyment, literackie poszukiwania i ekstrawagancje zostały w plebiscycie skarcone. Postawiliście Państwo do kąta z oślimi uszami i oryginalny scenariusz Solskiego, i wariackie szarże Hotlyssa, i teksty niektórych laureatów naszego drugiego konkursu, i wieloznaczne opowiadanie Stefańskiego oraz opowiadania Bukowieckiego i Jabłońskiego, które znalazły się przecież również na liście najlepszych. Cóż można o tym powiedzieć? Może należy przyjąć w pokorze ten komunikat o nieuchronnej rozbieżności czytelniczych gustów i nie absolutyzować gustów własnych? Choć szczerze przyznaję, że w czołówce „najgorszych" znalazły się także trzy teksty, które planowałem do numerów „z braku laku" bądź w wyniku trudnych tu do opisania redakcyjnych zobowiązań, a więc – bez specjalnej satysfakcji.

Huberath, Zajdel, Oramus, Sapkowski – oto powtarzające się nazwiska „najlepszych", co do których (stwierdzam rzecz z radością) nie będziemy się kłócić. Tutaj statystyka raczej nie skłamała. Fakt, że nie zapomnieliście Państwo o długo milczącym Baranieckim i dalej dopominacie się o jego opowiadania, także wydaje mi się sympatyczny. Podobnie z Lemem, Piekarą, Wolskim...Mam w redakcyjnej tece opowiadania Sapkowskiego i Wolskiego, spróbuję zbyt długo nie zwlekać z ich drukiem. Niestety, nie mogę obiecać tego samego w przypadku Zajdla. Jego dzieło podobnie jak życie, jest już zamknięte, a teka pośmiertna w całości udostępniona Czytelnikom.

Powiedziałem rzecz na początku, powtórzę ją teraz innymi słowami: plebiscyt jest oceną wystawioną pismu przez Czytelników, ale także statystycznym autoportretem, jaki Czytelnicy malują sami sobie. Czy pojedynczy Czytelnik pisma rozpozna się na tym zbiorowo wykonanym wizerunku?... Obraz jest wieloznaczny, wynika zeń wiele i dla Autorów, i dla Czytelników, i dla nas. Najbardziej krzepiący wniosek, jaki można tu sformułować, zabrzmi chyba tak, że literackie oceny nigdy nie będą wyglądały jednakowo, że przyczyny autorskiego sukcesu i porażki do końca pozostaną tajemnicą (przynajmniej częściową), i że w literaturze, jak w życiu, *każda potwora znajdzie swego amatora.* A mówiąc już zupełnie uczciwie – prawie każda.

Maciej Parowski

Krytyka jako filozofia?

Przeciętność jest bardziej niebezpieczna u krytyka niż u pisarza – powiedział kiedyś Eugène Ionesco. I miał rację. Kolejna ankieta „Fantastyki" potwierdziła znaną prawidłowość – wolicie Państwo teksty ostre, napastliwe, jasno i otwarcie sformułowane, teksty, co do których nie macie wątpliwości: tu prawda, tam fałsz, tu dobro, tam zło, kierunek ataku zrozumiały, styl obrazowy, przekonujący, niepowtarzalny. Felietony zamiast krytyki eseistycznej, naukowej; krytyka doraźna, komentująca zamiast historycznej. I tematyka: obrazoburcza, poszukująca nowych wartości w spękanym zwierciadle kultury. Zastanawia jednak w głosach Państwa niepokojąca zbieżność. Felietonistyka, dziennikarskie fechtowanie, parowanie ciosów nie zawsze idzie w parze z pogłębioną wizją świata, z historycznym uzasadnieniem, literaturoznawstwem. Stawiając na taką właśnie krytykę, godzicie się z góry na pobieżność sądów, płytkość analiz – byleby autor umiał być błyskotliwy, byleby umiał dowieść swej racji. Wnioski Oramusa można zakwestionować w wielu miejscach, a jednak jest coś w jego sposobie pisania: siła przekonywania, „romantyzm", „indywidualizm", niepowtarzalna ironia, lekkość stylu, gniewność – co sprawia, że jesteście Państwo tymi felietonami zauroczeni, że uznajecie je za swoje. I przeciwnie: tam, gdzie za wnioskami autorki kryje się wieloletnie doświadczenie teoretyka filozofii (myślę o Gołaszewskiej), gdzie forma przekazu trudniejsza, gdzie wypada się



Czytelnicy i „Fantastyka"

Galeria

Plusy: 1. Frank Frazetta, nr 4 (364 głosy, tj. ok. 36%), 2. Wojtek Siudmak, nr 7 (341), 3. Hisaki Yasuda, nr 11 (155), 4. Andrzej Wroński, nr 10 (42), 5. Lepsze niż człowiek, nr 1, (29).

Minusy: 1. Pilar Coomonte, nr 8 (176 głosów, tj. ok. 18%), 2. Wojtyński o Grabińskim, nr 9 (164), 3. Grażyna i Andrzej Bareccy, nr 3 (151).

Czytelnicy (oglądacze?) byli bardzo zgodni w określeniu tego co im się podoba: na 3 pierwsze „galerie" padło aż 86% głosów. W przypadku listy minusów rozbicie głosów było o wiele większe.

Okładki

Najbardziej podobały się: 1. Wojtek Siudmak, okładka nr 7 (321 głosów, tj. ok. 32% respondentów), 2. Hisaki Yasuda, nr 11 (257), 3. Frank Frazetta, nr 4 (135), 4. Michelangelo Miani, nr 10 (84), 5. Michelangelo Miani, nr 12 (43).

Najbardziej nie podobały się: 1. Grażyna i Andrzej Bareccy, nr 3 (214 głosów, tj. ok. 21% respondentów), 2. Jan Grabowski, nr 5 (179), 3. Zbigniew Latała, nr 6 (106).

Sytuacja podobna jak w przypadku „galerii": te same co tam nazwiska w czołówce, duża koncentracja głosów na pierwszych pozycjach listy plusów, mniejsze zdecydowanie przy wyborze na listę minusów.

Najlepszy numer

Za najlepszy nasi Czytelnicy uznali numer kwietniowy (186 głosów, tj. ok. 19% respondentów). Na taki, a nie inny wybór wpływ najprawdopodobniej miała „galeria" Frazetty i powieść Brunnera. Z czterech bowiem opowiadań zagranicznych zamieszczonych w tym numerze w czołówce była tylko „Mapa" Wolfe'a, zaś spośród czterech opowiadań polskich – tylko opowiadanie Dębskiego. Na następnych pozycjach znalazły się: numer wrześniowy (139 głosów; zawartość m.in.: opowiadanie Huberatha, dwa opowiadania Sheckleya, fragment „Blade Runnera" Dicka) oraz lipcowy (110 głosów; zawartość m.in.: opowiadania Sheckleya i Zajdla, powieść Carrolla i galeria Siudmaka).

Najmniej spodobał się Czytelnikom numer majowy (119 głosów, tj. ok 12%), w którym rozpoczęliśmy powieść Strugackich, a którego okładka była druga, zaś galeria czwarta na listach minusów. Na temat numeru najgorszego nie chciało się wypowiedzieć 28% respondentów.

Numer przebojów 1987

Jak wyglądałby numer „Fantastyki" zestawiony z najlepszych (według naszych Czytelników) materiałów opublikowanych w 1987 r.? Oczywiście przy komponowaniu takiego numeru bylibyśmy ograniczeni jego objętością (64 strony + okładki). Na każdy z działów przeznaczę więc mniej więcej tyle stron, ile zazwyczaj zajmuje.

Na I okładce znalazłby się obrazek Wojtka Siudmaka (nr 7), na IV – Hisakiego Yasudy (nr 11), a w „galerii" przedstawilibyśmy Franka Frazettę (nr 4). W środku numeru Czytelnicy znaleźliby „Telepatę" Johna Brunnera (nr 2, 3, 4). Przed powieścią zmieściłyby się tylko dwa opowiadania zagraniczne: „Sam Hall" Poula Andersona (nr 6) i „Skazaniec w kosmosie" Roberta Sheckleya (nr 7); natomiast za nią – tylko jedno opowiadanie polskie: „Wrócieeś Sneogg, wiedziaam..." Marka Huberatha (nr 9).

Jak wynika z odpowiedzi ankietowych w ostatnich latach, nasi Czytelnicy nie lubią czytać w dziale krytyki trudniejszych w odbiorze esejów dotyczących teorii gatunku, natomiast uwielbiają wszelkiego rodzaju starcia polemiczne. Tak więc w tym wzorcowym numerze przeczytaliby „Pieśń kata..." Marka Oramusa i „Na smyczy Lema" Adama Hollanka (oba teksty: nr 1), a zamiast „Słownika polskich autorów fantastyki" i „Pożółkłych kartek" – polemikę Wojciecha Gutowskiego z Andrzejem Niewiadowskim na temat tekstu o Tadeuszu Micińskim (nr 11), który drukowaliśmy kiedyś właśnie w „Słowniku...". Dział krytyki uzupełniłyby recenzje autorstwa Macieja Parowskiego i Marka Oramusa.

Numer tradycyjnie zamykałyby: felieton Macieja Iłowieckiego, tym razem o „Gościu w Obłoku Magellana" (nr 11), oraz recenzja filmowa Doroty Malinowskiej – najbardziej podobała się ta o „Obcym" i „Obcych" (nr 11).

Jak łatwo sobie sprawdzić, do tego „superwydania 1987" weszłyby materiały aż z siedmiu różnych numerów: 1, 2, 4, 6, 7, 9 i 11! Nie dziwimy się więc, że nasi Czytelnicy mieli spore kłopoty z określeniem, która z „Fantastyk" w 1987 r. była najlepsza, a która najgorsza.

Zamawiam opowiadanie...

Czytelnicy wymieniali po 1 nazwisku autora polskiego i zagranicznego, których utwory chcieliby przeczytać w najbliższym czasie. Podsumowanie tego „koncertu życzeń" przyniosło następujące rezultaty:

Autorzy polscy (wymieniono aż 65 nazwisk): 1. Janusz A. Zajdel (139 głosów, tj. ok 14% respondentów), 2. Marek Oramus (94), 3. Feliks W. Kres (92), 4. Andrzej Sapkowski (84), 5. Zbigniew Prostak (77), 6. Marek S. Huberath (59), 7. Marek Baraniecki (53), 8. Stanisław Lem (42), 9. Marcin Wolski (27), 10. Jacek Piekara (25).

Autorzy opowiadań, które zajęły w tym roku trzy pierwsze miejsca od razu awansowali do pierwszej dziesiątki. F.W. Kres poprzednio był dopiero trzydziesty, Z. Prostak – siedemnasty, a M. Huberatha rok temu nikt nie znał (inaczej być nie mogło, skoro „Sneogg" to jego debiut). Oto jaki wpływ na Czytelników może mieć fakt drukowania na naszych łamach...

Autorzy zagraniczni (wymieniono aż 91 nazwisk!): 1. Harry Harrison (115 głosów, tj. ok. 11% respondentów), 2. Robert E. Howard (104), 3. Roger Zelazny (84), 4. John R. R. Tolkien (62), 5. Gene Wolfe (52), 6. Frederik Pohl (43), 7. Philip K. Dick (38), 8. Brian W. Aldiss (36), 9. Henry Kuttner (34), 10-11. Poul Anderson i George R. R. Martin (po 28 głosów).

Czołówka niemal się nie zmieniła. Rok temu w pierwszej dziesiątce nie znalazł się Wolfe (był wtedy 15), Pohl (18), Dick (12) i Anderson (29).

Jak widać, na pierwszych miejscach obu list są te same nazwiska co poprzednio. W przypadku Janusza A. Zajdla jego twórczość można już niestety tylko przypominać, natomiast jeżeli chodzi o Harry'ego Harrisona to na pewno będziemy w stanie zrealizować prośby Czytelników. Część życzeń spełniliśmy już w roku 1988: wydrukowaliśmy opowiadania Sapkowskiego (nr 8), Aldissa (nr 4 i 8) i Martina (nr 8) oraz powieść Andersona (nr 10, 11, 12).

*

Tyle wyników, poniżej komentarze. Dziękujemy za udział w IV sondażu i zapraszamy do następnego. Wszystkie opinie Państwa mają dla nas dużą wartość.

Krzysztof Szolginia

Wśród biorących udział w IV sondażu rozlosowaliśmy upominki, które wysłaliśmy pocztą. Grę fantasy „Magia i miecz" (pisaliśmy o niej w „Fantastyce" nr 6/88) otrzymują: Marek Budzyński z Włocławka, Andrzej Cichocki z Mszczonowa, Marek Kmiecik z Komorowa, Piotr Lebek z Zabrza, Wojciech Michał Masierek z Łodzi, Andrzej Mikołajczyk z Łodzi, Sławomir Nach z Pelplina, Dawid Naglik z Szamotuł, Marek Nowak z Wodzisławia Śl., Magdalena Piechowiak z Poznania, Dariusz Sibielak z Psarów, Dariusz Szulc z Nysy, Andrzej Wilma z Bytowa, Krzysztof Wiśniewski z Inowrocławia, Mirosław Zapała z Sulechowa.

---

zastanowić, odwołać do tradycji kultury, literatury, sztuki, coś ze sobą połączyć, skojarzyć, poszukać jakiegoś autorytetu – wszędzie tam odmawiacie Państwo lektury, krzywicie się, narzekacie, mówicie: *nie tędy droga.* Naprawdę? Ilu jest dziś krytyków, dla których – jak pisał Brzozowski – *byłaby krytyka formą filozofii, jak dialog dla Platona?* Gdzie krytycy na miarę Irzykowskiego, Wyki, którzy mieliby w swojej ocenie świata, literatury wizję jakiegoś porządku, systemu, planu działania? Gdzie krytyka pragmatyczna, artystyczna, programująca? Pośpieszność, nerwowość naszych czasów znajduje swoje miejsce w czytaniu tekstów – również pośpiesznym, płytkim, uwodzącym. Możemy ponarzekać, ale dobrze, że w fantastycznym świecie dialog pomiędzy krytykiem i czytelnikiem w ogóle jeszcze istnieje; w literaturze nurtu głównego nie ma go już od dawna. Ale dialog ten jest kapryśny, kaleki, ułomny, nieliteraturoznawczy, nieporządny, bliższy sztuce niż nauce. *Krytyka jest to poezja, tylko w innym stanie skupienia* – mawiał Irzykowski. Zgoda, ale często krytycy SF zapominają, że istnieje coś poza SF. I że nie tylko oni reprezentują racje człowieka przeciw systemowi, historii, przeciw naturze...

Mrożek napisał kiedyś, że przedstawiciele krytyki powinni znaleźć zatrudnienie w plutonach egzekucyjnych. Nie znaleźli. Chociaż słowo potrafi czasem uderzyć mocniej niż kula. Pamiętajcie o tym, czytając krytykę. Póki istnieje. Póki jeszcze jest...

Andrzej Niewiadowski

Koń, jaki jest... nikt nie widzi!

Wyniki naszego sondażu w zakresie grafiki nie są specjalnie zaskakujące. Najbardziej podobali się Państwu artyści znani i zasłużeni: „galerie" Frazetty i Siudmaka zgromadziły odpowiednio 36% i 34% głosów. Trzeci zawodnik – Hisaki Yasuda – otrzymał więcej głosów niż pozostałych 11 „galerii" razem. Ostatni natomiast został zauważony jedynie przez 0,2% respondentów. I to jest granda, proszę Państwa, gdyż tą ledwie dostrzeżoną „galerią" był zestaw znakomitych kartonów Ryszarda Wojtyńskiego, powstałych na kanwie mrocznych opowieści Stefana Grabińskiego. Mógłbym zażartować stwierdzeniem, że zaszkodził Wojtyńskiemu brak mojej promocji (artyści, których przedstawiałem, tj. Frazetta, Yasuda i Japończycy, zdobyli łącznie ponad połowę Państwa głosów) – lecz byłby to żart płaski. To raczej Wy, nasi ulubieni i najbardziej wytrwali spośród Czytelników, spłataliście nam figla. Zresztą i w kategorii „galeria najgorsza" zdobył Wojtyński drugą (16% głosów) po Pilar Coomonte (18%) lokatę. W 1987 r. dominowały prezentacje indywidualne; galeria „Lepsze niż człowiek", z której byliśmy dość dumni znalazła najwyższe uznanie jedynie 3% Czytelników. Dla porównania – „Muzeum kosmicznych wraków" rok wcześniej (nr 6/86) było najlepsze w opinii aż 23% respondentów. Wolimy wraki od robotów?

Ta sama ekipa wygrała konkurencję „najlepsza okładka". Artyści zamienili się jedynie miejscami na podium. I to oczywiście Siudmak (32% głosów), Yasuda (26%) i Frazetta (14%) stanowią absolutną czołówkę. I to jest nasza odpowiedź na wyniki poprzedniego sondażu, kiedy to okładka Siudmaka musiała ustąpić pola trzem okładkom Andrzeja Brzezickiego i moim. Tym razem daliśmy fory naszym zagranicznym kolegom, sporządzając okładki słabe i marne (według Państwa...) – 7, 10 i 12 pozycja w kategorii „najlepsze..." i 4, 5, 6 – „najgorsze okładki".

Nadal lubicie Państwo grafikę realistyczną z gatunku fantasy, skoligaconą odlegle z surrealizmem. Nie lubicie Państwo fotografii, sztuki „abstrakcyjnej" i grafiki użytkowej. Sytuacji idealnej – kiedy to na każdą naszą okładkę i „galerię" padnie mniej więcej tyle samo Państwa głosów zapewne prędko nie osiągniemy.

Poza tym: czy warto ścigać się w dziedzinie tak ulotnej jak obrazek? Kto lepszy, kto gorszy? Właściwe odpowiedzi znają tylko księgowi.

Do zobaczenia za rok

Młodszy Księgowy Zalley

Czytelnicy i „Fantastyka”



Sondaż za sondażem, za sondażem sondaż, mija rok za rokiem, a nasza „Fantastyka” się trzyma, trwa, nic się w niej nie zmienia. Czy to oznaczać ma radość, że w tak trudnych czasach należymy do nielicznych w kraju czasopism, które wciąż idą spod lady? (Brak papieru niestety limituje nam nakład). Czy to ma oznaczać zadowolenie, że podczas interesującego Kongresu World SF w sierpniu, w Budapeszcie, zorganizowanego sprawnie przez Pétera Kuczkę i zespół jego współpracowników, nie szczędzono pod adresem „Fantastyki” podziwu z powodu jej największego na świecie nakładu, wynoszącego przecież wraz z dodatkami („Małą Fantastyką” i „Komiksem-Fantastyką”) ponad pół miliona egzemplarzy, podczas gdy największe pisma i magazyny amerykańskie szczycą się swoimi... 80 tysiącami?

Sondaż za sondażem,

czyli komentarz naczelnego

Tak, mówił o nas z uznaniem i podziwem przyszły nowy prezydent Organizacji Światowej Profesjonalistów (obejmie on berło po dyrektorze Editrice Nord z Mediolanu – Gianfranco Vivianim, który do obecnego roku pełnił tę zaszczytną funkcję), znany i z naszych łamów pisarz Norman (Richard) Spinrad.

Nawiasem mówiąc proponowano niżej podpisanemu objęcie prezydenckiego stolca, co spotkało się z natychmiastową odmową. Żeby pełnić funkcje prezydenckie w światowej science fiction, trzeba być zamożnym, finansowo niezależnym, podobnie zresztą jak ubiegający się o karierę polityczną dżentelmeni na Zachodzie. Inaczej nie sposób podróżować z jednego krańca świata na drugi (za własne pieniądze), zabiegać o promocje dla pisarzy z różnych krajów, próbować własnych organizacyjnych edycji książkowych.

Czy więc stabilizacja (pod ladą) i uznanie międzynarodowe dla naszego pisma to już szczyt jego sławy i chwały? Granica możliwości, szans, aspiracji? Przyjrzyjmy się dobrze, uważnie, przejawom tej stabilizacji.

Od wielu lat już wiadomo, że czyta nas około 90% przedstawicieli tzw. płci brzydkiej, że ponad połowa naszych Czytelników to ludzie poniżej lat 20, że około 60% Czytelników to osoby uczące się. Jeszcze raz także potwierdzony został fakt wysokich kwalifikacji miłośników fantastyki i „Fantastyki”. Wśród uczących się 21% to studenci, a 62% – zdobywający wykształcenie średnie. Wśród pracujących aż 31% ma wykształcenie wyższe i aż 50% średnie! **Bez przygotowania, bez dużego podkładu wiedzy zarówno pisanie, jak i czytanie SF jest po prostu niemożliwe. Pragnąłbym zwrócić tu uwagę, że nasze pismo czytuje znacznie więcej, bo prawie dwa razy tyle osób z wykształceniem wyższym niż np. amerykański „Analog”.** Polszczyzna w przeciwieństwie do języków wielkich mocarstw naszej epoki nie zdobyła sobie dotychczas światowego rozgłosu, ale... – i to pragnę także w tym swoim komentarzu do wyników IV sondażu odnotować – **ale Polaków mnóstwo na świecie, zaś w krajach sąsiednich coraz więcej ludzi uczy się polskiego. Gdy jedziesz np. do Czechosłowacji czy do ZSRR, aby spotkać się z miłośnikami SF – zauważasz, że starają się oni – jedni lepiej, inni gorzej, ale wszyscy się starają – rozmawiać po polsku. Coraz więcej osób czytuje „Fantastykę” za granicą. Rok temu ankiety sondażowe nadesłano z 7 krajów, w tym aż z 13!**

Tak, to prawda, jest stabilizacja, ale również ma ona charakter umacniania, pogłębiania więzi zarówno z Czytelnikami krajowymi, jak i zagranicznymi. W takiej sytuacji nie dziwi prawie nie zmieniony skład najbardziej poczytnych polskich, a także zagranicznych autorów. Przesunięcia wydają się niewielkie, **a triumf po raz trzeci Macieja Iłowieckiego jest zupełnie zrozumiały w kraju, w którym ciągle jeszcze naukowa SF góruje nad fantasy i innymi formami fantastyki.**

Tak, do tego naturalnego zjawiska przyzwyczaili się nasi Czytelnicy i bardzo serio je traktują: szczególnym sentymentem obdarza się młodych laureatów nieustających konkursów literackich. **Jest to pochwała dla mrówczej pracy zespołu redakcyjnego i jury, które z setek, nawet już z tysięcy nadesłanych tekstów potrafi wyłowić autentyczne bestsellery i wzbogacać nimi kadrę naszych pisarzy.** Kto wie, czy to nie ciągle jedno z naszych największych osiągnięć, czy to także nie jeden z głównych motorów propagandy autorstwa, zawodu pisarza, zachęty do rozwijania twórczych ambicji i aspiracji. Na kilkadziesiąt nazwisk najpopularniejszych autorów tylko bodajże pięć czy sześć należy do przedstawicieli starszych pokoleń pisarskich, reszta – młodzi. Chyba nigdzie, w żadnym kraju, nie ma tak bogatego przychówku pisarskiego.

I w dodatku, to co drukujemy, nie ma absolutnie charakteru utworów przyjmowanych według jakiejś taryfy ulgowej dla młodych. Liczą się wartości literackie dzieła, zarówno jego pomysł, jak i wykonanie. Jakże bardzo po takich konkursowych sitach podnosi się z roku na rok poziom rzemiosła. Musi się pisać coraz sprawniej, gdyż konkurencja konkursowa odrzuci każdy niewypał, każde obniżenie lotów. W stosunku do autorów zagranicznych dominuje ugruntowana opinia naszej publiczności o czołówce światowej, w zasadzie pokrywająca się z panującą zarówno w Europie, jak i Ameryce opinią na ten temat. **Oczywiście, ciągle nie jesteśmy w stanie zapełnić wszystkich luk w rozpowszechnianiu światowych bestsellerów, ale przynajmniej usiłujemy i to się najczęściej udaje: być stale na pierwszej linii.** Nawet gdy dajemy taką na przykład Danielę Piegai, którą głosy Czytelników wysunęły na wysokie 9 miejsce w czołówce. Trafione w dziesiątkę – Włoszkę Piegai drukuje się obecnie już w całej Europie i, jak mi wiadomo, aspiruje ona także do publikacji w znanych domach wydawniczych Ameryki.

Inna sprawa: dobrze się przypatrzmy odpowiedziom na pytania ankiety, wyjdzie wtedy na jaw paradoksalna sprawa – paradoksalny stosunek do bestsellerów. Otóż na te bestsellery głosuje nieraz mniej osób niż... przeciwko nim. Na przykład powieść Strugackich „Fale tłumią wiatr” podobała się zaledwie około 4% głosujących, a nie podobała aż 43%. „Kraina Chichów” Carrolla miała 21% zwolenników, natomiast aż 23% przeciwników. Znowu, jak poprzednio, jak to się ustabilizowało już – głosy rozstrzelone. **Jedni do Sasa drudzy do Lasa. Chyba typowo polskie zjawisko, wszystkim nie sposób dogodzić, dobrze jednak, że zawsze znajdujemy coś, co raz się jednym, innym znowu razem drugim podoba.** Podobnie jak się ma z tekstami, dzieje się i z ilustracjami.

Najbardziej jednak, moim zdaniem, znamienny jest dobór materiałów na „numer przebojów 1987”, wzorcowy naszego pisma. **I mam wrażenie, że stanowi on najbardziej zbliżony do gustów czytelniczych model, z którego prezentacji należałoby wyciągnąć daleko idące wnioski.** Dlatego też postanowiliśmy, aby w najbliższym sondażu poprosić Czytelników o podanie ich wzorca numeru, ich recepty na powodzenie.

Oczywiście, za daleko w takim operowaniu jakimś powszechnym wzorcem iść się nie da i nie wolno! Chodzi przecież o to, aby każdy z tych, którzy się interesują fantastyką, miał coś dla siebie. A każdy nasz Czytelnik jest inny. Czy ja już tego kiedyś nie mówiłem? Czy więc i mój pogląd – jeśli go powtarzam – uległ stabilizacji? **Tak, ustabilizowałem się mianowicie w mniemaniu, że stabilizacja ma swoich mnóstwo słabych stron, że hamuje inicjatywy, że narzuca stare paradygmaty, że glajchszaltuje. Dlatego zarówno nasz zespół (z sobą samym włącznie), jak i naszych Czytelników wzywam do burzy mózgów. Żebyśmy tylko nie skostnieli.**

Adam Hollanek

SONDAŻ V

„Fantastyka” w roku 1988

Zapraszamy do kolejnej oceny „Fantastyki”. W przypomnieniu sobie wszystkiego, co mogliście Państwo przeczytać **od stycznia do grudnia 1988 r.** pomoże drukowany na str. 63-64 spis treści całego rocznika.

I. W roku 1988 najbardziej podobały mi się (proszę wymienić po jednej pozycji w każdym punkcie):

a) powieść . . . .

b) opowiadanie zagraniczne . . . .

c) opowiadanie polskie . . . .

d) artykuł krytyczny . . . .

e) pozycja z działu „nauka i SF” . . . . .

f) „galeria” . . . .

g) I okładka pisma . . . .

II. W roku 1988 najbardziej nie podobały mi się (proszę wymienić po jednej pozycji w każdym punkcie):

a) powieść . . . .

b) opowiadanie zagraniczne . . . .

c) opowiadanie polskie . . . .

d) artykuł krytyczny . . . .

e) pozycja z działu „nauka i SF” . . . . .

f) „galeria” . . . .

g) I okładka pisma . . . .

III. Najlepszy numer „Fantastyki” w 1988 r.: . . . .

IV. Najgorszy numer „Fantastyki” w 1988 r.: . . . .

☞



V. Ulubieni autorzy (proszę podać maksimum po 3 nazwiska autorów polskich i zagranicznych, których materiały – powieści, opowiadania, artykuły, felietony, recenzje itd. – zamieściliśmy w roku 1988):

a) polscy . . . .

. . . .

. . . .

b) zagraniczni . . . .

. . . .

. . . .

VI. Ile osób poza Tobą czyta ten sam egzemplarz „Fantastyki"? Proszę podkreślić właściwą odpowiedź: a) nikt poza mną, b) 1 osoba, c) 2 osoby, d) 3 osoby, e) więcej osób.

VII. Zamawiam opowiadanie... (proszę wymienić po jednym nazwisku pisarza polskiego i zagranicznego)

a) autor polski . . . .

. . . .

b) autor zagraniczny . . . .

. . . .

VIII. Dane o Was

a) płeć: M K

b) wiek . . . .

c) wykształcenie . . . .

d) zawód . . . .

e) miejsce zamieszkania (proszę podkreślić właściwą odpowiedź): wieś, miasto do 20 tys. mieszkańców, miasto 21 tys. – 100 tys., miasto ponad 100 tys.

f) imię, nazwisko i adres (podają tylko ci, którzy chcą brać udział w losowaniu upominków)

. . . .

. . . .

. . . .

Odpowiedzi tylko na wyciętym z „Fantastyki" formularzu (z wyraźnym dopiskiem na kopercie SONDAŻ V) prosimy nadsyłać do **20 stycznia 1989 r.** (po tym terminie będziemy honorować jedynie odpowiedzi z zagranicy, gdzie „Fantastyka" dociera później).

(KS)

PS. Tych Czytelników, którzy mają więcej czasu prosimy o odpowiedź na dodatkowe pytanie (na oddzielnej kartce papieru): **Jak wyglądałby według Ciebie wzorcowy numer naszego pisma zestawiony z materiałów wydrukowanych w 1988 r.?** Prosimy o krótkie uzasadnienie każdej pozycji. Rzecz jasna łączna objętość takiego numeru nie może przekroczyć tych 64 stron, którymi dysponujemy.

Dwa i pół tysiąca lat temu w umysłach starożytnych Greków dopiero zaczynało kiełkować coś, co dziś nazywamy myśleniem naukowym. Wtedy to wielki, na poły legendarny filozof Tales, rozmyślając nad przyrodą doszedł do wniosku, że wszystko, co istnieje, jest ożywione. Dostrzegł bowiem, że z wszelką materią związany jest ruch, a ruch był przecież zawsze cechą życia. „Wszystko jest ożywione" głosił więc Tales i taki pogląd nazwano później hylozoizmem, od greckiego *hyle* – materia i *dzoon* – istota żywa.

Z tamtej strony lustra

Żywa Ziemia

Maciej Iłowiecki

W ciągu 25 wieków po Talesie i jego uczniach filozofach jońskich pojawiło się oczywiście wiele różnych koncepcji przyrody i Wszechświata, ale w nowożytnej myśli przyrodniczej przeważała teza o kompletnej przeciwstawności i rozdzieleniu materii i ducha, martwego i żywego, świadomości i ciała. Wprawdzie u wielu myślicieli (zwłaszcza w Oświeceniu) pojawiają się jakieś ślady hylozoizmu, ale w nowoczesnej nauce, poczynając od XIX wieku, głoszenie iż życie lub świadomość przenikają wszystko byłoby jawnym nonsensem i nawrotem do przebrzmiałych mitów. Hylozoizm w nowej formie pokazuje się dopiero w drugiej połowie XX wieku i wynika nie tyle z przemyśleń filozofów, ile z najnowszych dokonań fizyki.

Czyż nie jest to dziwne i ciekawe: oto myśl ludzka zatacza w ciągu tylu wieków gigantyczne koło, by wrócić do swoich praźródeł?

Kiedy filozof i uczony chrześcijański, paleontolog Pierre Teilhard de Chardin (1881-1955) głosił w XX stuleciu: *że w każdej cząstce* (materii, chodzi o cząstki elementarne, atomy i cząstki chemiczne – przyp. M.I.) *istnieje rudymentarnie (w stanie nieskończenie małym, to znaczy nieskończenie rozproszonym) jakaś wartość psychiczna* i że wszelka energia jest zasadniczo „psychiczna" i w miarę ewolucyjnego komplikowania się materii kształtuje życie, psychizm, wreszcie świadomość – świat naukowy jest zdumiony i zgorszony. Kiedy znakomity astronom brytyjski James Jeans (1887-1946) powiada, że *Wszechświat zaczyna się nam objawiać raczej w postaci wielkiej myśli, niż wielkiej maszyny,* inni przyrodnicy traktują to jako piękną metaforę, w istocie przecież wyrażającą tylko przekonanie, iż rzeczywistości nie można traktować jako mechanizmu, ponieważ tkwi w niej coś więcej. Kiedy inny brytyjski uczony, słynny kosmolog Fred Hoyle głosi, iż cały Wszechświat przeniknięty jest inteligencją (książka Hoyle'a „Inteligentny Wszechświat" ukazała się w Anglii i USA w 1983 r.), jego koledzy już się nie śmieją, tylko krytycznie analizują ten pogląd. Kiedy wreszcie w 1979 roku na jednym z wielkich naukowych kongresów laureat Nobla (z 1973 r.) Brian Josephson dowodzi, że materia i świadomość są tylko pojęciami granicznymi, zaś „świadome" i „materialne" występuje łącznie, przenika się nawzajem, bo jest jakby dwoma stronami tego samego zjawiska, a inny fizyk na tymże kongresie powiada, że *nawet skały do nas przemawiają* – uczeni nie są ani zgorszeni ani zdziwieni, tylko podejmują dyskusję. Z dyskusji tej wynika przynajmniej jedno: rzeczywistość nie daje się zredukować do struktur fizyko-chemicznych, działających wedle prawidłowości ustalonych przez fizykę i chemię. Rzeczywistością rządzi jeszcze jakiś uchwytny i zarazem nadrzędny porządek, zaś wszystko co o przyrodzie ustaliła dotąd nauka i co zostało metodami nauki potwierdzone jest oczywiście prawdziwe, ale dotyczy tylko jakby „zewnętrznej powierzchni" zjawisk świata makroskopowego.

Cokolwiek by na ten temat mówić, pewne jest, iż w końcu XX wieku następuje zmiana modelu nauki i naukowego postępowania. Można to ująć nieco delikatniej: że dziś wiele wskazuje, iż stosowane dotąd wzory naukowego poznania (paradygmaty – tak się owe „wzory" określa precyzyjniej) wyznaczają dla tego poznania granice. Jeśli chcemy te granice przekroczyć, ująć rzeczywistość głębiej, poznać rzeczy ukryte – musimy dostrzec nowy rodzaj związków, łączących materię i świadomość, martwe i żywe. Musimy dostrzec wszystkie związki, zależności, łączące wszystko, co istnieje. Takie spojrzenie na rzeczywistość nazywa się holistycznym, całościowym (od greckiego *holos* – całość), a Wszechświat jawi się jako pewien system, całość, złożona z innych systemów, które także stanowią pewne powiązane całości, będące zarazem częścią systemów szerszych – aż do najogólniejszego – właśnie Wszechświata. W takim ujęciu, w którym właściwości systemu nie są tylko prostą sumą własności jego części, najważniejsza staje się nie struktura, ale organizacja – właśnie owe wzajemne powiązania, oddziaływania. W takim ujęciu Wszechświat, cała rzeczywistość, razem oczywiście z nami, można przyrównać do czegoś w rodzaju WIELKIEJ CEBULI. Będzie to porównanie może śmieszne, na pewno niedokładne i niepełne, ale jednak pokazujące istotę rzeczy: poszczególne systemy, poziomy rzeczywistości, ułożone są warstwowo i zarazem obejmują się nawzajem. Każdy system jest zarazem częścią większej całości i sam składa się z wewnętrznych systemów – i wszystko razem stanowi jednak całość. Wielopoziomowa, systemowa struktura najlepiej widoczna jest w istotach żywych. Systemem jest komórka, systemem ogólniejszym tkanka, jeszcze ogólniejszym narząd (np. serce), jeszcze ogólniejszym – układ (np. układ krążenia), jeszcze ogólniejszym – cały organizm. Ale np. las, rój pszczeli i społeczeństwo ludzkie też są systemami, złożonymi z innych systemów (celowo nie używam słowa „podsystem" – chodzi o to, że np. drzewo, pszczoła i człowiek są w tym ujęciu „całkowitymi całościami", systemami, ale też zarazem częściami większych systemów).

Patrzmy dalej: i las, i rój pszczeli, i społeczeństwa ludzkie (i wszystko, co żywe, i łąka, pole, ocean) są powiązane w system szerszy – jest nim cała biosfera, otaczająca Ziemię. Ale przecież biosfera łączy systemy ożywione z martwymi. Czyż do pomyślenia jest las bez gleby i powietrza na przykład? Czy zresztą można powiedzieć, że gleba jest martwa, skoro jej współsystemem są miliardy żywych organizmów, bez nich nie byłoby gleby, tak samo, jak nie byłoby jej bez soli mineralnych i różnych struktur mineralnych. Cała zaś biosfera jest systemem, będącym istotną częścią większego systemu – czyli planety, zwanej Ziemią. Ziemia nie byłaby sobą, gdyby nie była częścią właśnie Układu Słonecznego... Organizacja złożoności bywa w różnych systemach różna, ale przecież właśnie nie byłyby one sobą, nie będąc powiązane ze sobą na wszystkich poziomach!

Jeśli Czytelnicy dobrnęli do tego miejsca, pokonawszy wszelkie niejasności, myślę, że możemy tak ująć różnice między dwoma modelami nauki, obecnym – i tym, który nadchodzi. Oto nowożytna nauka dzieliła rzeczywistość na elementy, które starała się dokładnie poznać. Tak więc jakby „wyjmowała" części z całości i starała się przede wszystkim z właściwości części wywnioskować o działaniu całości. Trzeba dobrze poznać komórkę, by zrozumieć funkcjonowanie tkanki, tkankę – by poznać narządy, narządy i ich układy – by zrozumieć organizm, organizmy – by pojąć ekosystemy, społeczności, biosferę. Naturalnie, trzeba badać i systemy, ale podstawą tego badania ma być izolacja ich elementów, redukcja złożonego do coraz prostszego.

Taki właśnie był paradygmat, wzór, sposób poznawania, stosowany w nauce nowożytnej. Był to wzór dobry, ponieważ przyniósł całkiem niezłe rezultaty – są to dobrze ugruntowane teorie, rozpoznane struktury i działanie wielu systemów, olbrzymia wiedza o rzeczywistości. Rzecz w tym po prostu, iż dzisiaj sama nauka ukazuje swoje ograniczenia i że musimy je przekroczyć, by więcej zrozumieć.

Rozumiemy już, że całą planetę, Ziemię, wraz z jej lądami, oceanami, skorupą, wnętrzem i także z atmosferą, która ją otacza oraz biosferą, która ją przenika, można traktować jako całość, jako system powiązanych systemów mniejszych, jako małą wielopoziomową, wielowarstwową cebulę (małą w porównaniu z Układem Słonecznym, Galaktyką, Gromadą Galaktyk, wreszcie z całym Wszechświatem...). Czy można ciągnąć naszą dziwaczną analogię dalej i wnioskować, że Ziemia-cebula jest istotą żywą? No cóż, nie ja to powiedziałem: w 1979 r. chemik i geofizyk amerykański James Lovelock ogłosił hipotezę, że trzecia planeta Układu Słonecznego jest organizmem żywym! W każdym razie należy ją traktować jak strukturę żywą, tylko bowiem wtedy da się wyjaśnić wszystkie procesy, składające się na działanie i przemiany tego systemu. Niedowiarkom wolę podać źródło: J.E. Lovelock: „Gaia – a New Look at Life on Earth" („Gaja – nowe spojrzenie na życie na Ziemi) New York, 1979. Hipotezę Lovelocka wsparła znakomita uczona, specjalistka mikrobiologii, Lynn Margulis, znana skądinąd z innej oryginalnej hipotezy: że pewne organelle w komórkach pochodzą z zewnątrz, tj. były kiedyś odrębnymi istotami i zatem współczesne komórki są jakby efektem połączenia się (ścisłej symbiozy) różnych niegdyś organizmów – ale to już, naturalnie, inna historia.

Lovelock swoją „żywą Ziemię" nazwał Gają. I znów wracamy do starożytnej Grecji, do źródeł naszej kultury: Gaja była w mitologii greckiej pierwszą Matką-Rodzicielką, czyli Ziemią-Matką, wyłonionym z Chaosu pierwotnym żywiołem. Gaja-Ziemia wydała na świat Niebo, Góry i Morze, a także całe pokolenie bogów, tytanów, cyklopów, gigantów i różnych niezwykłych przedludzkich istot. Przedziwna i straszna jest historia Gai i walk, toczonych przez jej potomstwo, ale jest to także inna już historia.

Od Gai, czyli Ge wywodzą się geografia i geologia, nauki o Ziemi. Uczeni od lat zdawali sobie sprawę, iż Ziemię należy traktować jako złożony, wysoce zorganizowany system, ale twierdzenie, że Ziemia jest żywa? Nie, to zbyt daleko idąca przenośnia! Pomysł może piękny i oryginalny, ale zupełnie fantastyczny, nie mieści się w granicach tego, co współczesna nauka może uznać za naukowe. *Jest to klasyczny pomysł literatury SF* – grzmiał któryś z krytyków „hipotezy Gai" – jakby, nawiasem mówiąc, fakt, iż coś pojawiło się w literaturze SF miał to „coś" na zawsze wygonić z obszaru nauki.

Co ma jednak na swoją obronę Lovelock? Przede wszystkim przypomina istnienie licznych obustronnych zależności między życiem i jego fizycznym środowiskiem (zależności te znane są już uczonym – że przypomnę wietrzenie skał, tworzenie się gleby, skład atmosfery i mórz). Życie – słusznie zatem podkreśla Lovelock – cały czas wpływało i wpływa na środowisko i zmienia je zarazem zmieniając siebie. Nie tylko więc samo przystosowuje się do środowiska, ale także dostosowuje je do siebie. Owo wzajemne dostosowanie wszystkich części, niezwykła złożoność całości jest cechą życia. Przede wszystkim jednak klasycznymi cechami życia są samoorganizacja, ewolucja, stałe utrzymywanie n i e r ó w n o w a g i chemicznej i termodynamicznej i zarazem r e g u l a c j a wszystkich czynników, utrzymujących optymalne dla życia warunki. Takie właśnie cechy wykazuje Ziemia z biosferą. Gdyby nie życie, klimat na planecie byłby zupełnie inny. Inna byłaby temperatura, atmosfera, inne wody mórz, inna byłaby powierzchnia Ziemi, a nadto nigdy nie mogłaby się utrzymywać pewna stałość różnych czynników w granicach, które zarazem stanowią granicę życia. Takie utrzymywanie stałości – czyli, jak to denerwującym specjalistów językiem określa Lovelock: wyzwanie, rzucone drugiemu prawu termodynamiki – nazywa się homeostazą, a homeostaza jest cechą życia.

Systemu, którym jest Ziemia z biosferą nie da się wyjaśnić sumą działania jego części, ponieważ wszystko powiązane jest tu ze wszystkim na wielu poziomach. Ziemia jako c a ł o ś ć jest czymś więcej, niż sumą swoich części. Wobec tego nie można twierdzić, że Ziemia funkcjonuje j a k organizm – mówi autor hipotezy Gai – Ziemia po prostu j e s t żywym organizmem!

Jeszcze kilkanaście (tak – zaledwie kilkanaście) lat temu nikt nie traktowałby poważnie tego rodzaju hipotezy. Dziś zwołuje się specjalne sympozja, by nad nią dyskutować. Sympozjum takie zorganizowano w Wielkiej Brytanii w 1987 r. Dowiedziono tam, iż wyjaśnienie, które dla pewnych niezrozumiałych procesów sugerowała hipoteza Gai, okazało się zgodne z rzeczywistością. W nauce dowodem potwierdzającym prawdziwość lub fałszywość hipotezy jest sprawdzenie wniosków, które z niej wynikają. Sprawdzonych wniosków jest wciąż zbyt mało – mówią przeciwnicy Gai – a sama hipoteza stanowi klasyczny przykład „mnożenia bytów bez potrzeby", czyli niezgodna jest z metodologią współczesnej nauki.

Zastanawiałem się, co myślałby sobie Tales, gdyby mu powiedziano, że jego główna teza (w innej formie, ale nie forma jest najważniejsza, tylko treść), że hylozoizm pojawi się po 25 wiekach w hipotezie Gai – Żywej Ziemi. Przypuszczam, że nie byłby zdziwiony, ponieważ ludziom w jego czasach wydawało się oczywiste i naturalne powiązanie wszystkiego ze wszystkim. Chociaż nie umieli tego wyrazić, czuli wprost niewyobrażalną sieć związków i zależności łączących ich z całą przyrodą, żywą i w szczególny sposób rozumną. Byli „dziećmi Ziemi" w sensie dla nich dosłownym, więc nie obawiali się, by Gaja-Rodzicielka mogła uczynić im coś złego, jeśli i oni nic złego nie będą jej czynili.

W XX wieku hipoteza żywej Ziemi nie znajdzie jeszcze miejsca w nauce. Stanowi jednak niewątpliwą zapowiedź innego spojrzenia na rzeczywistość. W tym spojrzeniu mieszczą się także „mówiące skały" – bo mówią nam o swojej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, o związkach łączących je z całym ziemskim systemem, o wspólnym z NAMI uczestnictwie w przemianach systemu, w którym każda cząstka ma swój udział, wzbogacający całość. Udział na tyle ważny, że bez tej cząstki system stałby się już INNY.

Nie będziemy się więc spierać, czy system Trzeciej Planety jest ŻYWY czy też nie. Ważniejsze od tego wydaje się uznanie, że system ten jest czymś więcej, niż sumą swoich części, że nie da się zredukować do tych części, stanowi bowiem nową jakość i właśnie jako inna, całościowa jakość powinien być pojmowany. Na wspomnianej konferencji na temat Gai pewien jej uczestnik powiedział: *Hipoteza Gai może być oznaką rodzenia się dojrzałej nauki. Nauki, która nie szuka sposobu kontrolowania świata, lecz współżycia z nim, nie szuka sposobu oddziaływania na przyrodę lecz współpracy z przyrodą.* Dodałbym, iż nie chodzi tylko czy wyłącznie o naukę. Jest to może nienowa, ale na pewno dziś dopiero na nowo przywoływana filozofia życia, koncepcja istnienia ludzkości, koncepcja naszego życia i naszego miejsca w przyrodzie. Tkwimy – jak to ktoś określił – w pajęczej sieci bez ściegów, w wiecznej współzależności wszystkich rzeczy. Lekceważenie tych współzależności, ujarzmianie przyrody i walka z nią doprowadziły do globalnego kryzysu. Wiemy już, że cokolwiek by nie mówić o naturze Gai-Ziemi, jest to struktura, którą jesteśmy w stanie zniszczyć, ZABIĆ. Zabijanie właśnie trwa.

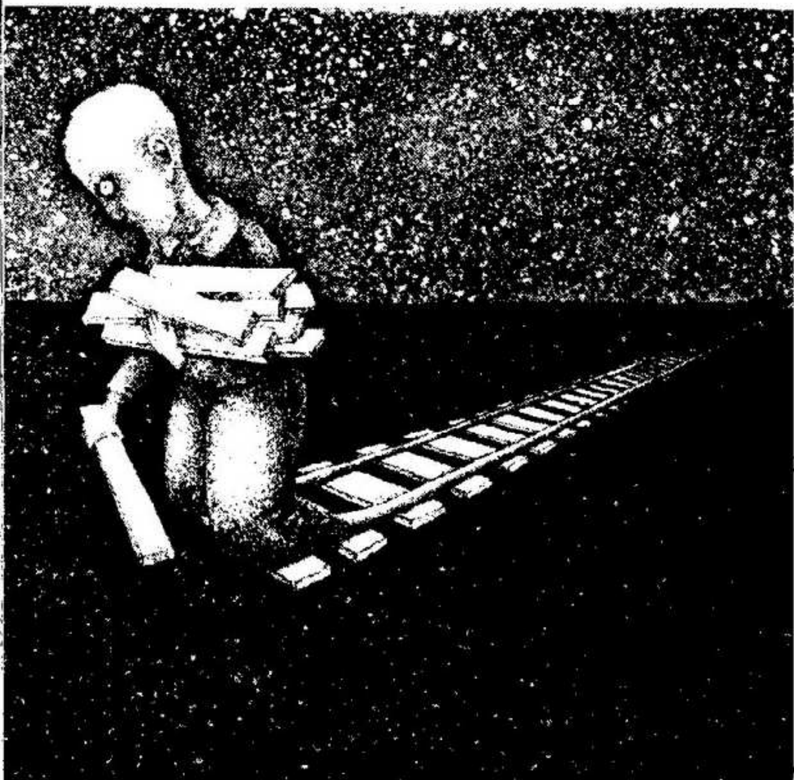
Może więc wedle logicznych definicji życia Gaja jest martwa. Ale właśnie chyba z logiki samego życia wynika coś zupełnie sprzecznego z martwotą: na Ziemi dlatego jest miejsce dla człowieka, że jest to system żyjący i póty będzie miejsce, póki cały system będzie żył. ■

Sylvia Plath

Żona dozorcy zoo

Jeżeli trzeba, mogę czuwać przez całą noc – –
Zimna jak węgorz, jakbym nie miała powiek.
Ciemność spowija mnie jak martwe jezioro,
Czarnobłękitna, wspaniała jak śliwka.
Bąbelki powietrza nie wzlatują z mego serca, nie mam płuc
I jestem brzydka, mój brzuch jest jak jedwabna pończocha.
Rozkładają się w nim głowy i ogony mych sióstr.
Spójrz: topnieją jak monety w stężonych kwasach.

Pajęcze szczęki, kręgi odsłonięte przez chwilę
Jak białe linie na architektonicznym planie.
Gdybym się poruszyła, ten różowofioletowy wór
Z plastyku pełen jelit mógłby zagrzechotać.
Dawne urazy obijają się o siebie jak wychwiane zęby.
Lecz cóż wiesz o tym ty,
Tłusta wieprzowino, mój kochanku wypełniony szpikiem,
z twarzą-ku-ścianie?
Pewne rzeczy tego świata są niestrawne.



Stasys Eidrigevičius

Zalecałeś się do mnie przy pomocy owocożernych nietoperzy
O wilczych głowach, zawieszonych na wyschłych pazurkach
W wilgotnym zaduchu Pawilonu Małych Ssaków.
Pancernik drzemał w skrzynce z piaskiem
Sprośny i nagi jak świnia, białe myszki
Mnożyły się z nudy w nieskończoność jak aniołowie
Na końcu szpilki. Omotana w mokre od potu prześcieradła
Wspominam skrwawione pisklęta i poćwiartowane króliki.

Sprawdziłeś spis karmy dla zwierząt i zaprowadziłeś mnie
Do Ogrodu Uniwersyteckiego, żebym bawiła się z boa dusicielem.
Udawałam, że jestem Drzewem Świadomości.
Weszłam do twojej biblii, wstąpiłam na pokład twej arki
Razem z boskim pawianem w peruce, z woskowymi uszami,
I pająkiem w niedźwiedzim futrze pożerającym ptaki,
Który biegał wokół szklanej skrzynki jak ośmiopalczasta ręka.
Nie mogę zapomnieć o tym,

Jak nasze zaloty oświetliły łatwo palne klatki – –
Nosorożec o dwóch rogach otworzył paszczę,
Brudną jak podeszwa buta i wielką jak szpitalny zlew,
By połknąć kostkę cukru, jego błotnisty oddech
Obciągnął moją rękę aż po łokieć rękawiczką.
Ślimaki posyłały pocałunki jak czarne jabłka.
Teraz nocą przeganiam małpy, sowy, niedźwiedzie i owce
Poprzez żelazne pręty. I mimo to nie śpię.

14 lutego 1961

Do syna bez ojca

Wkrótce uświadomisz sobie czyjąś nieobecność
Rozrastającą się obok ciebie jak drzewo,
Drzewo śmierci, bezbarwny australijski eukaliptus – –
Ogołocony, porażony piorunem – istne złudzenie,
A niebo jak świński zad, całkowicie obojętne.

Lecz teraz jesteś niemy.
A ja kocham twoją głupotę,
Jej ślepe zwierciadło. Spoglądam w nie
I odnajduję własną twarz, myślisz, że to zabawne.
To dobrze

Że chwytasz mnie za nos jak za przęsło drabiny.
Kiedyś możesz dotknąć czegoś niewłaściwego:
Małych czaszek, spłaszczonych sinych wzgórz,
straszliwego milczenia.
Do tego czasu twe uśmiechy są jak odnalezione pieniądze.

26 września 1962

Przełożyła **Teresa Truszkowska**

SYLVIA PLATH, jedna z najwybitniejszych, współczesnych poetek amerykańskich, urodziła się 27 października 1932 r. w Bostonie. Wychowana na najlepszych wzorach poezji angielskiej i amerykańskiej, podlegała licznym wpływom, m.in. twórczości Dylana Thomasa i Theodora Roethego, również tzw. poezji konfesyjnej Roberta Lowella. Niezwykle ambitna, stawiająca wysokie wymagania sobie i światu, żyła gorączkowo, pospiesznie, przeżywała raz po raz załamania nerwowe, stany depresji, które prowadziły do wielokrotnych prób samobójstwa. W 1956 wyszła za mąż za znanego poetę angielskiego – Teda Hughesa (również autora prozy fantastycznej), ale małżeństwo, zawarte z wielkiej miłości, okazało się pasmem dramatów i nieszczęść. Sylvia decyduje się na separację, wraz z dwojgiem dzieci przenosi się do Londynu, zamieszkuje w domu należącym niegdyś do Yeatsa. Usiłuje pogodzić karierę literacką z obowiązkami matki, życie publiczne z prywatnym. Na próżno. Nie umie poradzić sobie z rosnącą sławą, wychowaniem dzieci, konfliktami osobistymi i 11 lutego 1962 r. odbiera sobie życie.

Twórczość Sylvii Plath zamyka się w obsesyjnym kręgu własnej psychiki, lęków, niepokojów, przerażenia tajemnicą istnienia. W zbiorach wierszy „Kolos" (1960), „Ariel" (1963), „Przeprawa przez wodę", „Zimowe drzewa" (1971) z niezwykłą gwałtownością ujawnia się jej freudowska, ambiwalentna postawa wobec śmierci: fascynacja i przerażenie, pełne wewnętrznej dramaturgii, zapisane w poetyce onirycznej.

Utwory prezentowane na łamach „Fantastyki" nie były przedstawiane polskiemu czytelnikowi. Autorką tłumaczeń jest dr Teresa Truszkowska, krakowska poetka, autorka licznych przekładów Sylvii Plath. (an)

MIESIĘCZNIK
Fantastyka

SPIS TREŚCI – ROK 1988

W roku 1988 ukazało się 12 numerów naszego pisma (numery od 64 do 75); wszystkie o objętości 64 stron. Spis treści zestawiliśmy zgodnie z podziałem „Fantastyki" na stałe działy. W ich obrębie zastosowaliśmy układ alfabetyczny wg nazwisk autorów oraz chronologiczny wg tytułów (w razie większej liczby tytułów jednego autora). Materiały redakcyjne lub sygnowane jedynie inicjałami, a także te, które są tylko opracowaniami, włączyliśmy do spisu alfabetycznie wg początkowych wyrazów tytułów, natomiast wywiady – wg nazwisk osób, z którymi były przeprowadzane. W przypadku recenzji nie podaliśmy ich tytułów, lecz przedstawiliśmy zestawiony alfabetycznie wg nazwisk autorów wykaz omówionych książek. Pierwsza liczba przy wszystkich hasłach oznacza kolejny numer „Fantastyki" w roku 1988, natomiast liczba po myślniku – stronę, na której zamieszczono wymieniony materiał (np. 4-12 oznacza nr 4, str. 12); liczby rzymskie oznaczają stronę okładki (np. 6-III to nr 6, III str. okładki).

Opowiadania i nowele

Powieści

Z polskiej fantastyki

Poezja i fantastyka

Krytycy o fantastyce

Słownik polskich autorów fantastyki

Wszystkie hasła słownika oraz fragmenty utworów (tytuły w nawiasach) zamieszczone na „pożółkłych kartkach" przygotował Andrzej NIEWIADOWSKI

Recenzowane książki

W nawiasach podaliśmy inicjały autorów recenzji: SB – Stanisław BELINA, LB – Leszek BUGAJSKI, ZB – Zygmunt D. BUSZNIEWSKI, ZD – T. Zbigniew DWORAK, RG – Ryszard GŁOWACKI, JI – Jacek INGLOT, LJ – Lech JĘCZMYK, GL – Grażyna LASOŃ, DM – Dorota MALINOWSKA, EN – Ewa NOWACKA, BO – Barbara OKÓLSKA, MO – Marek ORAMUS, MP – Maciej PAROWSKI, WS – Wawrzyniec SAWICKI, MS – Małgorzata SKÓRSKA, MSZ – Magdalena SZMIT, RZ - Rafał A. ZIEMKIEWICZ, MZ – Marek ZYBURA.



Informacje o książkach

Spotkanie z pisarzem

Film i fantastyka

Nauka i SF

SF na świecie

Wśród fanów

Komiks

Galeria

Podajemy tylko strony, na których zamieszczono noty wprowadzające.

Różne (stałe rubryki, omówienia, informacje itd.)

Notki

■

...Stasys

Repr. Z. Latała



...Stasys...

